

Józef Ignacy Kraszewski

Bracia Zmartwychwstańcy Tom 2



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

Bracia Zmartwychwstańcy

Powieść z XI wieku.

Tom drugi.

Rozdział 1.

Obyczajem było Bolesława Wielkiego, gdy do grobu męczennika do

Gniezna przybywał, czas jakiś trwać przy nim na cichej modlitwie. Znało duchowieństwo tę pobożność pańską i gdy się uroczyste śpiewanie skończyło, ustąpili wszyscy w milczeniu ku wielkiemu ołtarzowi i zakrystii, króla zostawując samego przy dwu drogich grobowcach, kryjących zwłoki matki, którą kochał gorąco, a której ducha czuł w sobie, i apostoła, dla którego cześć miał jak dla niebios zesłańca. Dwór też królewski wysunął się z katedry, przed wielkimi drzwiami jej oczekując na wyjście pańskie.

Bolesław pozostał u trumny świętego Wojciecha, oświeconej kilku

lampami, palącymi się zawsze u zwłok apostoła. Doznawał tu dziwnego

uczucia, jak gdyby go z duchem tego patrona i pośrednika związek jakiś tajemniczy łączył, jakby od zwłok tych płynęła pociecha, otucha i natchnienie.

Korzył się tu i spowiadał w myśli i nieraz czuł, jakby głos wewnętrzny na jego wyznania odpowiadał. Składał tu troski i odchodził męźniejszym. Na

podesłanym wezłowi, przyklękawszy, z głową spuszczoną, ów zwycięzca w tyłu krwawych zapasach pokornym się stawał pokutnikiem.

W kościele nie było nikogo, panowała cisza, niepostrzeżony tylko zza słupa wpatrywał się w klęczącego mnich ów, który pozostał, gdy

duchowieństwo odchodziło, i oczyma nienawistnymi zdawał się napawać

widokiem pograżenia i smutku, który się w postawie króla malował.

Nieruchomy stał tak z dala, ściskając pięści, hamując się, jakby razem pragnął i lękał się wybuchnąć; kilkakroć krok już uczynił naprzód i cofnął.

Z piersi króla wyrwało się głębokie westchnienie. Bolesław podniósł

głowę i wpatrzył się bezmyślnie w ciemną głąb kościoła. Oczy jego oswojone już z ciemnością patrzyły bystro i postać owa czarna uderzyła Bolesława, choć rysów jej dostrzec nie mógł, po sukni tylko poznawszy duchownego, król zdał

się uderzony jego przytomnością niezwykłą, domyślając się w nim obcego. W

tych ciężkich myślach, jakie go obarczały, szukał ulgi i tak samo, jak się spowiadał przed pustelnikiem, rad był dziwnie zesłanego kapłana tego wezwać na pomoc i radę. Skinął więc ręką ku

temu cieniowi mnicha, aby bliżej przystąpił.

Postrzegł to stojący naprzeciw, zadrżał, zawahał się, lecz wprędce czarny kaptur narzuciwszy na głowę, tak, by twarz zakrywał, wolnym krokiem ku trumnie przystąpił. Trumna ta tylko dzieliła ich od siebie.

— Obcy tu jesteście? —zapytał król cichym głosem.

— Pielgrzymem jestem —odparł głos cichy i drżący dziwnie.

— Znacie mnie?

— Wiem, żeście panem i władcą tego kraju.

— Jeśli pielgrzymem jesteście, rozkażę wam dać zasiłek na drogę, a proszę o modlitwę.

Mnich stał niemy.

— Zasiłku żadnego nie potrzebuję, przysiągłem na ubóstwo odezwał się głosem stłumionym a modlitwy moje królewskiej duszy twej ulgi nie przyniosą, jeśli z niej sam nie zrzucisz brzemienia, co na niej ciąży.

Tylko od kapłana mógł Bolesław cierpliwie znieść mowę taką, ale z ust duchownego nie zdała mu się dziwną, westchnął tylko. Mnich zamilkł chwilę, jakby z sobą walczył, i przerwał dobrowolnie milczenie.

— Choć królem jesteś, kajać ci się trzeba, bo tam, gdzie nas sądzą

wszystkich, żadna korona nie idzie na szalę, a purpura plam nie osłoni. Bóg mi dał pielgrzymując po świecie spotykać ofiary twojego gniewu. Modlą się one za ciebie, lecz by zemstę niebios ściągnęły.

Głos mnicha drżący coraz się podnosił, król oczy weń wlepiwszy,

zdumiony, przelękły niemal, słuchał go w niemym podziwieniu.

— Mnich jestem — dodał — suknia, którą noszę, prawdę mi rzec każe.

Kajać ci się trzeba i krzywdy nagrodzić, bez tego nie znajdziesz spokoju duszy ani u tego grobu, ani w świątyni Pańskiej, ani w życiu, ani przy zgonie.

To mówiąc podniósł mnich rękę do góry, spod kaptura błysło oczów

dwoje lśniących i szybkim oddalił się krokiem w głąb, nim Bolesław czas miał

powstać i zawołać.

Gdy się wreszcie ruszył z klęcznika król i obejrzał wkoło, nie widząc nikogo, z zakrystii wyglądający kapłan postrzegł to i na skinienie pospieszył.

Bolesław stał blady, gniewny i poruszony.

— Kto był ten mnich, który mi śmiał przerwać modlitwę? — zapytał.

Kapłan zrazu nie wiedział, co odpowiedzieć, trwoga go ogarnęła. Król, jakby mu duszno było w kościele, spiesznie począł ku drzwiom wielkim kroczyć, gdzie stał cały dwór jego i gnieźnieńska czekała nań grodowa starszyzna, której ulubieniec króla, stary Stoigniew przewodniczył. Kapłan w ślad dążył za królem.

— Kto i skąd jest ten mnich obcy, który pozostał w kościele i przerwał mi modlitwę? — powtórzył Bolesław na progu katedry stanawszy.

— Nie wiem — odparł złękniony ksiądz. — Przybywa tu duchownych

pielgrzymujących niemało. Był dziś mnich jeden, który się opowiadał, jakoby z klasztoru w Korbei.

— Szukajcie go i na gród mi prowadźcie. Chcę mówić z nim — dodał

Bolesław już się hamując i nie chcąc gniewu dać poznać po sobie.

Ksiądz zwrócił się spiesznie nazad do kościoła skłoniwszy przed królem, a tuż dwór go otoczył i z siwą głową odkrytą do kolan mu się zniżył Stoigniew.

Król z czułością druha ręce obie położył na ramionach jego i ozwał się głosem złagodzonego.

— Witaj mi, Stoigniewie! Ja do ciebie przybyłem w gościnę. Nie

spodziewaliście się mnie, nieprawda? Radzi mi może nie będziecie bardzo.

— Miłościwy królu a ojczy — żywo począł Stoigniew kłaniając się i

prostując natychmiast — wyście tu gospodarzem nie ja, Stoigniew sługą.

— I druham moim — dodał wesoło król. — Na zamek nas prowadź.

Niedaleko od katedry były dworce pańskie, piastowskich jeszcze czasów pamiętne. Na grodzie jako namiestnik króla siedział Stoigniew, razem z opatem Aronem prawą ręką pańską.

Mąż to był swojego czasu w kraju tyle znaczący, iż mu nikt nie

dorównywał powagą i rozumem a nauką. Bolesław często go używał tam, gdzie przebiegłości i spokoju, zimnej krwi i męstwa było potrzeba, nie do walki, choć rycerzem był niepoślednim, ale do zbierania owoców jej. Gdy złamawszy nieprzyjaciela pokój zawierać, warunki stawić, przy swoich prawach obstać, wyjednać ustępstwa było potrzeba, nikt nad opata Arona i Stoigniewa nie był do

tego zdolniejszym.

Król znał samego siebie. Burzyło się w nim łatwo i częściej po miecz sięgał, niż cierpliwości zażywał. Usta jego wypowiadały zrazu, co w myśli zapisane stało, otwartą był księgą król i wojakiem nawet czasu pokoju.

Stoigniew miał wytrwałość męża, co wiele przebywszy, ludzi znał i

zażywać ich umiał. Nie uląkł się on ani oblicza cesarskiego, ani żadnego władcy, niczym w świecie ująć go nie było można ani zastraszyć. Spojrzawszy też na tę dostojną postać, uszanowanie dla niej czuł każdy. Stoigniewa nic wzburzyć, nic krwi jego biegu przyspieszyć nie zdołało, na pozór zimny jak Aron, słuchał i patrzył, a gdy ci, co z nim się układali, myśleli już, iż go pokonali, ze spokojem odpowiadał im do swojego powracając, dopóki woli swej nie przewiódł. Drogi też to był człowiek dla króla.

Stoigniew nie starszym był nad niego, ale mu trudy siwiznę

przyspieszyły. Obok włosów obfitych, srebrzystych, twarz zachował

młodzieńczą, świeżą, rumianą i zmarszczkami nawet nie pooraną. Dziwnie sprzeczały się na niej krasne barwy, żywy blask oczów, śmiejące się usta z tą siwizną przedwczesną.

Na czele mężów dwunastu, co otaczali Bolesława, Stoigniew stał

pierwszym, przodował on im i dla niego pan nie miał żadnych tajemnic. W

sprawach króla wiele musiał pokryjomu podróżować po świecie, toteż języki obce umiał dobrze, a co na owe czasy, oprócz duchownych, mało kto znał, Stoigniew pismo czytał i w łacinie był biegłym.

Liczną otoczony rodziną, trzeci raz już żonaty, powiernik pański miał

żyjących synów sześciu, córek pięć, z których trzy już poślubione. Zwykle przebywał on na zamku w Gnieźnie jako namiestnik pański, lecz i własnych ziem ze szczodrobliwości króla miał pod dostatkiem. Dwór też go otaczał

niemal książęcy, a życie mógł prowadzić, jak król chciał, by mu wstydu nie czynił. I tu stoły musiały gotowe stać dla przybywających ze skargami, radami i prośbami. Skarb pański na to dostarczał.

Miał oprócz tego pieczę namiestnik nad biednymi więźniami, których

trzymano na zamku w Gnieźnie. Tu miotając się bezsilnie i złorzecząc losowi swemu skończył życie Bolko oślepiiony, tu zmarł Prybuwoj, tu żył jeszcze z nędzą swą Odylon i mnodzy inni winowajcy, których dla spokoju w zamknięciu trzymać było potrzeba.

Po wspaniałym *palatium* króla w Poznaniu starodawny dworzec gnieźnieński ubogo wyglądał, ale szanownym był pamiątkami, które do ścian jego przyległy. Izb też w nim znajdowało się mnogo i najliczniejsze poczty mieściły się w otaczających go zabudowaniach.

Gniezno należało do tych grodów za Bolesława Wielkiego, w których

wojsk jego zawsze gotowe do wyjścia w pole zastępy się gromadziły. W

Poznaniu miał król przy sobie trzynaście sotni pancerników konnych, a cztery tysiące piechoty z tarczami. Gniezno żywiło piętnaście secin pierwszych, a pięć tysięcy tarczowników; zatem, więcej jeszcze, niż Bolesław przy sobie ich chował, Inne też miasta, jak Włocławek i Gdecz, załogami podobnymi

opatrzone były czasu pokoju. Gdy na wojnę występować było potrzeba, słano do nich jak do spiżarni i ruszał się lud orężny, gdzie mu wskazano. Na Gnieźnie też namiestnika musiał stanowić król takiego, który by najliczniejszą osadę, oka z niej nie spuszczać, zgnuśnieć jej nie dając, czujną zawsze i gotową utrzymał.

W progu zamkowym czekała na Bolesława drużyna wielka, starszyzna

wojskowa, żupanowie i władcy, którzy się tu znaleźli. duchowni, przełożeni i rodzina Stoigniewa.

Nim do progu tego doszedł król, czas miał ochłonać z wrażenia, jakie na nim mnich uczynił, wypogodził twarz, a stosując się do Stoigniewa, który zawsze spokojnym był i przy powadze wesołym, Bolesław też chciał się okazać dobrej myśli. Więc na powitanie gromady odpowiedział pozdrowieniem

wdzięcznym i szybko Wszedł na dworzec.

Tu czas miano się przysposobić na przyjęcie pana i jego towarzyszków.

Stoły już były ponakrywane, pacholki z pochodniami stali po kątach.

Najstarszy z duchownych wiedząc, iż król znużony był i zgłodniały,

natychmiast modlitwą pobłogosławił wieczerzę i misy znosić zaczęto. Sam Stoigniew królowi nalewkę i misę przyniósł, a urodziwa żona jego trzymała szyty ręcznik. Twarze otaczających, rade z widzenia pana, śmiały się weselem.

W istocie bowiem czystym będąc w sumieniu każdy się mógł cieszyć ze

spotkania z panem. Rzadko się obeszło, ażeby król nie obdarzył swoich wiernych nadaniem jakim, koźmi, szatami i orężem. Było to zwyczajem

naówczas po wszystkich dworach, a Bolesław, szczodroblivy z natury i wspaniały, hojnie szafował skarbami, jakich mu wojny dostarczały. Nie było naówczas właściwie państwa stolicy, wszędzie gdzie chwilowo król przebywał a z nim wojsko i dwór, z nim najwyższy sąd i urzędnicy, gród się chwilowo stawał stołecznym. Zjeżdżali do niego pokrzywdzeni z żalobą, biedni z prośbami. Letniego czasu król pod dębem lub lipą zasiadał rozsądzać sprawy; zimową porą działo się to w wielkiej izbie. A miał Bolesław sposób mądry godzenia z sobą zwaśnionych, który rzadko się nie powiódł. Gdy na sąd królewski przybyły strony, przyjmowano je na dworze obie, dni częstokroć dwa i trzy

gośćmi byli u stołu i boku pańskiego. Nie dopuszczając do mówienia o sprawie zmuszał ich Bolesław do wspólnej rozmowy, którą umiał uczynić spokojną. Tak się powoli umysły podrażnione uspokajały, a gdy namiętność ostygła, naówczas sprawa szła już złagodzoną przed sąd, który zbliżonych przejednywał i zbraconych do domów odsyłał. A gdziekolwiek też król się znajdował, choć roków żadnych nie wyznaczano, często w obozie, czasem w polu i na łowach, pełno było zawsze biegnących pod sąd jego ojcowski.

Znano go też, że przemocy możnych nie folgował ani krzywdzić biednych bezkarnie nie dopuszczał i dobra ludzi maluczkich pilnował, może sumienniej się o nie troszcząc niż skarbów największych. Napływ doń był zawsze mnogi, niekiedy dzień i dwa pod oknami stać musiały gromady, nim kolej na nich przyszła.

Tym razem nikt się króla nie spodziewał w Gnieźnie, więc tylko ci się znaleźli, których tu traf zgromadził.

Siedli już wszyscy za stoły i król miał rozpocząć wieczerzę, gdy jakby sobie coś przypomniawszy, skinął na siedzącego niedaleko duchownego. Szło mu o owego mnicha, który w kościele doń z napomnieniem wystąpił, chciał go tu mieć i poznać bliżej.

Posłano natychmiast komornika królewskiego po kapłana, który miał

zlecenie wyszukać pielgrzyma. Nadszedł i on sam, ale widocznie zafrasowany zbliżył się do ucha króla.

— Miłościwy panie — odezwał się — mnicha tego szukaliśmy na próżno

i około kościoła, i po całym zamku, i na grodzie, i na podzamczu. Stróż we wrotach widział go uchodzącym spieszenie.

Zasepiło się nieco czoło króla, ale wnet Stoigniew, któremu Bolesław o mnichu powiedział, wyprawił ludzi swych kilku, aby miasteczko strzesiono całe.

Nie było wątpliwości, że w noc zimową i śnieżycę pielgrzym nigdzie dalej nad podzamcze ujść nie mógł, obiecywano więc sobie lub tegoż dnia, albo do jutra go wyszukać koniecznie.

Słowa, które powiedział, utkwiły w pamięci króla silnie, pozbyć się z niej ich nie mógł, pragnął więc nieodmiennie, aby mu tego człowieka

przyprowadzono. Głos mu się zdawał znanym, choć przypomnieć nie mógł, gdzie i kiedy go słyszał.. Zakapturzona umyślnie twarz budziła dziwne podejrzenia.

Stoigniew, który sam panu u stołu chciał posługiwać, choć mu przy nim usiąść nakazano, wesołością swą i swobodą próżno starał się czarne myśli rozpędzić. Bolesław chwilami dawał się rozweselić, ale wnet wracały chmury.

Tak przesiedział król wieczerzę, po której mu spoczynek należał, i choć dwór pozostał jeszcze przy pełnych dzbanach, Stoigniew zaraz pana do jego sypialni zaprowadził. Tu już ogień płonął, ciepłe

szaty czekały i służba stała pogotowiu.

Zaledwie wszedłszy Bolesław znowu spytał o mnicha i chciał się

dowiedzieć, czy go kto dnia tego nie widział w kościele lub nie mówił z nim.

Posłano do księży, przybył wybrany kleryk z opowiadaniem, jako mnich ten, zdając się z mowy i obejścia wcale nie obcym i owszem dobrze obeznanym z miejscowością, różnych ludzi o różne badał sprawy i rzeczy, wydał się wielu podejrzanym, obcować z nikim poufalej nie chciał, strawy nawet pielgrzymiej nie skosztowawszy gdzieś się skrył, iż go nigdzie odszukać i śladu znaleźć nie było podobna.

Wysłuchawszy opowiadania król kleryka nagrodzonego odprawił, ze

Stoigniewem pozostając sam.

— Miłościwy panie — odezwał się namiestnik — cóż ten biedny jakiś

mnich, pątnik, pana mojego ma tak niepokoić? Czy się odezwał zuchwale?

Może nie wiedząc, do kogo mówi?

— Wiedział on, co i do kogo rzekł — odparł król. — Duchownemu by to

było przebaczone, owszem za dobre poczytanym, gdybym pewnym był, iż w istocie mnich to jest, a nie skryty wysłaniec czyjś, co chciał podpatrzyć czynności moje i złość mi uczynić? Dlaczegoż zasłonił twarz, czemu uszedł tak skoro?

I Stoigniewowi podejrzanym się to wydało, ale zmilczał, a król, jak dlań tajemnic nie miał, wylał się zaraz z całym żalem swoim.

— Stoigniewie mój — odezwał się — zaprawdę, gdym na spoczynek

zasłużył, Bóg mi właśnie największe zsyła niepokoje. Wiecie o Jaksów sprawie, co było ich krwi i rodu, pierzchnęło ode mnie. Co dzień ktoś uchodzi. Niemcy siedzą cicho, lecz czekają pory, na Rusi nielepiej, nieprzyjaciele zdają się patrzeć tylko, bym osłabł, aby na państwo uderzyć i rozszarpać! Co czynić, aby umocnić gmach! Co czynić?

Stoigniew nie podzielał widać obawy króla i do kolan mu się pokłonił.

— Próżne te trwogi — rzekł — odpędzić je trzeba. Sumiennie panie

miłościwy, wolałbym i ja, ażebyście Jaksom miłosierdzie okazali, lecz gdy rzecz niepowrotna co czynić? Czas żale ukoi. Łacniej się król Bolesław bez nich, niż oni obejść potrafią bez niego.

— Synowie Janka już się z kraju, słyszę, wynoszą.

— Ziemi z sobą nie zabiorą — odparł Stoigniew. — Ale ręce i serca

dzielne! — dodał wzdychając król. — Żal! Żal!

— Miłościwy panie żałować już nie pora. Cieszcie się raczej walecznym synem waszym, który gdziekolwiek pójdzie, jak wy pokonywa i zwycięża.

— Cieszę się nim i trwożę — szepnął król — wojakiem jest mężnym i

szczęśliwym, lecz na wojnę ja go posyłać muszę. Nie rwie się on sam ani jej pragnie, woli przy Ryksie spoczywać.

Stoigniew jeszcze raz króla za kolana ścisnął.

— Panie! Panie! Bogu trzeba dziękować, a nie naprzód widzieć złe, które nie przyszło i nie przyjdzie. W chmurne dni wszystko wydaje się czarnym!

— Mieszkowi — mówił Bolesław jakby nie zważając na Stoigniewa —

przeznaczyłem panowanie po sobie, w nim położyłem nadzieję. Mieszko...

Król nie dokończył, bo Stoigniew poruszony cały, ręce błagalnie

złożywszy stał przed nim, wzrokiem zdając się przeciwic i opierać panu swojemu.

— Miłościwy panie! nie godzi się, przebacz mi!

— Daj Bóg, byście wy jaśniej widzieli niż moje ojcowskie oczy. Przed tobą mogę duszę otworzyć. Wiesz, Bezprym, Bezprym, co milczy i chodzi zasepiony, który mnie unika żal mając do mnie, Bezprym, którego ja odsądził, silniejszym jest.

Ułękł się nieomal Stoigniew posłyszawszy te słowa, król bowiem nawet przed nim nie zwykł był nigdy wspominać o Bezprymie, synu swym

pierworodnym, którego dla Mieczysława niemal był odepchnął od siebie. Było to dziecię żony, której pamięć królowi została ciężką i przykrą, dziecię, dla którego serca nie miał Bolesław, wychowane między sługi, zgorzkłe od niedoli, znenawidzone i nienawidzące.

Nieustannie miany na oku, trzymany bez działu, bez zatrudnienia, zawsze w Poznaniu, rzadko dopuszczany do ojca, Bezprym w istocie tym bólem

rozdrażniony silniejszym był od ulubieńca Mieszka, był starszym. Stał się on raną i groźbą dla króla, co rad był o nim zapomnieć.

Wzmianka o Bezprymie świadczyła Stoigniewowi, jak król rozżalonym

być musiał, gdy się to imię, którego chciał zabyć, na ustach jego znalazło.

Stoigniew też, mówić nie śmiejąc o tym, przeczuwał w odrzutku przyszłego wichrzyciela. W istocie dość było nań spojrzeć, być z nim chwilę, aby się go ulęknąć. Król pozbyć się pragnąc tego syna, chciał go zrazu do stanu duchownego sposobić. Dany więc był księżom na naukę, z której chciwie korzystał, lecz gdy przyszło składać śluby, okazał do nich wstręt taki, a sami duchowni uznali w nim naturę tak gwałtowną, nie pohamowaną i namiętą, iż śluby odłożyć przynajmniej doradzali. Stało się więc, że Bezprym pozostał tak, życie wiodąc bez celu i napawając się myślami gorzkimi, które zazdrość w nim rozbudzała. Pomiędzy nim a Mieszkiem nie było żadnego ani braterskiego, ni nawet dalszego stosunku.

Otoczony małym dworem złożonym z nadzorców, Bezprym krył się po

kątach, milczał, udawał pokorę, ale z oczów i czoła mu patrzyło zemstą straszliwą. Zamknięty w sobie, nigdy się z żadną nie odkrył myślą, lecz król wiedział przez oddanych sobie ludzi, że gwałtowniejszego i namiętniejszego nad niego nie było w rodzinie charakteru. Gdy go Bolesław strofował i do posłuszeństwa nakłaniał, milczał z głową spuszczoną, słowa nie rzekł, a król czuł w nim coś swojej natury żelaznej i niezłamanej, tylko jakby przemocą wepchniętej do środka, gdzie zamknięta kipiała.

Nie śmiał na wspomnienie o Bezprymie nic rzec Stoigniew, a król

odezwał się patrząc nań.

— Co z tym uczynić? Mieszkowi to niebezpieczny wróg rośnie. Jak

radzisz mi? Krew to moja! Znam ją. Buchnie prędzej, później.

— Miłościwy królu a dlaczegóż, dopóki wybuch nie jest niebezpiecznym, wykpić jej nie dacie? Czemu go trzymać w bezczynności i zamknięciu, aby w nim gorycz rosła i mnożyła się?

— Cugle mu puścić — odparł król — ani ja go wstrzymać potrafię.

Własnej krwi obawiać się muszę. Po matce ma krewnych, znajdzie łatwo sprzymierzeńców między Niemcami. Azali przeciw cesarzowi Ottonowi własny syn nie powstawał?

Sposepniał Stoigniew, spuścił głowę.

— Gdzie człowiek nie może nic — rzekł — Bogu trzeba sprawa zlecić i

Jego prosić.

Westchnęli oba, a Bolesław wpatrując się w ogień szeptał jakby sam do siebie.

— Stary mój! Policz wrogów, zrachuj, co grozi, a nie dziwuj się czołu posepnemu i temu, co mi z duszy bucha. Na jednego Mieszka Bezprym, trzech synów Ody, Czechy, Niemcy, Ruś, dalecy i bliscy, a Mieszek jeden... jeden...i wojak dzielny, ale wódz?

— Wodzem się wojak staje — przerwał Stoigniew.

Zamilkli znowu, a stary namiestnik już był rad przerwać nie miłą

rozmowę i do snu nakłonić.

— Noc późna — rzekł — spocząć by należało.

Gdy na to nie było odpowiedzi, skłonił się do kolan, zwołał komorników, aby łoże przygotowali i na straży pozostali. Tak dzień ten się zakończył długi i ciężki dla króla, który z myślą o mnichu układał się do spoczynku.

Nazajutrz rano, gdy Stoigniew zjawił się znowu u króla, znalazł już u niego Sagana, który przyszedł był z oznajmieniem, iż mimo poszukiwań na podzamczu i po gościńcach mnicha nigdzie nie znaleziono, ani też wieści o nim żadnej nie było.

Wybuchnął król gniewem wielkim.

— Zdrajcami więc tu nawet otoczonym być muszę — zawołał — kiedy

mi jeden słaby jakiś, nieznaną człok śmie się w oczy urągać i spod ręki się mojej wyślizga! Jeśli ujść nie mógł, to go przechowano. Któż on jest! Suknia go broni, więc się zemsty mojej obawiać nie może. Dlaczegoż uchodzi?

Szło o to wielce Stoigniewowi, a jeszcze bardziej duchownym przy

katedrze, ażeby tajemniczego tego mnicha odkryto i zdjęto z nich posądzenie, że go przechowywać mogli. Dnia więc tego nie było zakątka w Gnieźnie, kędyby pachołkowie z grodu i klerycy nie śledzili zbiega, na gościńcu zatrzymywano wozy i jadących, rozesłano na drogi różne, wszystko bezskutecznie. Popłoch tylko wielki sprawiło to pomiędzy ludnością całą, a król jak przybył chmurnym, nawet pogodą Stoigniewową rozweselić się nie dał.

Jedyną rozrywką było i pociechą dłań, gdy mu tego dnia sotnie

pancerników jego i pułki piechoty wyprowadzono na okaz, bo tymi się mógł

pochlubić. Ani niemieckie lepiej uzbrojone i wdrożone do wojny nie były.

Żołnierz był z najlepszego ludu wybrany, zahartowany wyprawami, za domem już nie tęskniący, bo w obozie o nim zapomniał.

Stoigniew i starszyzna rozradowała się ujrzawszy, jak Bolesław

spoglądając na swój lud ożywiał się, otrząsał z gniewów i frasunków i swoje wyprawy przypominając wołał, że z nimi jeszcze pójdzie w pole. Czuł się sam lżejszym i młodszym patrząc na nich.

Do stołu też usiadłszy, gdy zagaili starzy dowódcy o dawnych wojnach, poszła mowa wesoła, śmiechy i przypomnienia. Król się żołnierzem stał i pokrzepił tym lepiej niż najpiękniejszym słowem

otuchy.

Dzień też szedł lepiej, a Bolesław z powrotem do Poznania nie spieszył, cel mając w tej podróży. Zaraz pierwszego wieczora nakazał wysłać

Stoigniewowi do dwunastu radnych wezwanie, aby się do Gniezna ściągnęli.

Tu, na uboczu i bez rozgłosu, chciał jeszcze omówić sprawę królestwa i korony i środki obmyślić ku spełnieniu myśli swojej.

Korona z namaszczeniem rzymskim, z błogosławieństwem duchownym

potrzebna mu była nie dla siebie, ale dla syna, któremu ją chciał jak tarczę od napaści zostawić.

Gdy tu król na zjazd powołanych ze starszyzny czekał, tymczasem mnich, który był znikł z Gniezna bez śladu zjawił się trzeciego dnia w Poznaniu.

Niebytność króla, mającego się za trzymać w Gnieźnie, ośmieliła go snąć do tego kroku i ksiądz Petrek wcale się go już widzieć nie spodziewający uląkł się, gdy go znowu na swym progu zobaczył, uląkł się tak, iż ręce załamał.

— Bóg z wami — zawołał mnich dumnie i szydersko razem — obawiać

się nie macie czego! Wracam ja z gorszego niebezpieczeństwa! W Gnieźnie oko w oko spotkałem się z Bolesławem, gonią mnie tam i śledzą! Gniezno całe strzęsiono, po drogach ścigano łapano.

Uśmiechnął się dumnie.

— Na Boga, dlaczegóż nie uchodzicie co prędzej, jeżeli wam życie miłe?

— zawołał ksiądz Petrek.

— Któż wam powiedział, że ono mi jest miłym? — odparł mnich, za tę

chwilę, którym miał u grobu apostoła królowi rzucając jad w duszę, nie szkoda by i życia!

Ksiądz Petrek blady stał i drżący, widocznym było, żeby się rad pozbył co najrychlej gościa tego niebezpiecznego.

Szczęściem opata Arona nie było w Poznaniu i przyjscia jego się nie

lękał, obawiał się, aby inni szpiegowie, których dwór miał dosyć, nie postrzegli przybysza. Mnich znać te obawy z twarzy księżyny wyczytał, pogardliwie nań spojrział i odezwał się:

— Nie trwóźcie się, mój ojczy, ani siebie, ani was nie chcę podawać na zemstę króla, idę stąd precz, a jestem bezpieczny, bo matce mej i mnie zostali jeszcze, mimo lat wielu, przyjaciele wierni. Mów mi, co mam zanieść tam, skąd przybyłem? Bolesław trawiony jest niepokojem o swe państwo, to

jawne. Czuje, że to, co skleił łupieżami, spod ręki mu się rozleci.

Ksiądz Petrek może dla łacniejszego pozbycia się mnicha zbliżył się doń i począł mówić szybko.

— Ani się łudzić, ani spać nie godzi, mąż to silny i doradców ma

rozumnych. Życia ma jeszcze dosyć przed sobą, by żelaznymi klamrami związał

te kraje. I — dodał: — wiem od opata o jednej sprawie, która może mu dać siłę wielką. Otto włożył mu na skroń koronę, pamięta on o tym i królem się zowie, ale mu trzeba z Rzymu od Ojca Świętego korony namaszczonej, o tę koronę starać się będzie, pójdą po nią posły! Rozumiecie! To groźba dla cesarza. Cesarz posłów do Rzymu nie powinien dopuścić, cesarz w Rzymie musi zapobiec, aby mu nie dano namaszczenia. Na wszystkich drogach posłańców jego pilnować trzeba! Pójdą przebrani, przedziani za obcych, manowcami, krążąc dokoła.

Mówił szybko a cicho, mnich słuchał napawając się tą mową.

— Dajcie znać do arcybiskupa, gdy posły wyjdą, kto, którędy, kiedy.

Noga ich nie pozostanie, zgniją w lochach lub szyję dadzą.

— Tak — rzekł smutnie ksiądz — dam znać, jeżeli co wiedzieć będę. —

Nie z wszystkiego mi się zwierza opat Aron, nie każdą rzecz on powie. Umie milczeć chytry doradca nawet przede mną, co mu jak pies służy. Więcej się domyślać i zgadywać będzie potrzeba, niż można dowiedzieć.

Ręką potarł po czole.

— Opat Aron! — dodał — do wszystkiego jest zdolny, wiedzcie o tym.

Może wyprawi posły jawne, aby skrytych nimi osłonił, może nie jedno, ale trzy i cztery wysłać poselstwa, może.

Potrząsa głową.

— Nie znacie ich — kończył coraz się rozgrzewając. — Bolesław zły,

zawzięty, gniewny, lecz chytrym i skrytym jak ojciec być umie, gdy mu Stoigniew i opat Aron nakażą chytrość i milczenie. Szpiegi nasze po wszystkich dworach, ma ich Bolesław w Magdeburgu, w Kolnie, w Akwizgranie, w

Rzymie...albo ja wiem, gdzie jeszcze! Ma na dworze cesarza, ma u markgrafów i książąt. Złota na to nie żałuje. Ma swoich płatnych w Rzymie i w Rawennie, wszędzie!

— Lecz papież mu korony dać nie może — odezwał się mnich — cesarz

zaprzeczy. Jemu korona! Lecz myśmy z matką gnieźnieńskie i poznańskie kraje złożyli w darze Apostolskiej Stolicy, która nam je, a nie komu innemu nadać przyrzekła. To nie może być.

— W Rzymie! Nie może być? — ruszając ramionami szepnął ksiądz

Petrek niedowierzająco. — Wy to mówicie? Zmienia się panujący, zmieniają widoki.

Pochmurno wejrzał mnich.

— Bezpieczniej mu korony nie dopuścić, gdy zostanie wysłana, niż jej zaprzeczyć w Rzymie — mówił ksiądz Petrek — a więc, niech cesarz bacność ma, niech pilnować każe. Znane są gościńce.

— Do Rzymu one wszystkie prowadzą — odparł mnich. Waszym

obowiązkiem wyszperać, kto i którędy pojedzie, dać znać, wysłać natychmiast.

Sparty na stole ksiądz pisarz zadumany był smutnie.

— Myślicie, że mi to łatwo? — zawołał śmiejąc się ponuro i szydersko, pisać nie mogę, pismo jest najstraszniejszym zdrajcą. Wysłać nie mam kogo, komu zaufać?

Oba milczeli długą chwilę.

— Mamże ja na to czekać, abym się tu o czymś więcej dowiedział? —

spytał mnich. — Gotowym.

Rękami podniesionymi ksiądz Petrek zaprotestował.

— Po cóżeście królowi w oczy wpadli? Na coście na siebie ściągnęli

podejrzanie? Wam nie pozostaje nic, tylko jak najspieszniej suknię zrzuciwszy uchodzić. Kto wie, po gościńcach już mogą być dane rozkazy ścigania mnicha z Korbei.

Nie zdawała się groźba ta ustraszać bynajmniej przybysza.

— Będę wiedział, co poczynać — rzekł chmurno — ale wy, wy mówcie,

co macie czynić?

— Powiedziałem wam to, co mogłem, dość, byście się na bacności mieli, reszta nie do mnie należy. Cesarz silnym jest dość, by środki obmyślić, o co chodzi, wy wiecie. Koronę ma na myśli, do niej wzdycha, chce ją zostawić synowi Emnildy, choć ma starszego syna węgierskiej Judyty, który marnieje zamknięty.

— Pamięta o nim cesarz i my! — mruknął mnich.

Rozmowa poczęta trwała długo jeszcze, a gdy na ostatek mnich, nie

mówiąc dokąd i jak ma się oddalić, pożegnał księdza Petrka, pisarz bojaźliwie wyszedł obejrzeć się dokoła, aby upewnić, że nikt nie postrzeże wymykającego się z jego mieszkania.

Jakoż nie było nikogo w tej stronie podwórza, bo gdy król wyjeżdżał, przerzedzały się tłumy dworskie i folgowała sobie czeladź pańska, siedząc po komorach.

Byстрыm okiem obejrzawszy wszystkie kąty ksiądz Petrek powrócił

przekonany, iż mnich bezpiecznie ujść może ale nie dopatrzył ukrytego za węglem Zyga, który może przypadkiem się tam znajdował. Zobaczywszy

wychodzącego duchownego nieznanego sobie, Zyg natychmiast się wyrwał ze swej kryjówki i zabiegł mu drogę, domagając się pocałowania ręki i

błogosławieństwa.

Nie strwożyło to mnicha, który zadość uczynił prośbie króla, chcąc się go pozbyć co prędzej. Nie przyszło to łatwo, Zyg był natrętny, a nie miał co robić, był nadzwyczaj ciekawy i gadatliwy, zwłaszcza z ludźmi nowymi.

— Jaka to szkoda, mój ojczy! — zawołał skacząc przed nim — że króla

pana nie ma doma! Przyjęto by was na dworze, napojono, nakarmiono i

naładowano kieszenie, ale może byście poszli do królowej?

— Jestem pielgrzymem, zwiedzam kościoły, do dworów nie zachodzę —

odparł mnich przyspieszając kroku.

— To źle czynicie, źle —mówił Zyg — grosz by się przydał! Suknie

macie wytartą! Widzę, żeście po jałmużnie byli u księdza Petrka, ale on nikomu nie da nic. Wziąć, weźmie od każdego ale obdarzyć! E! e! Mądry to człeczyna.

U nas tu mędrszego nie ma. Mówią, że opat Aron rozumny, ale ksiądz Petrek i tego za nos wodzi, ani się spostrzeże.

Próżno zaskakującego mu drogę króla chciał wyminąć mnich, prowadził

go tak wesołek królewski aż do bramy w okopach usiłując namówić do zamku lub do katedry i księży. Wreszcie u mostu karzeł przyzostał, stanął pożegnawszy przychodnia i tu na nową jakąś czatował zabawkę.

Ksiądz Petrek widział Zygę idącego za mnichem i rękę załamał.

Rozdział 2.

W oddalonej części dworca starego nad Cybiną znajdowało się

opuszczone dosyć i zaniedbane teraz mieszkanie, które niegdyś część

niewieściego dworu Mieszka pierwszego zajmowała. Osobny dziedzińczyk z furką na drąg nocą zamykaną poprzedzał je. W podwórku tym niechlujno było i nie baczono widać, aby oku miło spocząć było na nim. Psy wylegiwały się tu na rozrzuconej słomie. Pod daszkiem z jednej strony siedziało na grzędach kilka krogulców, jastrzębi i białozorów zasępionych, z najeżonymi piórami. Kiedy niekiedy przemykał się jakiś pachoł niezdarly z głową ostrzyżoną, w odzieniu lichym, w skórzniach starych, w kozuchu podartym i jakby znudzony, zwlókłszy się pod dach, znikał.

Wszedłszy przez sień do wnętrza, kilka izb napełnionych służbą

niepoczesną przejść było trzeba, nim się do głównej świetlicy dostało. Chociaż zamek był i dworzec pański, nigdzie tu przepychu bolesławowskiego znać nie było. Dostatek wprawdzie znać było wszędzie, lecz ładu i ochędóstwa brakło.

Czeladź jakby uśpiona, jak wpółdrzemiąca nudziła się przy ogniskach wraz z psami, które powyciągane były na ziemi. Wśród niej ogromnego wzrostu człek stary, z samych kości zbudowany, obciążonych skórą grubą, pomarszczoną i czarną, zdawał się pierwsze miejsce zajmować. Odziany w krótki kozuszek, niegdyś sukmem niebieskim, teraz spłowiałym pokryty, w obcisłych spodniach i skórzniach sznurowanych, z brodą posiwiałą, krótko postrzyżoną, siedział stary wpatrzony w ogień, obie ręce sparłszy na kolanach, a głowę na rękach.

Opieszale i cicho mruczająca gawiedź, co go otaczała, nie zdawała go się wcale obchodzić. Nie słuchał jej żartów, śmiechów, przedrwień i ziewania.

Myślami widocznie był gdzie indziej.

Wieczór nadchodził i w izbach zaczynało być ciemno. Stary siedział na pieńku, grzał się, ale choć nieruchomy, nie usypiał, czarne oczy spod brwi nawisłych mu błyskały ogniem młodzieńczym niemal. Wśród czeladzi, którą był

otoczony, olbrzymi ten starzec wychudły na pierwszy rzut oka obcym się wydawał. Twarz miał jakby ogorzałą, czarniejsze gałki oczów wypukłych, budowa ciała twardsza była, potężniejsza, inna. Choć włos mu siwiał, gdy otworzył usta, zęby mu błyszcząły jak u zwierzęcia dzikiego. ostre, do kłania stworzone. Wejrzenia też, którymi rzucał na swych towarzyszków, łagodnymi nie były, malowała się w nich złość i pogarda razem.

Czeladź, leżąca na ziemi i po ławach, czasem ku staremu spoglądała z pewną trwogą a zarazem nienawiścią. Nie okazywali mu poszanowania

pachołkowie, lecz bać się musieli jego siły. On też na nich nie zważał i jakby wstręt miał do obcowania z nimi, sam z sobą coś dumał czy przypominał i o to, co go otaczało nie zdawał się troszczyć. Gdy wreszcie z pieńka, na którym siedział, powstał nie obrócił się też do zalegających izbę pachołków, dwu z nich na ziemi leżących przestąpił ogromnymi nogami, kilku rozepchnął i

skierował

się niedbale wlokąc ku drzwiom, wiodącym do świetlicy.

Wstawszy olbrzym ten wydawał się ogromniejszy jeszcze, lecz spod

odzieży kości mu sterczały. Chudy był straszliwie. Policzki miał wpadłe, a na szyi skóra marszczyła się i fałdowała w najdziwaczniejsze zwoje.

Drzwi do świetlicy wiodące prowadziły do wąskiej sionki, która izbę

czeladzi od niej przedzielała. Drugie dopiero otworzywszy starzec się znalazł w obszernej komnacie. Tu nieład prawie taki jak na podwórku panował. Psów kilka leżących na ziemi, gdy wchodzącego posłyszały, podniosły głowy i poznawszy go legły znowu spokojnie. W kącie na berle siedział ptak zasępiony, widać ulubieniec pana. Chowane wilcze szczenię wystawiło łeb spod ławy i znikło.

U okna, na pokrytej skórą ławicy szerokiej, pół siedział, pół leżał

młodzian wysokiego wzrostu, który spojrzał też na wchodzącego i zwróciwszy doń twarz, pozostał tak wpatrując się w gościa. Starzec widocznie tu był

domowy, szedł powoli, rozglądając się. Tu i ówdzie porozrzucane szaty zmięte zbierał i składał, kubki na stole stojące ustawił inaczej, do próżnego dzbana zajrzał i postawił go w miejscu, gdzie znalazł. Czynił to jakby z beczynności, aby czymś zająć ręce.

Młody człek patrzył na to milczący. Odziany w suknię zszarzałą, która nigdy nie była piękną i kosztowną, z piersiami na pół obnażonymi, niedbale podpasany, znać nie ruszał się dnia tego spod dachu. Twarz jego śniada, nie bez wdzięku, wybladła była i zmęczoną. Oczy miał jakby nałogiem ukrywania wzroku wpadłe pod brwi i skryte, usta zacięte, wyraz cały ponury i srogi razem.

Na wchodzącego spoglądając łagodniał widocznie.

Był to Bezprym, starszy syn królewski z Judyty Węgierki, odepchnięty przez ojca na korzyść Mieszka, niegdyś do duchownego przeznaczony stanu, dziś niepewien, jakie go czekały losy.

— Co ty tu tak błądzisz, Gheza? —zapytał głosem głuchym królewicz. —

Czego szukasz?

Stary ręce złożywszy spuszczone, stanął naprzeciw Bezpryma, głowę przechylił i wpatrzył się w niego milczący.

— A kogóż i czegoż bym ja szukał? — odezwał się Gheza po węgiersku,

bo Bezprym go w języku matki zagadnął — Kogo? Czego? Szukam ciebie

królewiczu mój! Co ty? Co tobie? Jak?

— Jak? Mnie? Dziesięć razy na dzień pytasz o to. Pocziwy Ghezo, jakże mi ma być? Jako tym, co w ciemnicy siedząc czekają wyroku śmierci.

— Rzućcie to, rzućcie! zawołał Gheza. — Myśli tych mieć nie trzeba, a siły zbierać i czekać. Hej! hej! Przyjdzie i nasza godzina, przyjdzie! Znajdziemy i my przyjaciół, będziemy i my panowali.

Bezprym słuchać się zdał z przyjemnością powolnego marzenia swego

sługi, a oczyma jakby doń mówił: praw no dalej co więcej? Gheza też ciągnął głosem cichym i nie spieszącym.

— Albo to królewicz mój nie jest prawym pierworodnym synem

królewskim? Albo to jemu nie należy państwo? Ma to iść do klasztoru i w mnichy, toć chyba Mieszko, a piękną Ryksę po nim dostanie mój pan! I królestwo, i skarby, i koronę!

Stary klasnął w ręce.

Podparty na dłoni słuchał Bezprym.

— Praw, praw stary — szepnął — tyle mojego, że w tej niewoli mam

ciebie, co mi jak piastunka dziecku bajki prawisz! Tyle mojego. Tyś mi został

jeden. Mam ojca, który mnie na oczy nie dopuszcza, mam brata, co mnie znać nie chce, no i więzienie, trochę tylko jaśniejsze i przestronniejsze od tego, w którym trzymają skazanych.

— Gołębiu ty mój, sokole mój biały! Orle złotopióry! — począł stary

Gheza. — Nie narzekaj, a karm się, abyś silny był, gdy ci z klatki przyjdzie wylecieć; przyjdzie ta godzina, przyjdzie! Ja ją widzę oczyma moimi, hej hej.

Eljen! Słyszę, jak cię królem witają.

Zbliżył się kroków parę i rzekł ciszej.

— Pytałem starej wieszczki. Te baby czarownice, one wszystko wiedzą.

Kazałem jej wróżyć przyszłość. Lała воск, wylała z niego koronę! Królem będziesz.

— Pleć stary! — śmiał się Bezprym — ano, czarownic, co ze złym

duchem mają do czynienia, nie pytaj!

Splunął Gheza i ręką w powietrzu zamachnął nad głową.

— To moja sprawa.

— Co dziś we dworze? — pytał Bezprym.

— Co? Co zawsze. Królowa Emnilda się modli i płacze. Król kędyś na łowach. Młoda pani Ryksa zasepiona w krosnach szyje na małżonka czekając.

Mieszka król kędyś na Pomorców wyprawił. Spocząć mu nie daje, wojować musi, choćby nie chciał.

— A małż on w sercu wojnę? — spytał Bezprym.

Gheza głową potrząsał.

— Woli u spódnicy siedzieć, w jedwab się ubrać i słuchać pieśni — rzekł

powoli. — Jużci w polu, gdy człek zobaczy nieprzyjaciela, żeby w nim kropli krwi nie było, ruszy się i bić będzie! Mieszek się bije, a prowadzą go tak, aby ochoty do tego nabrał, ale to pieszczony syn Dobromirowej córki, a nie krew mojego królewicza.

Bezprym się zerwał z ławy, z zapalem jakimś dzikim, dłonią się zdawał szukać miecza i począł szybko do Ghezy.

— Oni myślą, prawda? Oni myślą, że ja do niczego niezdatny? że ja

zgnił, i zwiądl, i zapłakał się, i zamęczył! Gheza? prawda że ja dobrze udaję przed nimi. Patrz... ot, jakim. — To mówiąc ręce na piersiach złożył, głowę spuścił, wzrok utopił w ziemi, zmalął i skulił się pokornie.

— Ale gdy na swobodę wylecę Ghezo, gdy mi wolno będzie o moje się upomnieć prawa, dopiero poznają, kim ja jestem!

Odprostował się, czoło wznosił do góry, długie odrzucając włosy, usta mu się dumnie uśmiechnęły, ujął się ręką w bok jedną, a drugą dźwignął w powietrze. Stary sługa uradowany przypadł mu do kolan i począł w nogi całować.

— Tak! Tak! Królewiczu mój! Orle mój złoty! Takim ci trzeba być, takim cię jeszcze stare moje oczy zobaczą. Przed nimi milczymy, ja i ty! O! Usta zszyte mieć, mieć trzeba. Pytają mnie często chytry ludzie co Bezprym? Ja tylko ruszam ramionami, Ginie marnie, tęsknota go zżera! — mówię — Ano, niech uchowa Bóg, aby to prawda była.

— A jednak ot tak żyć, Ghezo, tak czekać, tak nasłuchiwać — zawołał

Bezprym — ciężko! Są godziny, chce się iść wydusić wszystkich i choćby zginać samemu.

— Niech Bóg uchowa, tsyt! Nie mówcie nawet tego — odezwał się stary

w rękę go całując — nie mówcie. Trzeba żyć, trzeba żyć, aby piękną królowę mieć i koronę złotą, i...

Machnął znów ręką po swojemu.

Na wspomnienie królowej dziki wzrok Bezpryma rozplomieniał. Grała w

nim gorąca krew matki i namiętna dziada i ojca, w marzeniach swych sennych i dziennych widział białą królową i czarne oczy wlepione w siebie.

Z dziecinną jakąś lekkomyślnością, chwytając za rękę Ghezę, rzekł mu śmiejąc się.

— Wezmę Ryksę Mieszkowi, piękna jest! Piękna! Widziałem ją małą,

gdy cesarz Otto przysłał na nasz dwór, żeby się chowała na żonę dla tego... —

wyraz dodał plugawy. — Naówczas już była piękna, ale czy ty widziałeś, Gheza, jaka ona dziś, jaka ona wybujiała, rozkwitła, jaka z niej królowa? Zakradałem się w kościele, żeby się tych niewiast pięknych do syta napatrzeć.

Gheza ręką uderzył po czole.

— A ksiądz na to co mówi?

Bezprym nie odpowiadając ciągnął dalej.

— O! Piękne króla niewiasty i niewolnice, i dwór, i żony żupanów, gdy się postroją do pana, ale piękniejszej nad Ryksę nie ma żadnej. Gheza, ja mu ją wezmę! He?

Stary głową kiwnął.

— On mi moje prawo pierworództwa chce wydrzeć! Mogę go zabić, a ją... zabrać.

— Bratowę? — niedowierzająco spytał Węgier.

— W Rzymie rozgrzeszą, ja wiem. Gorzej niż bratową, Oda, druga żona Mieszkowa, była Chrystusową oblubienicą, a wziął ją i nie było mu nic.

Mówił z taką gorączką, że Gheza przerywać nie śmiał, a zresztą wierzył wszystkiemu i pochwalał wszystko, co ukochany pan powiedział.

— Po świecie jeszcze piękniejszych nad Ryksę i młodszych dużo, —

szeptał.

Tu chwilę pomilczawszy Gheza dla zabawy śnać biednego więźnia do ucha mu szeptać począł.

— No, a wówczas w kościele, jakeście to babom się przypatrywali, nie widzieliście markgrafianki Ody, hę? To dopiero kobieta.

— Widziałem — żywo zawołał Bezprym — piękna jest. Jużci bym ją wziął, ale nie na żonę. Na królowę się nie zdała, bo oczyma bardzo strzela po ludziach.

— O! Strzela, strzela — śmiejąc się dodał Gheza — i już sobie tura upolowała, hę hę!

Bezprym uderzył go po ramieniu.

— Kogo? Myślę, że niejednego? — zapytał.

— Ma ich dostatkiem, co za nią chodzą i śmieją się do niej. A co jeden ten, za wszystkich stanie.

— Kto? kto? Mów!

— Czyż nie wiecie? Mnie bo wam mówić trudno.

Zawahawszy się nieco dodał zaraz.

— A, króla! Króla! Wysoko patrzy młoda markgrafówna, wysoko sięga, śmiała dziewczka, bo myśli, że starą królowę jeszcze wysadzi i nam zapanuje.

Zadumał się Bezprym, a w końcu głową potrząsł.

— Ojciec może ją sobie wziąć, boć nie żałuje, gdy mu co po myśli. Miał ich i ma dosyć, ano, do korony jej daleko.

— Ludzie mówią, że blisko — szeptął Gheza — a co ja wiem...

— Dosyć nas już jest — zawołał Bezprym — Mieszko, ja, Dobromir. Ta by nam jeszcze braci naprowadziła!

Potrząsł głową. Gheza pomilczawszy począł znowu z cicha.

— E, na dworze napatrzeć się i nasłuchać jest czego. Na mnie oni nie bardzo zważają, nie strzegą się,

dziwy czasem plotą. Wszyscy Odzie panowanie przepowiadają, ma ona tu swoich, królowa by się jej rada ze dworu pozbyć, a nie śmie. Nie spojrzę nawet na nią, przecie ona nic nie zważa na to. A gdy króla ma przed sobą, to go tak oczyma łapie, że gdyby i starszy jeszcze był, i nie tak gorący, jak jest, nie obroniłby się.

— Różne prawią też rzeczy — ciągnął dalej Gheza. — Słyszał pan mój o Jaksach, co ich tracić mieli. Mówią, że królowa ich gdzieś schowała, ludzie prorokują, że się to wyda i król skorzysta, by w gniewie starą porzucić, a wziąć młodą.

Bezprym się wstrząsnął.

— Co mi tam! — zawołał — mnie z tego nic! Mojego losu to nie

poprawi!

— Kto wie! — szepnął Gheza.

Gdy tak rozmawiali, a w izbie ciemniało, przez okna, które ku okopom wychodziły na gościniec, dosłyszeli szumu i wrzawy. Bezprym spojrzał.

Orszak wojenny zbliżał się powoli. Na czele jego jechał na koniu siwym, wykwiłtnie rycersko ubrany młodzieniec pięknej i wesołej twarzy. Na głowie miał szyszak z piórem czerwonym, lśniący od złotej blachy, którą był w części okryty, na piersiach pancierz łuskowy, na nim płaszcz z futrem. Pas, nasadzany kamieniami, trzymał miecz w złoto okuty u boku. Twarz jeźdźca z dumą zwracała się ku zamkowi, do którego jechał. Za nim dwu starych wojewodów konno i świetny orszak postępował, pancernicy wszyscy ludzie dorodni i doborni. Przez okno wysoko umieszczone tylko głowy koni i ludzi mógł dojrzeć Bezprym. Zobaczywszy na czele jadącego Mieszka poblądł i pięści zacisnął.

Zerwał się z ławy, aby uniknąć tego widoku, nic nie mówiąc, ale cały drżący.

Gheza, który dojrzał przyczyny tego wzruszenia, starą głową potrzasał w milczeniu. Dopiero gdy cały ten orszak powracających z wyprawy przesunął się przed oknem, Bezprym gwałtownie okiennice zasunął i krokiem żywym po izbie się zaczął przechadzać. Zafrasowany piastun podłożył ognia, zakręcił się po komnacie i do kolan mu się pokłoniwszy szepnął:

— Niechaj! Niechaj! Będziemy i my tak jeździli! Będziemy i my tak

powracali, albo jeszcze lepiej, orle ty mój złoty, będziemy.

Nic nie odpowiadając na tę zwrotkę codzienną, z którą obył się do syta, Bezprym dał rozkaz Ghezie, aby się dowiedział, skąd Mieszko i z czym powracał. Bolało go to, iż czuł w nim zwycięzcę.

— Znowu pobił! Znow cały i zdrów wraca! — mruczał.

— Przyjdzie nań godzina, jak w Czechach! Jak w Czechach! — szepnął

odchodząc Gheza i ze drzwi ruchem głowy przepowiednię tę potwierdził.

W podwórzu wyszedłszy stary Gheza znalazł tu wszystko w ruchu.

Istotnie Mieszko, jak zwykle, wracał z łupem i niewolnikiem. Wycieczka ta zimowa była jakby rodzajem polowania na upatrzonego. Mszcząc jakiejś napaści nadgranicznej Bolesław posłał syna spalić kilka siół i nabrać jeńców, aby rozbójniczych sąsiadów pogan nastraszyć. Wysłani przodem szpiegowie opatrzyli miejsca, czas oznaczyli i Mieszko jak burza spadł na Pomorców, którym stada całe, mienie i mnogo jeńców nabrano.

Jak tylko oznajmiono o przybyciu jego, stara królowa pierwsza wyszła na spotkanie, pierwsza go uścisnęła płacząc z radości.

Mieszko wiedział już, że ojca na zamku nie było, a nim żona pospieszyła przeciw niemu, on sam już był w jej komnacie. Matka mu towarzyszyła. Z

małym Kazimierzem na ręku Ryksa w progu męża witała.

W istocie siostrzenica cesarska była niewiastą uderzającej piękności, ale twarz jej młoda i wdzięczna miała na sobie wyraz powagi jakiejś niemal surowej i chłodnej. Coś zakonnego w ubiorze, w obejściu się, coś wyniosłego i zdającego się w dali świat trzymać od siebie, miała piękna Ryksa.

Między młodzieńczym Mieszkiem wesołej twarzy, nie mówiącej wiele, a

żoną jego, której każde poruszenie i słowo obrachowane się być zdawało, trudno było zrozumieć węzeł, co łączył dwa tak różne charaktery. Królewicz wyglądał

na lekkomyślnego żołnierza, nawykłego do obozowego życia, Ryksa miała oblicze i wyraz świątobliwych niewiast, karmiących się tylko modlitwą.

Wszystko, co otaczało w jej mieszkaniu młodą panią, było wytworne,

świetne, lecz zarazem poważne jak ona. Stała przed mężem w sukni czarnej, w czepcu mężatek, sama krzyż mając na piersi i dziecię trzymając uśmiechnięte, na którego białej szyi także krzyżyk złoty był zawieszony.

Mieszko ku obu wyciągnął ręce na powitanie.

Ryksa wedle zwyczaju schyliła się do ręki swojego pana, on usta z lekka przyłożył do jej czoła, dzieciaka pocałował i wnet królowa oddała go stojącej za sobą niewieście.

Emnilda nie chcąc w tej pierwszej chwili synowi być i synowej natrętną, do wnuka poszła i z nim razem znikła w bocznej izbie. Na twarzy Mieszka nie tyle znać było radości co znużenia.

— Zwlec się muszę z tych żelaznych pęt! — zawołał do żony. — Głodny

jestem, spragniony. Idę zbroję złożyć i powrócę.

Rykosa chciała o coś go spytać, ręką dał znać, jakby słuchać nie chciał i wyszedł.

Gdy jej z oczu znikł, jakiś czas stała z wzrokiem w ziemię wlepionym, potem zwróciła się ku stronie, w którą wyniesiono dziecko, i spokojna, chłodna wyszła za starą królową.

W izbie, w której się królewicz rozbierał, gwarno było. Komnata sypialna cała na zbrojownię wyglądała; obwieszona tarczami, siekierami bojowymi, włóczniami, pancerzami wytwornymi. Ogień, który się na kominie palił, błyskał

na żelaznych i złotych blachach, które ściany okrywały.

Rzeźwa młodzież otoczyła królewicza, spiesząc porozwiązywać rzemyki, porozpinać sprzążki, uwolnić z tych pęt, które go długo więziły, ówczesne wojenne uzbrojenie już niepospolitej wymagało siły i wprawy do dźwigania.

Pod pancerzem z łuski żelaznej, który całe ciało okrywał, noszono jeden lub dwa skórzane kaftany. Pancerze były grubo kute, aby mieczom i dzidom przeciwników opór silny stawić mogły. Broń też, którą dźwigać zmuszony był

rycerz, tarcza, włócznia, miecze, młoty, łuk, oszczep przyczyniały brzemienia.

Czeladź pańska, znać ulubiona Mieszkowi i spoufalona z nim, śmiejąc się i żartując rozdziewała młodego wojaka, który uśmiechem jej odpowiadał. Widać było w Mieszku żołnierza dzielnego, lecz niezbyt rozmiłowanego w swym rzemiośle i nie wiedzonego do boju, jak ojciec, myślą wielką. Walka była dlań rozrywką rycerską, bo brzemień panowania jeszcze na innych spoczywało barkach i synowi nie było pilno je odziedziczyć.

Gdy pancerz z niego ściągnięto, odetchnął królewicz i rzucił się na

posłanie, z wyrazem widocznego zadowolenia.

— Hej, Michno! —zawołał do jednego z czeladzi — idź mi zobacz, czy

łaźnia napalona. Nie pocznę nic, dopóki się w niej nie wyparzę i zimną nie obleję wodą. Dopiero mi siły powrócą!

Łaźnia była naówczas niemal tak jak chleb nieodzowną potrzebą, należała do nawyknień życia, iż się nikt bez niej jak bez jadła nie obchodził. Po całych dniach na królewskim zamku łaźnie dla dworu i dla panów musiały stać w pogotowiu.

Urządzano je z prosta, rozpalając ogromne głązy utrzymanym ciągle

ogniem pod nimi i lejąc na nie wodę. Drewniane ławy, sięgające niemal do stropu, na których stawano, siadano lub legano, wedle upodobania, i od których szło przysłowie: "im kto wyżej siedzi, tym mocniej się poci", kubły z wodą zimną, winniki brzozowe cały przyrząd łaźiebny wielce niewykwinny składały.

Nie miał i król Bolesław wytworniej urządzonej łaźni, a chadzał do niej, jak wiadomo, chętnie i chętnie z sobą drugich prowadził.

Mieszko też nie wątpił, iż łaźnię napaloną i gotową znajdzie, pilno mu było do niej, aby pozbyć ostatków znużenia.

Wtem nadbiegł wysłany Michna, lecz z twarzą, na której widać było, że się nie tak sprawił, jak się spodziewał.

— Łaźnia? — zapytał Mieszek.

Michno się po głowie tarł ręką.

— Łaźnia? — powtórzył królewicz. Daliż jej stróże zastygnąć? To nie może być!

— A! Nie, nie! — pośpieszył chłopak.

— Więc do łaźni! — zawołał królewicz zrywając się z posłania.

— Ale, łaźnia... miłościwy Panie... łaźnia...zajęta — wyszeptał chłopiec.

— Przecież niewiasty swoją mają? — rozśmiał się królewicz, a któż śmiał królewską zajmować?

Michnie wyrazy na ustach zastygły.

— Mówże! — krzyknął zniecierpliwiony pan, kto śmiał.

Michno opuściwszy głowę zaniemiał.

— Wygnać precz! — wołał Mieszko i popatrzawszy na chłopca ręką go chwycił za ramię trzęsąc nim. — Będziesz ty mi mówił! Kto wlaźł do mojej łaźni?

Oczy podniósł błagając Michno i jeszcze się nie zebrał na wyznanie.

— Królewicz Bezprym jest w łaźni! — krzyknął wreszcie czując, że go

Mieszko chwycił silniej.

— Kto? Królewicz? Jaki? Tu nie ma innego nade mnie! — ofuknął

Mieszek. — Słyszysz ty, to? Bezprym! Nie mógł się pójść myć razem ze służbą?

Kto mu pozwolił do królewskiej łaźni? Won go wygnać! Cóż to! Ja na

Bezpryma łaskę będę czekał?

To mówiąc kozuch na siebie wdział królewicz i przez podwórze do

sąsiedniej łaźni pospieszył. Z dala drzwi jej poznać było łatwo po buchającej z nich parze. Mieszko kroczył wprost, służbę prowadząc za sobą.

Bracia, choć w jednym żyli dworze, nigdy się prawie z sobą nie spotykali.

Dawniej Mieszko się próbował zbliżyć do Bezpryma, lecz ten go pogardliwym zbywał milczeniem, przysła później tajemnie tlejąca braterska nienawiść i rosła z dniem każdym. Spotykając się w dziedzińcu, omijali się, jakby nie widzieli.

Zmuszono Bezpryma do oddawania czci młodszemu, ale wybranemu

bratu; król jeden tylko twardym rozkazem mógł to na nim wymóc, nikt inny.

Syn Judyty miał prawo starszeństwa i pierworodztwa wedle europejskiego zwyczaju, dziecię Emnildy, słowiańskim obyczajem młodszych, czuło się powołane do spadku władzy po ojcu. Do nienawiści obu przyczyniło się może, iż w Bezprymie czuł Mieszek wole niezłomną i rozum bystrzejszy, że się go obawiał. Nieraz może przyszło mu na myśl, co słyszał o kneziach ruskich, na co patrzył w domu, że współzawodnika krwawo przyjdzie pozbywać. W

barbarzyńskich tych wiekach chęć panowania, przykład drugich,

usprawiedliwiały te krwawe zapasy nawet w rodzinach.

Z gniewem w piersi wszedł królewicz do łaźni, u której drzwi dwóch

ludzi smolne trzymało pochodnie. Pomimo ich światła we wnętrzu, pełnym pary gęstej, nic widać nie było. Bezprym, któremu oznajmiono o Mieszku, nie myślał

się ruszać z górnej ławy. Stanąwszy w progu gniewny pan zawahał się wszakże, co miał uczynić. Brat mu ustąpić nie chciał, gwałtem go wyrzucić i rozjątrzyć, a niepotrzebną we dworze czynić wrzawę nie życzył sobie królewicz.

Zza obłoków pary w tej chwili ujrzał nagle Bezpryma na górnej ławie, z rękami pod głowę podłożonymi, z nogami podniesionymi do góry, zdającego się czekać i wyzywać gwałt.

To zuchwalstwo rozgniewało Mieszka.

— Precz! do łaźni czeladnej! Słyszysz! — krzyknął rękę podnosząc.

— Każ mnie wyrzucić! — odparł chłodno Bezprym — jeśli się ważysz na

to. Ale twojej czeladzi łby porozbijam, jeśli się mnie tknąć waży.

— Mamli ja czekać na ciebie? — począł rzucając się Mieszko.

— Wolno ci się parzyć, ja nie bronię — szydersko mruknął Bezprym.

Nie mogąc wytrzymać dłużej, idącym za sobą wskazał królewicz, nic nie mówiąc, na brata.

Słudzy zawahali się. Stali spoglądając jedni na drugich. Bezprym był

silny i odważny, mógł dotrzymać, co obiecywał. Pachołkom nie bardzo się chciało głów nadstawiać. Poza nimi jednak stało dwóch z czeladzi łaźiebnej, na pół nagich drabów ogromnych i silnych niewolników wojennych, stworzeń na pół dzikich, dla których walka była niemal pożądaną. Na dany znak ruszyli oni ku ławie.

Bezprym ujrzawszy to chwycił za ławę i zdarł z niej lekko przybity kawał

drzewa, który ujął w dłoń silną, siadł i gotował się do obrony. Dwaj niemi łaźiebnicy trochę się wstrzymali, popatrzyli na się, ruszyli nagle ku rusztowaniu i zręcznie podźwignąwszy je na barkach obalili na ziemię. Razem z ławicą, na której siedział uczepiwszy się jej oburącz, spadł i Bezprym, a nim miał czas potłuczony wydobyć się spod desek, naskoczyli łaźiebni pachołkowie i chwyciwszy go na ręce, choć im włosy darł z głowy, pędem lecąc wynieśli i rzucili na podwórzec nagiego.

We drzwiach stojąca gawiedź poczęła się śmiać z nieszczęśliwego

Bezpryma, który leżał w śniegu. Drzwi od łaźni natychmiast zawalono drągiem i nim się do pomsty zebrać mógł pokrzywdzony, nie miał już przed sobą nikogo.

Kłęczał tylko u nóg jego stary Gheza i obejmował go rękami trzęsąc się z gniewu cały, ciągnąc swojego pana, na którego własną opończę narzucił, na jego podwórze. Bezprym powstał, obejrzał się obłąkanym wzrokiem ku łaźni i podtrzymywany przez sługę wiernego znikł w furcie wiodącej do jego dworca.

W podwórzu cicho było i pusto, dopiero po oddaleniu się Bezpryma wyjrzała czeladź Mieszkowa z łaźni rozglądając się bojaźliwie.

Królewicz zwyciężył wprawdzie, lecz sam nierad był swojemu

zwycięstwu. Czuł to dobrze, że do mnogich uraz dodał jeszcze jedną nie przebaczoną. Pozostało w nim niepokojące trwogi jakiejś uczucie.

Ze sromem i spuszczoną głową, milczący jak kamień, Bezprym się

przywłókł do izby swojej. Tu Gheza przyklęknąwszy począł go ocierać, rozgrzewać, pieścić jak dziecko, przemawiać doń wyrazy pełnymi słodyczy.

Syn Judyty siedział głuchy, niemy jak posąg. Łza mu nie pociekła z oka, wyraz z ust się nie dobył, pięści miał zaciśnione, zdawał się skamieniały z bólu, zabity. Głowa, opadła na piersi, wisiała bezwładnie.

Jak dziecko dał się oblec, jak nieprzytomny położyć. Piastun mu przyniósł

kubek jakiegoś napoju ciepłego i wlał w usta prawie siłą. Próbował on na próżno rozmaitymi pytaniami wywołać z niego choć wyraz, choć westchnienie.

Bezprym usta miał zaciśnięte i nie otworzył ich nawet dla pocziwego sługi.

Ręką tylko zimną pogłaskał go po głowie za odpowiedź całą. Gheza mówił za dwu:

— Sokole mój, orle mój złoty! Zobaczysz, doczekamy, wybije zemsty

godzina. Odpłaci nam za to Mieszek, weźmiemy mu królestwo, zabierzemy żonę, wyżeniam go z tej ziemi, tak jak on śmiał.

I Gheza nogi wychowanka swojego obejmując rękami tulił, osłaniał, aż póki znużenie i ból zdrętwienia okrutnego nie zmieniły w sen gorączkowy.

Gdy Mieszko po łaźni przyodziawszy się powrócił do żony i matki, Ryksa łatwo poznać mogła po twarzy jego, która nigdy nic ukryć nie umiała, że nim jeszcze jakiś nie dogorzały gniew miotał, ale pytać go nie śmiała. Posępnym był

królewicz i milczącym, a zwierzać się nie chciał z tego, co uczynił.

Nie mogło to pozostać w ukryciu tajemnicą dla nikogo. Z okien owego

podwórka wielu na to patrzyło ludzi, czeladź królewicza była świadkiem wypadku, natychmiast wieść się rozbiegła po dworze, doszła do królowej, która ją przyjęła z przerażeniem, do Ryksy, wcale nie myślącej ujmować się za Bezpryma, na ostatek do Ody, która się tym uradowała.

Tegoż wieczora późno już do celi księdza Petrka, który jeszcze odprawiał

modlitwy, zapukał zdyszany Harno. Z twarzy zaraz poznał ksiądz, że mu wieść jakąś ciekawą przy nosił, i posunął się naprzeciw niemu.

— Królewicz powrócił! — ozwał się przybyły.

— Nie miałeś z czym przychodzić, bo to dla mnie nie nowina — przerwał

kwaśno ksiądz Petrek.

— To nic — dodał komornik — to nic, ale zaraz przybywszy zachciało

mu się do łaźni. Tam parzył się Bezprym i ustąpić mu nie chciał. Kazał go precz na dwór, na śnieg wyrzucić i łaźiebnicy ledwie mu dali radę.

Ksiądz Petrek słuchał z widoczną radością, której w pierwszej chwili zapomniał nawet ukryć. Harno też, jak człowiek prosty, co się z każdej psoty śmieje, niemal się cieszył z tej przygody.

— I Bezprym to zniósł? Tak? — zapytał księżyna — i nic?

— A co miał czynić? Zamknięto drzwi łaźni wewnątrz drągiem. Gheza go wziął, otulił i niemal zaniósł do izby, bo ledwie mógł iść potłuczony.

Uśmiechu błogiego jakiegoś uszczęśliwienia, który się po ustach księdza Petrka prześliznął, nie podobna opisać. Rad był widocznie tej katastrofie, lecz przed Harnem nie chciał się zdradzić, wprędce więc twarz zasępił i rzekł po cichu.

— Wielkie to nieszczęście, gdy się ludzie bliscy tak nienawidzą. i takich dopuszczają gwałtów na sobie. A byli świadkowie?

— Łaziebnicy, czeladź, pełno ludzi, srom widzieli wszyscy.

Ksiądz Petrek głową litościwie potrząsał. Harno ucałował rękę jego, rad, że pierwszy mu przyniósł wiadomość tę tak ważną, pokłonił się i z izby wysunął.

Tegoż wieczora wiedziano o tym na podzamczu, mówiono w całym

grodzie. Ludzie jedni brali stronę królewicza, mniejsza liczba litowała się nad Bezprymem, w tych wiekach panowania siły, uczucie chrześcijańskie nie było jeszcze tak wyrobionym, ażeby po stronie słabszego stanąć miało. Cieszono się, że spadkobierca Bolesława takie męstwo okazał.

Rozdział 3.

Gdy się Jaksowie znaleźli w nowym więzieniu, do którego dalekie jakieś dochodziły mruczenia i głosy nie byli jeszcze pewni ocalenia. Zdawało się im, że śmierć mogła być tylko odroczonej. Wśród ciemności poczęli szukać, na czym by się zeprzeć lub położyć mogli, lecz izba była pustą. Legli więc przy ścianie na ziemi z obojętnością ludzi, co nic do stracenia nie mając nie troszczą się, jak ostatnie chwile przeciągniętego życia przepędzą.

Upłynął czas długi, a nic ciszy i mroku nie przerwało. Na ostatek usłyszeli klucz chodzący w zamku drzwi nie tych, którymi ich wprowadzono, lecz w innej umieszczonych ścianie. Ukazało się w nich światółko i wszedł maleńki, przygarbiony człowiek niemłody, z lampką w ręku, którą osłaniał. Okryty był

suknią czarną, kroju, jakim ją duchowni nosili, z sukna grubego. Na głowie miał czapczkę z futrem, która mu uszy i część bladych okrywała policzków.

Wszedłszy jakby z obawą i wahaniem, wzrokiem niepewnym,

strwożonym popatrzał na dwu braci, pilno się im przyglądając. Być może, iż inaczej wcale wyobrażał sobie zbójców na śmierć skazanych. Gdy zobaczył

łagodne a smętne twarze Jaksów, którzy za ręce się trzymając powstali z ziemi, mocno zdziwionym się zdawał. Palec położył na ustach. Zawrócił się szybko ku drzwiom, którymi wszedł i zza nich wydobyl kosz zostawiony. Było w nim jedzenie, jakiego dawno już dwaj skazani nie kosztowali, był dzbanek z napojem. W milczeniu starowina koszyk postawił przed nimi, ruchem ręki zachęcając ich

do jedzenia, lampkę postawił na przymurku Sam ręce złożony stał niemy i zaciekawiony, ciągle w nich wpatrując.

Andruszka pierwszy się odezwał po cichu.

— Mój ojciec, kiedy nas tracić mają?

Usłyszawszy głos jakby się go uląkł przybyły, znowu rękę na ustach położył.

— Nic, nic nie wiem, nic.

— Lecz...

— To wam powie kto inny, nie moja rzecz. — I ręką na kosz pokazał.

Chociaż niepewni przyszłego losu swego, Jaksowie tak byli zgłodnieli, że Jurga wyciągnął rękę do kosza. Zobaczywszy ich jedzących stary powstał chwilę, zostawił lampkę mało co dającą światełka i wyszedł drzwi zamykając za sobą.

W dzbanie był miód, jadło z mięsiwa i chleba złożone, wydało się ono zgłodniałym dziwnie dobrym. Zapomnieli, że może wkrótce przyjdzie umierać.

Srogi głód miał swe prawa, które zmuszały zapomnieć nawet o

niebezpieczeństwie. Przygotowani na śmierć z rycerską obojętnością czekali godziny wyroku. Jakąś siłą nową wlał w nich napój i jadło, Andruszka się uśmiechnął.

— Po co nas karmią na śmierć? — zawołał.

— Kto wie? — rzekł Jurga — coś się stać musiało. Wyrok królewski

śmierć przede dniem zapowiadał, a to już dzień, biały dzień.

Jurga wskazał okno w górze wysoko, przez którego okiennicy szczeliny widać było przedzierający się blask dnia jasnego.

— Tak, dzień — potwierdził Andruszka.

— Może się na jednym wreszcie zlitują — dodał młodszy. — Jeżeli ważą jeszcze, którego mają tracić jam gotowy.

Starszy go po rękę uderzył i głową potrząsał, w tejże chwili klucz się w zamku obrócił. Otworzyły się one i schylając się wszedł inny duchowny, nieznanym obu braciom, mąż poważny, z krzyżem na piersiach, na ciężkim złotym zwieszonym łańcuchu. Za nim widać było staruszkę, co przyniósł kosz, ale ten, wpuściwszy go, sam nie wchodząc, zewnątrz pozostał.

Bracia powstali na widok księdza, którego rękę poszli ucałować wedle zwyczaju.

Piękna twarz duchownego, choć surowa, nie zdawała się im nic złego

zwiastować. Szedł, jakby pociechę niosąc z sobą, a nim mówić począł, zmierzył

też wejrzeniem baczny Jaksów.

Ci stali przed nim milczący.

— Przyszedłem wam, moje dzieci, zwiastować jeżeli nie ocalenie, to

nadzieję tego. Nie mogę, bo prawa nie mam powiedzieć wam, ani komu to winni jesteście, ani co wam przeznaczono. Uczyniono wszakże tyle, iż spod gniewnej ręki króla miłościwa opieka was wyrwała. Nadzieja więc w Bogu, iż czas ułagodzi pana i możecie być ocaleni. Lecz w Bożej to woli, w Bożej łasce.

Módlcie się o nią.

Tu zamilknąwszy nieco duchowny mówił dalej.

— Na swobodę wynijść, choćbyście rycerskim słowem byli związani, nie możecie. Ktoś nieopatrzny zobaczyłby was, wydałaby się przed czasem

tajemnica. Są dobrzy, ale i złych ludzi jest wielu. Musicie więc pozostać w zamknięciu, tu lub może gdzie indziej. Dla świata umarli jesteście, nikt wiedzieć nie powinien, że żyjecie. Macie czas na pokutę i żal za grzechy.

Słuchając tej mowy, choć otucha w serca ich wstąpiła, dwaj Jaksowie

mniej daleko radości okazali, niż spodziewać się było można.

Ludziom rycerskiego powołania, nawykłym do swobody, do ruchu, do

nieustannego zajęcia niewola wśród czterech murów wydawała się niemal śmierci równą. Siedzieć tak w tej ciszy nie widząc nikogo, nie wiedząc, co się wkoło działo, nie mogąc rozkurczyć, chwycić powietrza, pocieszyć światłem, karą było okrutną.

Pocieszało ich to może jedno, że rozdzielonymi być nie mieli. Tak się przynajmniej spodziewali.

Andruszka rzekł z westchnieniem.

— Ojczy przewielebny, zostawcie nas przynajmniej razem. Sroga by rzecz była.

— Będziecie z sobą — odparł duchowny — nie zbędzie wam na niczym,

oprócz, niestety swobody i ludzi. A żebyście zaś o Bogu nie zapomnieli, parę razy w tydzień możecie zza kraty, do której was zawiedzie stróż, wysłuchać rannej mszy świętej. Powtarzać wam nie trzeba, iż gdybyście, na nieszczęście, poznani i napatrzeni przez kogo byli, życiem to przyplacić możecie. Więc idąc na mszę i w kościele twarze zakrywać musicie i do nikogo nie mówić słowa.

Ksiądz dodał:

— Bóg z wami! — skinął głową i z powagą krokiem wolnym wyszedł z

izby. Drzwi zaryglowano za nim. Bracia padli sobie w objęcia i ścisnąć się zaczęli radośnie.

Mieli przynajmniej nadzieję.

Cały ten dzień szeptali z sobą gubiąc się w domysłach, kto ich mógł od zguby uratować, czyjej odwadze winnymi byli to przechowanie. Znali oni dobrze Bolesława i wiedzieli, na jakie narażał się niebezpieczeństwo ten, co się śmiał woli jego przeciwieć. Jurga wpadał na myśl, iż ojcu Teodory mógł być winien tę łaskę, a łzom jego córki. Andruszka posądzał raczej opata tynieckiego, którego przybycie do ciemnicy było jakby obietnicą lepszego losu. Żaden nie sięgnął nawet myślą do królowej, której pośrednictwa w sprawie swej nie przypuszczali.

Tegoż dnia stary kleryk przyniósł im słomę na posłanie i dzban wody.

Zdawał się przeznaczonym na ich usługi, lecz gdy się z nim rozgadać próbowali, kładł palec na ustach i przestraszony zaklinał się, iż o niczym nie wie.

W niedzielę, która w parę dni potem nastąpiła, ten sam staruszek

przyniósł im dwie czarne z kapturami opończe i kazawszy się w nie odziać, korytarzami poprowadził z sobą, zakazując rozmowy. Ciemnymi przejściami dostali się do izdebki pustej nad zakrystią, z małym oknem kraciastym na kościół wychodzącym. U wielkiego ołtarza kapłan wychodził właśnie z prymarią odprawianą o dnia brzasku.

Kościół był mało oświecony i prawie pusty. Poznali łatwo, że byli w tumie poznańskim, w którym tylekroć z orszakiem króla nabożeństwu

uroczystemu byli przytomni. Kilku duchownych tylko widać było w chórze i kilka jakichś pobożnych osób świeckich w głębi.

Jak tylko nabożeństwo się skończyło, stary ich stróż otworzył izbę i nazad przeprowadził do więzienia. Srogo się ono już dwom Jaksom czuć dawało.

Cisza, milczenie, próżnowanie, niewiadomość, jak długo potrwać może ta niewola, czyniły ją nad wyraz srogą i ciężką. Jurga, którego już sen nawet nie brał, rzucał się zrazu jak dziki zwierz, potem zbolały opadł na siłach, zatęsknił, zachorzał.

Nie wstawał z posłania, milczał, zdawał się śmierci wyglądać.

Wytrwalszy brat czuwał nad nim i widząc go tak w oczach ginącym zaklął

stróża, aby o tym starszego duchownego uwiadomił.

Tegoż dnia nadszedł on do więzienia. Jurga ledwie zobaczywszy mógł

podnieść głowę, która zaraz na posłanie opadła bezsilna. Andruszka zwlókł się do księdza.

— Mój ojcie — rzekł — winniśmy ocalenie nas od śmierci gwałtownej

dobroczyńności, łasce, nie wiemy czyjej. Lecz zgnijemy tu z tęsknicy, natura nasza nie znosi zamknięcia i więzienia. Jurga mi w oczach ginie. Umrze on, umrę i ja po nim. Tyle tylko, że się pomęczymy dłużej.

Ksiądz wysłuchał ze smutkiem skargi, lecz zdawał się nie wiedzieć, co z nimi począć. Zbliżył się do Jurgi i przekonał sam, iż go choroba trawiła. Nie mówiąc nic, uczyniwszy tylko nadzieję powrotu, odszedł. Drugiego dopiero dnia powrócił nie sam. Znany braciom opat tyniecki Aron mu towarzyszył, któremu tamten wielkie okazywał uszanowanie. Opat począł od rozpatrzenia się i wybadania Jurgi i przekonał, że mu istotnie groziło niebezpieczeństwo. Zdawał

się jednak i on nie wiedzieć, co począć, jak radzić.

— Idzie o życie wasze — rzekł. — Ktokolwiek was na swobodzie

zobaczy, wyda, naówczas nie tylko wy zginiecie, ale zgubicie osoby, które ocalić was chciały. Nie widzę ja nic innego, tylko przeprowadzenie was do szerszego więzienia, do mojego klasztoru w Tyńcu, gdzie w celach zakonnych przynajmniej na słońce patrzeć, z braćmi, co was nie wydadzą, obcować będziecie mogli. Lecz jakże się wam nie postrzeżonym i nie poznanym dostać do Tyńca?

Andruszka podchwycił żywo poręczając, że gotowi będą nocami,

manowcami przedzierać się na miejsce, ludzi unikając, nie mówiąc do nikogo, bodaj twarze osłoniwszy. Jurga nawet zasłyszawszy o tym, podniósł głowę i słabym głosem poręczył, że raczej umrze gotowi niż dobroczyńców swych zdradzić.

Poczęła się tedy narada długa i wielka, jak podróż tę, na owe czasy niemając, przyprowadzić do skutku. Ułatwiała ją to jedno, że obu braciom, nawykłym do wycieczek i wypraw wojennych, kraj cały dobrze był znany, że umieli i w obcych stronach dawać sobie radę, a ówczesne lasy i puszcze, połowę znaczniejszą ziemi zalegające, i pora, nawet zimowa, podróż tajemną możliwą czyniły.

Opat Aron nie przyrzekając nic brał to do namysłu, a gdy towarzyszący mu duchowny wyszedł, dodał z pewnym wahaniem:

— Znajdziecie w Tyńcu bracią moją z różnych stron i języków świata tam zebraną. Moglibyście z tego korzystać. Do stanu duchownego nie myślę was namawiać, bo wiem, że to nie dla takich rycerzy jak wy powołanie. Moglibyście wszakże, rozpytawszy się i objaśniwszy u ojców, przygotować do podróży większej daleko, która by wam ocalenie zapewniła.

Tu spojrzawszy na ciekawie go słuchających ciągnął opat dalej.

Król a pan nasz miłościwy potrzebę mieć będzie wielką wysłać ludzi —

zręcznych i pewnych w sprawie ważnej...daleko... Kto wie? Do Rzymu może?

Do samego Ojca Świętego. Zręczności do niej i męstwa wielkiego potrzeba, niebezpieczeństw do przebycia znajdzie się dosyć. Moglibyście mieć w pomoc dodanego braciszka Włocha.

Na samą wzmiankę o wyprawie podobnej Andruszka rzucił się ręce opata całować, a Jurga podniósł, jakby mu sił przybyło. Lecz dnia tego na kilku się słowach skończyło.

Natychmiast prawie odżył młodszy. Uradowany Andruszka ujrzał go tego wieczora znacznie orzeźwionym, noc przespał spokojnie, obudził się silniejszy, smak mu dojadła powrócił i gdy trzeciego dnia opat Aron przybył do nich, znalazł go już trzymającego się o swej sile.

Stańto tedy na tym, iż przygotowania do podróży uczynione być miały, ale że się to wszystko tajemnie odbywało, czasu więc trochę zabrać musiały.

Jurga i Andruszka raz nocą wydobywszy się za bramy zamkowe, co opat

ułatwić obiecywał, nie potrzebowali już przewodnika. Nadchodziły pod pełnię noce księżycowe, mieli więc jechać lasami i nocami, odpoczywając w szałasach, w gąszczach przez dzień i nigdzie nie zajeżdżając. Na to Jaksowie uroczyste dać musieli słowo rycerskie, a co rzekli, na to się spuścić było można. Ofiarowali się zresztą choćby uroczystą stwierdzić swe przyrzeczenia przysięgą.

— Tym ważniejsza to rzecz — dodał opat — iż nie wiem, w jaki sposób i z jakiego powodu obudziły się w ludziach podejrzenia, iż nie zostaliście straceni. Nieprzyjaciele tych, którym winniście ocalenie — (opat wymienić nie chciał nikogo) — mogliby z najmniejszej korzystać poszlaki, by przed królem ich oskarżyć. Ostrożności więc potrzeba nadzwyczajnej.

Chociaż opat Aron chciał czekać na to, aby Jurga, który przychodził do siebie, sił więcej nabrał, zaręczyli mu oba, że podołają i najcięższej podróży, gdy się na swobodę, powietrze i światło wydobędą. Dnia jednak nie

wyznaczono do wyjazdu. Oba bracia z gorączką niecierpliwą go wyczekiwali.

Jednego wieczora, gdy każdy szelest ich poruszał, tak że się natychmiast zrywali sądząc, iż już nadeszła godzina w istocie później niż zwykle we drzwiach klucz się dał słyszeć. Otworzył je kleryk stary, ale za nim widać było w progu stojące i jakby wahające się, czy wniknąć mają, dwie jeszcze osoby.

Potwierdziły się domysły Jurgi, gdy z dala we drzwiach poznał naprzód starego Sieciecha ale za nim szła z zasłoną na twarz zapuszczoną niewiasta.

Serce powiedziało więźniowi, choć się tego nie mógł nigdy spodziewać, że to była Teodora.

I ona to była w istocie. Pieszczona ojca jedynaczka wyblagała u niego tę nadzwyczajną łaskę, by Jurge, którego za narzeczonego swego przyszłego uważała, mogła widzieć, nimby na niepewne puścił się losy. Długo opierał się stary nie chcąc dozwolić na to, ubłagała go córka, dopuściła królowa, ażeby z ust jej Jurga posłyszał wyrazy do poprawy życia pobudzające. Piękna

Sieciechówna, która tyle męstwa okazała napraszając się, by jej narzeczonego widzieć dozwolono, gdy się znalazła w progu tej izby strasznej i ciemnej, gdy zobaczyła Jurge tak chorobą i niewolą zmienionym, w nędznej odzieży, rozplakała się i osłabła.

Ukląkł przed nią po rycersku Jaksza, ale wnet też chwilowa owa słabość minęła i odważne dziewczę odzyskało przytomność.

Słów tam wyrzeczono mało. Sieciech po ojcowsku napominać zaczął,

Teodora prosiła obu żeby się nie narażali na to, by zdradzonymi być mogli.

Przyniosła ona od siebie poświęcony krzyżyk narzeczonemu, który go miał bronić od niebezpieczeństwa.

Jurga stał się wesołym niemal.

— A! Wiedziałem ja! — zawołał — komu ocalenie nasze mieliśmy zawdzięczać.

— Jeżeli myślicie, iż mnie lub ojcu mojemu je winniście —

odpowiedziała Teodora — mylicie się. Prosiłam ja i on za wami, lecz,.. lecz ocalił was kto inny, czyjego imienia wyrzec mi się nie godzi.

Zdziwili się Jaksowie, lecz i teraz jeszcze królowa im na myśl nie

przyszła. Wiedzieli, że prosiła i ona za nimi, ale prośba odrzuconą została.

Dopytywać nie śmieli.

Po krótkim pożegnaniu, z którego dowiedzieli się, iż tejże nocy wyruszyć mają, Sieciech z córką opuścił więzienie, a bracia żywo poczęli się gotować do drogi, do której już odzież i oręż mieli przez opata dostarczone. Stary kleryk im pomagał.

Późna już była noc, gdy wszedł opat Aron. Z nim razem opuścili celę w tumie i zeszli w podwórze, gdzie na nich dwa konie czekały. Kazano im je aż do wrót, w których straż stała, prowadzić w rękę. Niedaleko od tumu furta wiodła na pole. U tej jak u innych, choć czasu pokoju było to zbytecznym, straż stała, gdyż Bolesław wszelakiej zdrady, podejścia i napaści się obawiał.

Opat Aron pierwszy dając się poznać straży wyszedł stąd na pole i

opowiadając, swoich dwu posłańców, braci za sobą wyprowadził.

Ucałował rękę jego, dosiedli koni z niewysłowionym tym uczuciem,

jakiego doznaje człowiek długo zamknięty, gdy nagle wydobędzie się na swobodę. Nie mówiąc do siebie słowa poparli konie, co żywiej oddalając się od grodu, którego okolice szczególnie były niebezpieczne. Lecz zimową nocą spotkania czyjegokolwiek mało się mogli obawiać, a po zmarzłej ziemi i wodach na wprost skierowali się ku najbliższym lasom. Obu okolica doskonale była znana, bo nieskończoną liczbę razy w niej z królem polowali. Zbłąkania się więc obawy nie mieli.

Jeszcze opat stał w furcie, aby się naocznie upewnić o ich oddaleniu, gdy puściwszy konie Andruszka i Jurga znikli mu już w zaroślach.

Śledzący pilnie sprawę Jaksów ksiądz pisarz Petrek nabierał przekonania silniejszego coraz, iż coś w tym było ciemnego. Doszedł on z pomocą Harna, że stracenie Jaksów było niepodobieństwem. Daleko trudniej mógł się dowiedzieć, co z nimi uczyniono i kto był główną tej sprawy sprężyną. Opat Aron, którego zaufanie posiadał (jak mu się zdawało), z różnych stron zρέcznie badany, nie dał

z siebie ani słówka wydobyć. Sądził więc ksiądz Petrek, iż nie wiedział chyba o niczym. Posądził starego ojca Teodory, ale ten okazując mu wielkie

uszanowanie, jakie się każdemu należało duchownemu, trzymał się od niego z dala.

W tumie księży byli w dobrych z księdzem Petrkiem stosunkach, który

ich sobie jednał przepisując im na kawałkach pergaminu rozmaite hymny i sekwencje kościelne. I ci jednak, przyjmując księdza protonotariusza gościnnie, bliższych z nim nie zawierali stosunków. Umiał on zρέcznie i tu, i gdzie indziej rozmowę naprowadzać na smutną tragedię Jaksów, rzucał dwuznaczne wyrazy pragnąc dać do zrozumienia, że coś wiedział i że był do tajemnicy

przypuszczony, to mu jednak do wydobycia jej nie pomogło.

Z rozmaitych poszlak zdawało się księdzu pisarzowi, iż Jaksowie gdzie indziej schronienia znaleźć nie mogli, tylko u tych księży. Tu więc skierował

swe kroki już nie do starszyny się zwracając, ale do kleryków i posługaczy kościelnych.

Milczący staruszek, który miał klucz od więzienia Jaksów i w ogóle od wszystkich izb na tumie, dla gości obcych i dla winowajców przeznaczonych, zdał mu się najpewniej rzeczy świadomym. Był to milczący starowina, pobożny służka kościoła, który nad jedno święcenie więcej nie miał i mieć nie pragnął, przy katedrze gorliwie chodził, szanował starszych, rozkazy ich spełniał i daleko nie widział. Zwano go bratem Ruprechtem. Przy pierwszej swej bytności około tumu ksiądz Petrek rozmowę z nim przyjazną zawiązał. Brat Ruprecht, któremu pochlebiało to, że kapłan tak wysoko u dworu położony poufałe się z nim obchodził, chętnie się wdał w gawędę nie sądząc, ażeby dla księdza Petrka mogły być jakie tajemnice. Sam on nie wiedział dobrze, co to byli za winowajcy, których mu strzec kazano, miał ich za grzeszników- srogą kościelną odbywających pokutę. Ciekawość wiek już w nim przytępił.

— Dużo masz i roboty, i zachodu, mój bracie — mówił doń pisarz — na

twe stare lata ciężko ci już być musi.

— Nie, *solī Deo gloria!* — rzekł braciszek — bo zwykł był ten pobożny wykrzyk często powtarzać.

— Już się człowiek wdrożył i drepcze nie czując znużenia.

— Macie bo pewnie i więźniów w tumie do pilnowania.

— A zawsze ich tam coś jest, rzekł stary, ludzie nie anioły, toć to jeszcze półpoganów dużo.

— Tak, tak — potwierdził ksiądz Petrek — a z tymi więźniami ciężka

sprawa, bo to butne i zuchwałe.

— Nie wszyscy, kaja się wielu.

— Teraz ich tam dużo u was? — zapytał nawiasowo ksiądz Petrek.

— Było więcej, dwu mi wczoraj ubyło.

— Wczoraj, na raz dwu! Ulga wielka, cóż to za ludzie byli?

— Pono wojenni jacyś, na rycerzy wyglądali ano dziwnie łagodni i cisi byli.

— Młodzi, starzy?

— Młodzi jeszcze oba. Jeden mi tu chorzał z tęsknoty czy zamknięcia, ano odszedł.

— Cóż to za jedni mogli być? boć ja tu o wszystkich wiem, a takich dwu przypomnieć sobie nie mogę.

— Jam też nazwisk i imion nie był ciekawy. Zdało mi się, że braćmi

chyba być musieli, gdyż się z sobą kochali bardzo.

— Na wolność ich puszczono? — zapytał ksiądz Petrek, który był już

pewien, że za nic chwycił, i chciał dotrzeć do kłębka.

— Pewnie, pewnie, ja tam nie wiem, nie moja to rzecz, nie moja — rzekł

stary. — Nocą ich wyprowadzono ode mnie.

— Wczoraj?

— Tak jest — rzekł dobroduszny Ruprecht.

To mówiąc, ponieważ go już kędyś powoływano, pożegnał pokornie

księdza protonotariusza i pospieszył z powrotem. Jeden z komorników znać widział go na rozmowie z księdzem Petrkiem i uląkł się, aby go nie badał.

Zaledwie stary podszedł ku niemu, zapytał, czy pisarz nie wyciągał go na rozmowy o więźniach. Zdziwiony niezmiernie, nie przyznał się winowajca do tego, co mówił z księdzem Petrkiem, któremu nie dowierzano i lękano się go powszechnie. Już pisarz, rad z podchwyczonej wiadomości, miał powracać do swej celi, gdy go zaproszono, aby wstąpił i spoczął. Trzeba było naprawić, co pocziwy popsuł starowina, i zbić z tropu księdza Petka.

Dosyć zręcznie się do tego wzięto, niby z wypadku rozmowę zwróciwszy na dwu braci zmyślnego nazwiska, którzy za życie rozwiązałe świeżo

więzieniem i postem byli karani, a wczoraj wypuszczeni, po odbyciu pokuty.

Opowiadanie miało wszelkiego prawdopodobieństwa cechy, zachwiało

niewiele księdza protonotariusza, lecz po rozmyśle uznał on to, czym było, podejściem tylko. Stał przy swoim.

Jakiś czas przebywszy na obojętnej rozmowie w tumie powrócił ksiądz

Petrek do swej celi. Tu począł dopiero rozmyślać, jak miał postąpić, aby trudów swych nagrodę osiągnąć.

Wszystko, co mogło królowi Bolesławowi przyczynić trosk, gniewu,

niepokoju, pożądanym było dla skrytego sługi arcybiskupa merseburskiego i cesarza. Zasiać we dworze waśń, podejrzenie, pobożną królowę usunąć, którą za opiekunkę i orędowniczkę uważano celem było dla księdza Petka.

Opat Aron nazajutrz wyjechał był do jednego z podległych mu

pomniejszych klasztorków, które wówczas zakładali możni. Spodziewano się powrotu króla. W czasie niebytności powiernika duchownego, ksiądz Petrek miał dobrą zręczność docisnąć się do niego i gdyby się udało rzucić jakie ziarnko, co by kiełkowało w przyszłości. Czekał więc niecierpliwie ażeby król z Gniezna powrócił, a modlił się o to, aby opata z sobą nie przywiózł lub by go ten nie uprzedził do Poznania. Prośby te zostały wysłuchane, następnego wieczora król w licznym orszaku, weselszy, niż wyjechał, rad, że syna ulubionego zobaczy, stawił się na gród nad Cybiną.

Ciche dworce natychmiast nowym życiem zakipsiały. Co żyło, ruszyło

przeciw panu i na jego posługi. Rozjaśniły się lica, Bolesław powracał dobrej myśli.

Ksiądz Petrek już przez swoich wiedział, że w Gnieźnie narada była

pańskiej drużyny, że zgodzili się na to wszyscy, iż król uroczyście koronowanym być powinien, że wszelkimi sposobami o koronę, choćby ofiarą największą, starać się było potrzeba.

Wieczora tego król był tak otoczony i domownikami, i rodziną, i posłami, którzy tu nań czekali, iż się doń docisnąć było prawie niepodobieństwem.

Gdy król do dworca się zbliżał, złożyło się jakoś tak dziwnie, iż nim o przyjeździe dowiedziała się i wyjść mogła na spotkanie królowa Emmilda, już Oda miała wiadomość o powrocie króla i pierwsza w przedśnienie powitać go wybiegła. Król się rozśmiał do niej rzucając na nią ognistym wejrzeniem, bo namiętności swych, niestety nigdy nie nawykł był hamować.

Wybiegnięcie to naprzeciw Bolesława wkraczało niejako w prawa

królowej i mogło gniew jej choć cichy, milczący, wywołać, markgrafówna więc Oda nie czekając, aż się pani ukaze, skinęła tylko królowi, dała mu znak jakiś i skryła się natychmiast. We dworze to postrzeżono jednakże i głowami

potrząsano.

Król, gdy się ukazała Emmilda, niemniej ją z wielką czułością i

poszanowaniem powitał. Oda kusiała go po szatańsku, a swawolnego i

nawykłego chuciom puszczać cugle człowieka łatwo było jej pociągnąć, nie zmniejszało to jednak czci Bolesława dla niewiasty, którą i on, i

duchowieństwo, i wszyscy za świętą niemal uważali. Korzył się przed nią i sromał król, a im się czuł winniejszym, tym powolniejszym okazywał się dla niej.

Duchowieństwo, szczególnie opat Aron, nieraz z tym sumieniem

szukającym wybiegów różnych, aby się oczyściło niemałe trudności mieli.

Każdy grzech jawniejszy sowitymi dary opłacał król dla kościołów lub pokutą jakąś, a nazajutrz znowu weń wpadał. Chrześcijaństwo z duchem swym całym, ze znaczeniem głębszym, nie tylko jemu, lecz większej części europejskich władców i najprzedniejszego rycerstwa obcym było. Formy jego zewnętrzne ledwie im dostępnymi być mogły. Oświata w ogóle w X i XI wieku, z

wyjątkiem duchowieństwa i klasztorów, stała bardzo nisko. Zwolna usiłowano krzewić wiarę, wiele przebacząc zrazu tym, co ją przyjmowali i przykładem swym lud wiedli.

Ksiądz Petrek czyhający na króla dnia tego nie mógł doń dostąpić, nie było powodu, a prócz tego nadziei, aby z nim sam na sam mówić miał

zręczność.

Nazajutrz rosła obawa, ażeby opat Aron nie nadjechał bo wówczas ksiądz Petrek nie miałby nawet

poзору do następczania się panu.

Harno przyszedł wedle zwyczaju donieść księdzu, że król wrócił

weselszy, że u wieczerzy wesółych nawet do zbytku, przy niewiastach, żartów sobie pozwalał, tak, że oprócz Ody, co się ich nie lękała i przyjmowała je uśmiechem, inne oczy sobie zakrywać musiały.

Różnych tego rodzaju plotek dosyć przyniósłszy swemu duchownemu

opiekunowi, Harno także oznajmił, że król nazajutrz na przedsieni dworca przypatrywać się ma, jak Niemiec pewien z młodym Sądkiem, sławnym

siłaczem, o lepsze się potykać w podwórzu będą.

Gonitwy takie i rodzaje turniejów odbywały się za każdym przybyciem

cesarzów do Quedlinburga, Dziewina, Rieseburga, Akwizgranu. Występowali w nich najdzielniejsi, król sam nawet, gdy młodszym był, nieraz w nich uczestniczył i u siebie je też mieć lubił, a zwycięzców sam nagradzał.

Gdy się podobne trafiało widowisko, dwór cały, męski i niewieści,

pachołkowie i czeladź zalegali podwórce, ciekawi byli wszyscy.

Duchowieństwu też wzbronionym nie było przypatrywać się popisom dzielności rycerskiej, na której stał świat ówczesny.

Ksiądz Petrek zamierzył więc sobie ustawić się tak, gdzieś blisko

Bolesława, aby mu wpaść w oczy i korzystając z chwili, wciągnąć go w rozmowę.

Król w istocie siadł patrzeć na dwu zapaśników, co się byli w obecności jego wyzwali.

Protonotariusz z właściwą zręcznością na oczy mu się nasunął, a gdy go pan postrzegł, powitał go pokłonem do ziemi. Za czym już miał powód przybliżyć się, zagadnąć i próbować, azali król, stęskniony za opatem, zawsze rad duchownych chciwy, nie zażąda się z nim rozmówić.

Stało się nadspodziewanie dla księżyny szczęśliwie. Surowy był bez

miary opat Aron dla króla, zaledwie w ten sposób mogąc cokolwiek namiętności jego pohamować wybuchy. Petrka Bolesław nie lubił, ale kunszt czytania i pisania w oczach króla wysoko go podnosił. Za uczonego miał go i w kanonach biegłego. Przyszło więc na myśl panu, gdy się walka skończyła tym, że oba zapaśnicy z niej wyszli niecali, a zwycięstwo wątpliwym zostało. Skinął na księdza Petrka i poprowadził go za sobą do sypialni.

Z bijącym sercem, skulony, szczęśliwy, szedł kroki cichymi za panem

ksiądz pisarz. Gdy się w izbie sami znaleźli, bo komornikom król za progiem kazał pozostać, począł

od tęsknicy za opatem Bolesław.

— Gdyby miłość wasza mi co do rozkazania miała — odezwał się ksiądz

Petrek — choć tak wielkiego męża nie potrafię nigdy zastąpić i niegodzien jestem rozwiązać rzemyka jego, starałbym się.

— Słuchaj no, mój ojczy — rzekł król — opat mnie straszy wielce

grzechami moimi, sąż w istocie przepisy życia tak srogie, aby za najmniejsze przestępstwo piekło zaraz otworem stało?

Ksiądz Petrek głowę w ramiona wnurzył, ręce rozłożył, milczał długo.

— Miłościwy panie — rzekł. — Kościół zna słabości ludzkie i folguje szczególnym osobom, gdy ich położenie, krewkość, stosunki popełnione wykroczenia tłomaczy. Tym, na których ramiona włożone jest brzemie wielkie więcej też odpuszcza prawo. Czczę i padam na twarz przed wielką światłością i świątobliwością mojego dobroczyńcy przewielebnego Arona ale surowym on jest nad miarę jak dla siebie tak i dla drugich.

— Tak mi się zda — rzekł król.

Ksiądz Petrek drżąc czekał, ażeby Bolesław szczególny jakiś wypadek

wymienił i z czymś mu się zwierzył lecz do tego nie przyszło. Spytał tylko król niewyraźnie i niejasno o różnicę jakiegoś grzechu śmiertelnego od

powszedniego i wysłuchał odpowiedzi umiejętnej bardzo księdza pisarza, który wprawdzie nie skłamał, bo mu na to nie dozwalało sumienie lecz śmiertelnego grzechu rozgrzeszenie wskazał jako możliwe i naturalne. Innych parę pytań zdawszy zamyślił się król i zamilkł.

Ksiądz Petrek tymczasem umiał naprowadzić rozmowę na sprawy dworu.

Wiedział, że król rad powieści słuchał o tym, co się u niego w domu działo.

Począł ubolewać nad złośliwością ludzką, nad dziwnymi często baśniami, jakie sobie ludzie roili i dodał, szło mu najwięcej o to.

— Nie obeszło się i teraz, gdyś miłość wasza tak sprawiedliwie skarcił

zuchwałych i niewdzięcznych Jaksów, bez różnego o tej sprawie gadania.

Król chmurno spojrział, lecz poczętej rzeczy wstrzymać już wcale nie

podobna było. Mówił więc pisarz, ciągle króla oczyma badając.

— Po dworze chodzą najniedorzeczniejsze pogłoski, jakoby mimo

rozkazu i wyroku pańskiego, Jaksów czyjaś opieka ocalić miała. Wiadomo to wszystkim, iż młodszy z córką Sieciechową był zaswatany, więc jego, a nawet świętą, miłościwą panią naszą, posądzają o nieposłuszeństwo i bunt przeciw woli twej panie.

Bolesław słuchając podniósł zdziwione oczy i wlepił je bacznie w mówiącego.

— Co ty mówisz? — zapytał; gorzki, dziwny jakiś uśmiech przebiegł mu usta. — Co mówisz?

— Wiem, miłościwy panie, żeć tak nie jest i nie może być, bo któż by śmiał stanąć przeciwko twej woli wszechwładnej, lecz oto, czym jest złość ludzka!

Rzucając królowi tę wiadomość do serca sądził ksiądz Petrek, iż zasieje nią nieufność, podejrzenie i gniew może, lecz z twarzy króla rozpoznać nawet nie umiał, co myślał i czuł.

Bolesław nie rzekł słowa, zwrócił mowę na opata i klasnąwszy na komorników wprędce pisarza odprawił.

Wyszedł on drżący. Wiodło mu się aż do ostatniej chwili szczęśliwie, lękał się, aby teraz nie pośliznęła się noga. Skutek wiadomości zdał mu się chybiony, król ją lekceważył i nawet nie wziął do serca. Ksiądz pisarz odszedł

wielce niespokojny pocieszając się tym, że ziarno później może zacząć kiełkować.

Rozdział 4.

Tyniec, którego opactwo pierwszy król Bolesław z Judytą Węgierką,

matką Bezpryma, założył i uposażył, starą był osadą i grodkiem. Podanie powiadało, iż nie jeden, ale trzy warowne zameczki stały tam niegdyś u brzegu Wisły. Okolica leśną była i choć o półtorej tylko mili od chrobackiej stolicy Krakowa odległą, spokojna, tak jak zakonne wymagało życie.

Jak w całej Europie naówczas, i w Polsce zakonnicy świętego Benedykta przynosili z sobą światło. Od tych ognisk klasztornych, przy których pierwsze szkółki powstawały, miało się ono zwolna po na pół pogańskim jeszcze rozchodzić kraju.

Nie starczyły rzadko rozsiane katedry i biskupstwa ani duchowieństwo świeckie, wielkiemu dziełu nawracania i cywilizacji. Wszędzie zakonnicy, mnisi, najdzielniejszą im, niezbędną byli po mocą. Toteż za Mieszka, a więc jeszcze za Bolesława Wielkiego, wznosiły się z kolei pustelnie, klasztory, kościoły w Sieciechowie, na Łysej Górze, w Tyńcu. Potrzeba było przysposobić duchowieństwo krajowe, które by językiem zrozumiałym do ludu mogło

przemawiać. Zadaniem było mnichów ściągniętych z Kluniaku z Monte

Cassino, z innych już kwitnących i rozwiniętych monasterów Zachodu, stać się kolonistami

chrześcijańskimi, na dziewiczej, jak nasza, ziemi. Tu wszystko było do zrobienia. Benedyktyni nieśli z sobą szkoły, rękopisma, rzemiosła, sztuki.

Reguła świętego Benedykta, zrodzona z potrzeby oświecania i na

wracania, oprócz ascetycznych swych prawideł, cudownie praktycznie

obmyślaną była. Mieścił się w niej zarówno obowiązek pracy, jak obowiązek modlitwy, posłuszeństwo i swoboda, pobożność i zadośćuczynienie

obowiązkom życia powszedniego, Pracowali wszyscy wedle sił, nieustannie, i każdy klasztor był małym światkiem, który sam musiał starczyć sobie. Szkołkę dla nowicjuszków wewnątrz, szkołkę dla ludu poza obrębem cichej klauzury miał

każdy.

Kapłaństwo i święcenie nie było wcale warunkiem klasztornego życia,

znaczniejsza część członków miała tylko jedno święcenie i nie żądała iść wyżej, przykładem świętego Benedykta, który też kapłanem nie był, choć był patriarchą zgromadzenia. Własnymi po większej części rękami benedyktyni

zagospodarowywali się na nowych siedzibach. Zakon miał budowniczych, rzeźbiarzy, cieślów, mularzy, złotników, rzemieślników i artystów, a gdy tego wymagała potrzeba, iluminator od rękopismu, który złocił i malował, szedł do lasu drzewa rąbać, rzeźbiarz rzucał dłuto i posługiwał we młynie. Żaden rodzaj pracy nie był im wstrętny.

Gdy Bolesław zakładał opactwo w Tyńcu, stał tam już nad brzegiem

rzeki, z drugiej strony lasem okolony, zameczek, spalony, zniszczony i zaledwie lichy na przyjęcie tych gości polepiony, kościoła nie było. Lecz na ziemi nadanej mieli przybywający wszystko, co do budowy mogło być potrzebnym, mieli i ludzi a służbę dodaną im dla wyręczenia się w pierwszej chwili. Szybko więc naprzód wzniósł się kościółek klasztorny na starym grodzisku, a tuż przy nim i zabudowania wszelkie. Nie wyglądało to naówczas tak wspaniale jak później, gdy opactwo *centum villarum* (stu wsi) rozrosnąć się miało, klęsk doznawszy wprzód. Nie było tu wspaniałych murów, nierychło potem

wzniesionych ani wieżycy z dala widnej przy kościele, ani gmachów rozległych.

Tyny po części stare, w części nowsze, obejmowały znaczną przestrzeń na klasztor, ogrody i różne budowle zajęta. Większość ich była jeszcze z drzewa, a nawet chrustu. Lecz pod tymi dachami z dranic i słomy synowie świętego Benedykta, świętego Odon i Abbona przepisywali już kanony, pisma

Boecjusza i Rąbana Maura, wczytywali się w uczone rozprawy Gerberta.

Chwytano już tu ubogą dziatwę na naukę i przysposabiano przyszłych

kapłanów.

Z Francji i Zachodu przywiezione latorośle zieleniały w pierwszych ogrodach i winnicach, sposobili się kamieniarze, aby dawnych cieśli słowiańskich zastąpić.

Nie będziemy opisywali podróży Jaksów do Tyńca, która trwała dość długo, już dlatego, że miejsc wiele wymijać musieli i od oczów się chronić.

Szczęściem udało się im uniknąć spotkania z ludźmi, co by poznać ich mogli. W lasach często słyszeli łowców, psy i ugania się za zwierzem, ale bacznie się od nich chronili. Wieśniaków, których wyminąć nie było podobna, obawiać się nie mieli powodu. Podróż była męcząca, mróz i zawieje czyniły ją przykrą. Rozpalali wprawdzie ognie i klecili szałas dla ogrzania się i spoczynku, lecz sukni z siebie nigdy zwlec nie mogli. Jeden z nich zawsze czuwać musiał, aby zaskoczonymi nie byli. Nie obeszło się też bez obłądu, który czasu dosyć kosztował, nim się znowu znaleźli, gdzie było potrzeba.

Gościńców naówczas mało miał kraj jeszcze, latem stały za nie rzeki i one najlepiej drogę wskazywały. Zimową porą instynktem, rozpytywaniem, ba i gwiazdami nawet kierować się niekiedy musieli. Żaden jednak wypadek

groźniejszy przez cały przeciąg podróży się nie trafił. Jurga i Andruszka, oba myśliwi namiętni, kilka razy na widok zwierza nie wytrzymawszy puścili się za nim; służył on im za strawę, bo jej kupować po osadach nie chcieli. Chleba trochę mieli w sakwach, a konie musieli karmić u cudzych stogów, gdy się u osadników nie dało owsa dostać. Rumaki, zarówno jak jeźdźcy wytrzymałe, niewiele ucierpiały w podróży, lecz i one, i ich panowie tęsknili już ostatniego dnia za ogniskiem, ciepłym pokarmem i wypoczynkiem, i upatrywali, rychło się ten przyobiecany Tyniec okaże.

Opat Aron dał im własną ręką zapisany zrynek pergaminowy, pod

pieczętką swą, do zastępującego go ojca przeora. Wiele na nim jednak pisać nie mógł i nie chciał, zlecił więc Andruszce, by resztę ustnie opowiedział.

Chociaż mieli nadzieję dnia tego dobić się do klasztoru, noc ich raz jeszcze w lesie zaskoczyła, gdyż Kraków chcąc pominąć, gdzie się widzianymi być obawiali, nadto się daleko w gąszcze puścili. A że przybycie po nocy do nieznanego miejsca zdało się im nieprzystojnym, musieli szałas stawić i do dnia w nim czekać.

Mróz nocą wziął ostry, lecz niebo się wyjaśniło nad podziw pięknie i gdy z rana się do koni zerwali, nowy w nich duch wstąpił. Zaledwie wyruszyli z noclegu, z wielkim podziwieniem swoim o staj kilkanaście, z lasu się wydostawszy, na urwistym wzgórzu, nad rzeką, zamarzną teraz, ujrzeli w ogrodzeniu budowle, a nad nimi wysoko krzyż, który im Tyniec zwiastował. Z

daleka słychać było odgłos klasztornego dzwonka. Słupy dymu podnosiły się nad dachami. Z

niewymowną pociechą w duszy czując się ocalonymi popędzili konie, by się co rychlej dostać pod dach gościnny.

Nie było trudności z przebyciem lodu, a dobra droga wyjeżdżona, którą widać drzewo z lasu wożono, poprowadziła ich do bramy. Była ona dosyć warowną wprawdzie, nie bez myśli o jakimś nieprzyjacielu, opatrzona

częstokołami i ostrym zaborolem, lecz nie wyglądała pokaźnie. Na mur czasu jeszcze nie stało. Przez te wrota na zewnętrzne dojechali podwórze, z którego furta druga prowadziła do właściwego klasztoru. Rozsiadali tu z koni i prowadząc je w rękach podstąpili ku zapartym wrotkom. Te się jednak

natychmiast otworzyły i stróż w odzieży ciemnej ciekawymi mierzył ich oczyma. Był to braciszek, który już trochę języka rozumiał, i gdy mu Andruszka opowiedział, że są od opata posłani, a z przeorem mówić potrzebują, wnet od nich konie pobrano, a ich samych do *foresterium* wpuszczono.

Gospoda ta dla obcych pustą była, ale gotową na ich przyjęcie. Ogień się palił na kominie, i z wielkiej tej izby widać było drzwi kilkoro do osobnych cel prowadzących. Ogromny stół, na którym parę kuflów cynowych zapomniano, na ścianie wizerunek Chrystusa, ławy i parę stołów, podłoga matami wysłana —

oto wszystko, co w gospodzie znaleźli. Zaledwie do niej weszli, gdy czarno ubrany, z wesołą twarzą, z oczyma ciemnymi, pełnymi ognia, rumiany, z wyrazem jakiegoś spokoju i szczęścia, którego Jaksowie dawno już nie spotykali na ludzkich obliczach, ukazał się na progu młody nowicjusz.

Widocznie obowiązkiem jego być musiało gości tu witać i przyjmować.

Francuz rodem, nauczył się był jako tako języka i sam dobrodusznie śmiał się z własnej mowy. Przywitawszy Jaksów spytał, czyby głodni nie byli, i zarazem oznajmił, że ojciec przeor jest w chórze, a za chwilę, gdy się skończą modlitwy, przyjdzie do nich. Zajął się zaraz bardzo pilnie przybyłymi i z wielką troskliwością o drogę, o której nie bardzo mówić mogli, rozpytywać począł.

Obowiązki gościnności zarazem i ciekawość poznania tego kraju, którego jeden widział tylko zakątek, pobudziły młodego kleryka do rozmowy trudnej dla niego, bo choć już wiele języka miejscowego się poduczył, brakło mu samemu wyrazów, a mowę Jaksów nie zawsze mógł zrozumieć. Lecz ze skromnością i pokorą dziwną, z łagodnością dziecięcą patrzył w oczy młodym gościom i usiłował odgadywać, co mówili. Oba Jaksowie, jak na dziwne zjawisko patrzyli na tę postać zupełnie dla nich nową, w której młodość łączyła się z takim pomiarkowaniem i rozumem. W rycerskim stanie szumiął ten wiek właśnie najgorętszą butą. Dziwiła ich także wesołość i wyraz spokoju na twarzy młodego kleryka, którego stan wyobrażali sobie pełnym ostrych prób i nieustannych umartwień.

Kleryk Odon zabawiał ich, jak mógł i umiał, dopóki wreszcie nie zbliżył

się czas wychodzenia z chóru. Z uśmiechem wymknął się żywo, oznajmując im, że idzie o przybyciu ich opowiedzieć przeorowi. Niedługo też razem z klerykiem ukazał się ksiądz przeor w czarnej sukni

i płaszczu, jakiego benedyktyni w chórze używali. Był to niemłody już, ale czerstwy mężczyzna pięknej postaci, w którego rysach to samo uspokojenie błogie malowało się, jakie ich na twarzy młodego chłopaka zdziwiło. Było ono jakby charakterem tej rodziny zakonnej, o czym się później przekonali. Ostre życie okrywał ten wyraz wewnętrznej ducha spokojności i wesela.

Andruszka pozdrowiwszy pocałowaniem ręki ojca Benedykta oddał mu

pargaminowy zwitek opata. Poszedł z nim do okna przeor i chwilę poczytawszy klerykowi dał znak, ażeby się oddalił. Z pisma wiedział, że się na osobności z przybyłymi rozmówić było potrzeba. Ojciec Benedykt, acz od lat już kilku żył w Tyńcu i z językiem się obył, równie trudno jak kleryk mógł nim mówić. Nie poszło więc łatwo porozumienie, chociaż bystry umysł wielu się okoliczności domyślić potrafił.

Zrozumiał przeor, że miał tu ukryć przysłanych nie narażając ich na

spotkanie z rycerstwem i osobami do dworu króla należącymi; w kartce stało, iż dobrze by było, jeśli nie obu, to zdolniejszego z nich próbować jakiegoś nauczyć języka, z którym by w podróż do Włoch wybrać się było można. Jaksowie prosili, w obawie nie tak o siebie, jak o tych co ich ocalili, by się jak najmniej pokazywać mogli i pozostać w ukryciu.

— Żadne wam tu niebezpieczeństwo nie zagraża — odezwał się przeor.

— Zimą zwłaszcza do klasztoru mało kto uczęszcza z osób rycerskiego stanu.

Dla niepoznaki moglibyście włożyć suknie nowicjuszów, ale i to nie jest potrzebnym, Gdyby ktoś do klasztoru przybył, zawsze się ukryć możecie i w celi waszej, którą wam wyznaczę, pozostać.

Natychmiast więc dał ojciec Benedykt młodemu klerykowi, powołanemu

z sieni, rozkaz, ażeby się zajął umieszczeniem dwu braci. A że z życiem zakonnym obeznać się i zastosować doń musieli, kazał im pokazać klasztor i objaśnić, jak dzień tu był rozłożony.

Z wielką uprzejmością młody kleryk jął się zaraz spełnić rozkazy,

zabierając z sobą Jaksów naprzód do wyznaczonego im mieszkania. Nie

postawiono ich jednak w celach zakonników, szczupłych i tylko na godziny pracy i modlitwy cichej przeznaczonych, lecz w jednej z izb gościnnych, w której osobne posłanie mieć mogli.

Zakonnicy krótkie i przerywane snu godziny spędzali we wspólnej

sypialni. Reguła ich zmuszała wstawać do chóru i nocą, Dla Jaksów znalazła się komnata czysta, z oknami ku Wiśle zwróconymi, w której komina nie brakło i na posłanie miejsca. Mieli też stół i ławy, a naówczas niczego już więcej nie potrzebowano. Zniesiono tu ich juki podróżne i po długiej jeździe, w ciągu której ni razu się przebrać nie mogli, pierwszy raz przedzieli się i z ciężkich kaftanów wyzwolili. Kleryk im we wszystkim wesoło, po bratersku posługiwał, usiłując rozchmurzyć czoła i natchnąć dobrą myślą. Kilka razy wchodził i wychodził, nim w pogotowiu byli posiliwszy się

tym, co im tu przyniósł do zjedzenia, a co się im dziwnie smacznym wydało, tak byli wygłodnieli; na ostatek zabrał ich ze sobą, ażeby, wedle rozkazu przeora, całą tę osadę klasztorną obejrzyć mogli.

Wszyscy, których tu spotykali, nawet do najcięższych posług użyci, mieli na sobie suknie zakonne, wszyscy też mieli te twarze jasne i uśmiechami ożywione, które tak Jaksów dziwiły. Mijając nie mówili nic, gdyż milczenie panowało w ogóle w klasztorze całym zdumiewające dla przybyszów, ale wejrzenia i oblicza zdawały się witać przyjaźnie.

Kleryk Odon, jak mógł i umiał, tłumaczył Jaksom to, co im okazywał.

Naprzód wprowadził ich do kościółka, który choć mały był naówczas, choć skromny, dosyć jednak ozdobnie wyglądał, dzięki szczodrości króla i kunsztowi samych ojców. Tu pomodliwszy się przed wielkim ołtarzem, za którym był chór zakonny, i rzuciwszy okiem na dwa boczne, misternie

złoceniami przy ozdobione, wyszli naprzód do wielkiej wspólnej izby jadalnej.

A trafili właśnie w chwili, gdy całe zgromadzenie w milczeniu za długim stołem siedziało. Na małym wywyższeniu młody kleryk w wieku Odon w języku

Jaksom niezrozumiałym czytał coś z księgi. Zakonnicy razem wszyscy zebrani byli, oprócz przeora, który miał miejsce osobne i siedzenie wywyższone, a na usługach jego stało dwu kleryków. Młodzież wdrażała się w ten sposób do karności i pokory. Na ścianie wizerunek Chrystusa i kilka innych mniejszych obrazów na złożonych deskach zdobiły ciemną i niską jadalnię, widocznie tymczasowo skleconą.

Stąd szli do podobnej jej izby sypialnej, jeszcze uboższej, bo to, co się tu postaniem zwało, ledwie na imię to zasłużyć mogło. Rzucona na deskę garść słomy, suknem grubym pokryta, stanowiła łożo mnisze. Wielki komin w pośrodku ściany starczył na ogrzanie izby zimą.

Przechodząc potem długie chodniki i podsienia, z których drzwi do celi zakonników widać było, kleryk im kilka tych mieszkań pokazał. Niemal w każdym z nich znaleźli zdumieni jakiś przybór i narzędzia rzemieślnicze, których użytku nie mogli odgadnąć, obok mnogich godeł religijnych widać było warsztaty, dłuta, siekiery, krawieckie nożyce itp. Nie było i jednego z ojców, co by nie miał zajęcia.

Brat Odon tłumaczył im z uniesieniem, jakie oni tu spokojne, szczęśliwe, niczym nie zamącone życie prowadzą, czas dzieląc między modlitwą a różnymi robotami.

— Latem — dodał — to wozimy, budujemy, sadzimy, siejemy, tniemy i

gospodarujemy aż miło.

Pokazawszy im w głównym gmachu, co było najciekawszego do

widzenia, z oczyma promieniejącymi nareszcie zapytał, czyliby i najpiękniejszej a najdroższej pracowni oglądać nie chcieli?

Nie zrozumieli oni tego zrazu, bo w jednej z cel już widzianych

pokazywał im Odon złotniczy warsztat, srebro i złoto, które jeden z braci misternie rzeźbił i kuł z nich najpiękniejsze naczynia, kamieniami nasadzane.

Zdało się im, że po złocie i klejnotach nic już równie szacownego widzieć nie było można. Odon mówił im o czymś, czego ani się domyśleć, ani zrozumieć nie umieli. Tym mocniej obudziło to ich ciekawość i zdumieli się mocno, gdy wpuszczeni do obszernej i światłej izby nie dostrzegli w niej więcej nic nad kilka pólic drewnianych, wypełnionych czymś, co później okazało się księgami, jakie oni tylko po kościołach widywali. Ogromny stół w pośrodku, kilku pulpitemi opatrzony, zarzucony był kartami białymi, ze skóry wygładzonej i jasnej. Na niektórych z nich widać było poczęte malowania i złocenia. Obok stały małe skorupki różnej barwy, pędzle i przyrządy do pisania. Kilka ksiąg dużych, które przepisywano, leżało także na stole. Młody Odon z uwielbieniem spoglądał na tę pracę, której piękności rycerze wcale ocenić nie mogli. Złoczone rysunki, niektóre figury świętych wprawiały ich w podziwienie, lecz zakrytym było znaczenie tych skarbów dla nieświadomych pisma wojaków.

Na ścianie biblioteki, gdyż tak się nazywała izba kopistów, wisiał obraz ojca zakonu, świętego Benedykta, na złoconym tle, z księgą w ręku,

wystawującą regułę zakonną i oznaczoną wyrazami, od których się ona poczyna (*Ausculata o fili*) - słuchaj synu. Odon wskazał im ten obraz i starał się go wytłumaczyć, a uśmiech jego twarzy i wesołość były najlepszym Komentarzem do słów, które nad nim stały u góry:

I p s e f u n d a t o r p l a c i d e q u i e t i s

(Sam to założyciel miłego spokoju).

Wszystko to mieściło się w głównym gmachu klasztornym, lecz otaczały go liczne zabudowania, które kleryk im z pewną chlubą chciał koniecznie pokazać wszystkie.

Tuż obok była szkoła klasztorna, gdzie klerykom wykładano nauki

wyższe, między którymi już matematyczne pisma Gerberta, jego Abacus i zabawna Rithomachia miejsce znalazły. Uczono pilnie muzyki, której wówczas wyższą daleko wagę nadawano niż dzisiaj, wprawiano się w komput kościelny, bo ten niezbędnie każdemu duchownemu był potrzebnym. Izba szkolna pustą stała o tej godzinie, ławy tylko i siedzenie nauczyciela, otoczone nimi, nadawały jej odrębny charakter.

Szkółka dla ubogich dzieci i sierot przychodzących, o które naówczas nie było łatwo, znajdowała się poza tynem klasztornym. Żaczekowie bowiem przynosili z sobą wewnątrz klauzury zbyt wiele wrzawy, która nabożeństwu częstokroć zawadzała.

Opodal od głównej budowy widać było młyny, żarna, piekarnię, kuchnię, drewnutnie, wszystko w porządku największym i wszędzie czarne suknie mnisze, wesołe ich twarze, wszędzie uroczystą ciszę i ład dziwny.

Gdy tak, oszczędzili wszystko, nareszcie znaleźli się znowu Jaksowie w swej izbie sami z sobą, a brat Odon pożegnał ich wesoło obiecując i nadal służyć za tłumacza i pomocnika, długo nie przemówili słowa do siebie.

Nie było na pozór nic tak bardzo dziwnego w tym, co im tu okazywano.

Nieskończenie wspanialszy był dwór królewski, bogactw widzieli w życiu i na wojnie stokroć więcej, a przecież to, co tu oglądali, było dla nich nowym i zdumiewającym, jak gdyby świat jakiś nieznany odkryli. Cała ta "rodzina", wedle wyrazów Odon, złożona z ludzi obcych narodowości, różnych krajów i języków, tak doskonale jednym prawem miłości spojona, szczęśliwa,

uśmiechnięta, spokojna, pracująca tak ochoczo około robót, które się Jaksom wydawały ledwie dla niewolników przeznaczone, cisza i ład pod tym dachem, tryb cały zakonnego żywota, wprawiał ich w niezmierny podziw i osłupienie.

Odon im też wytłumaczył, że się oni zwali "rycerzami Chrystusowymi"

(*milites Christi*), nowe więc całe rycerstwo, którego nie znali dotąd, mieli przed sobą. Żaden z nich, choć często spotykali duchownych, nie widział dotąd klasztoru i nie znał życia jego. Dla nich ono z dala wydawało się karą okrutną i więzieniem nieznośnym, tu zaś spotykali ludzi, co wedle wyrazów kleryka nie tylko szli dobrowolnie, lecz gwałtem się wprasali do rodziny i widomie w niej i z nią szczęśliwymi byli. Dla wojaków Bolesławowskich, młodych a butnych, nawykłych do niepomiernej, dzikiej swobody, było to niepojętą zagadką. Żaden z nich drugiego nie śmiał zapytać o nią, badali się oczami.

—Ha! —odezwał się Jurga wreszcie spozierając ku bratu, jeden Bóg

wiedzieć to raczy, jak nam tu długo żyć przyjdzie. Ludzie jacyś dobrzy i przyjacielscy, ano...życie?

— Tsyt! Lepsze niż w ciemnościach na poznańskim tumie odparł starszy.

Tobie by się to chciało, Sieciechównę zabrawszy w lasy, gdzie ujść z nią i siedzieć po staremu między kuflem a polowaniem i wesołymi druhami albo na wyprawę ruszyć. Ale nierychło do tego przyjdzie.

— Cóż my tu z nimi robić będziemy? — spytał Jurga. —Jeść, pić i spać?

albo z tym młodzieniaszkiem gawędzić? Modlić się i spać znowu. Za płot w las nie wolno, do konia ani przystępu!

Przecie się nam opat jakiegoś języka uczyć kazał — przerwał Andruszka,

— a ja nie jestem przeciw temu, to się i na wojnie przydać nieraz może.

Zadumali się oba.

— Jak ci się zda? Długo to potrwać może? — spytał Jurga.

— Zda mi się, że nie krótko — rzekł Andruszka. — Gdyby to niezbyt

długo miało się ciągnąć, w Poznaniu by nas przetrzymali.

— Ale jużci w las chyba czasem na łowy nam będzie wolno — dodał

młodszy — któremu swoboda smakowała, i westchnął.

— Ja o to przeora nawet nie będę śmiał pytać — rzekł Andruszka. — O

półtorej godziny od Krakowa, gdzie namiestnik królewski siedzi, a koło niego i ludzie się ode dworu kręcą, nuż by nas kto poznał?

Smutna taka rozmowa pociągnęła się do wieczora. Z izby swej słuchali bracia, jak dzwoniło na modlitwy, słyszeli, jak szli na nie i wracali zakonnicy.

Wieczorem przyniesiono im znowu posiłek skromny, ale dostatni, taki, jakiego używali mnisi sami, którzy mięsa czworonożnych zwierząt nigdy nie jedli, dwoma daniami się ograniczali, lecz mieli oprócz tego chleb, miarkę wina i owoce latem. Tu piwo i miód zastępowały kosztowny napój zachodni.

Pochlebiali sobie wprawdzie benedyktyni, że klimat ostry zwyciężą i winnice zaprowadzić będą mogli, lecz szło to oporem i powoli.

Po wieczerzy Odon im życzył wypocząć za długą i nużącą podróż i

pożartowawszy z nimi wesoło zostawił samych.

Nazajutrz tenże miły przewodnik oznajmił im mszę świętą i zaprowadził

do kościoła na ranną, zrozumiawszy to, że się z obcymi spotykać nie mieli. Po nabożeństwie wezwał ich do przeora.

Miał czas ojciec Benedykt i w piśmie opata się rozczytać, i rozmyśleć lepiej, jak z braćmi postąpić.

Mieszkanie jego, do którego weszli, obszerniejsze, bo w nim dostojnych częstokroć gości musiał przyjmować, ozdobniejsze od cel innych było tylko większą ilością godeł religijnych i świętości. Stół zajmowały pargaminy i księgi, które się rozsyłały kościołom, sprzedawały biskupom i nowofundującym klasztorom. Tak samo obrazki i naczynia wyrabiane przez braci, kunsztami zatrudnionych, szły na podarki i zamiany.

Opat przyjął ich z uprzejmością, ale powagą ojcowską.

— Dzieci moje — rzekł — widzieliście już wczora, że my tu wszyscy nie tylko usta, ale i rękami Boga chwalimy robiąc każdy, co kto umie i może.

Wyście stanu i rzemiosła wojennego ludzie. Co wy tu poczynać będziecie? W

bezczywności żyć sroga to kara, której bym wam chciał oszczędzić.

Ojciec przewielebny — rzekł uśmiechając się Andruszka — my oprócz

oszczepem i mieczem robić, a końmi, toczyć nie umiemy bo nic, a uczyć się i za starzy jesteśmy i...

— No i ochoty pewno jako rycerze nie macie — podchwycił przeor. Na

modlitwie, choćby ona zdrową dla duszy była, nie wytrwacie po dniach całych.

Patrzył na nich ciekawie, bracia stali z oczyma spuszczoneymi.

— Języka się nam jakiegoś uczyć przykazał opat, ojciec i dobroczyńca nasz — rzekł Jurga — bratu mojemu starszemu może by to było ciężko, jam gotów, bylebym kogo miał.

— Rzymskiej mowy potrzeba by wam, gdy pono do Rzymu iść za pokutę

macie — odezwał się przeor. — Chcecie więc?

— Słuchać musimy rozkazu opata — dodał Jurga.

Nie szło o czytanie i pisanie, których laików naówczas prawie nie uczono, a rycerze nawet uważali je może za uwłaszczające dla siebie, lecz o mowę samą.

Do tej najlepszym nauczycielem wydał się kleryk Odon, którego już bracia na wstępie poznali i pokochali. Stało się więc na tym, ażeby on w pewnych godzinach rozmową ich nauczać próbował praktycznie, co część dnia zająć mogło.

Andruszce chciało się bardzo wyjednać pozwolenie na łowy w lasach do opactwa należących, lecz tego dnia wspomnieć jeszcze nie śmiał przeorowi o gorącym żądaniu. W istocie żał mu było brata, a Jurga potajemnie to samo żądanie i myśl miał, przy danej sposobności rozrywkę tę wyjednać dla Andruszki. Od razu w tak dobrych byli stosunkach z młodym klerykiem, iż oba się spodziewali z jego pomocą wyjednać zezwolenie.

Tymczasem zabawką było rozglądanie się w owym życiu klasztornym i

chodzenie około koni, które tak cudownie ciężką podróż wytrzymały. Z

mnoгих stad, jakie niegdyś mieli, dziś zostały im tylko te dwa niepoczesne, grube koniska, wzięte gdzieś spod prostych pancerników i do których po odbytej podróży przywiązali się dziwnie. Cóż wart był wojak bez konia? Najgorszy nawet drogim się stawał, gdy był jedynym. Pozbawieni koni czuliby się stokroć więcej niewolnikami. Lękali się tylko, aby w końcu ciężar, jaki nimi klasztorowi przyczynili, nie zmusił do pozbycia się ich. Andruszka nie śmiał o tym mówić Jurdze, ten też bał się zasmucić domysłem brata.

Kilka dni już upłynęło im w Tyńcu wśród ciszy i spokoju, gdy raz około południa gwar usłyszeli w podwórcach i Jurga wybiegłszy do przedsienia najrzął

przybywający orszak rycerski, całe pokaźny, przeciw któremu sam przeor wyszedł na powitanie. Nie mając czasu rozpatrywać się w nim, Jurga

natychmiast się cofnął przestraszony oznajmując bratu, aby krokiem za próg nie ruszał. W chwilę potem Odon wbiegł z oznajmieniem, iż namiestnik krakowski przybył z rozkazania królewskiego dowiedzieć się, czyby zakonnicy co do żądania nie mieli.

Oba Jaksowie na dworze króla niejeden raz starego Belinę, który teraz na zamku wawelskim siedział, widywali. Ulękli się więc mocno dopytując, jaki poczet i ludzi miał z sobą i czyby w klasztorze długo myślał zabawić?

Odon o wszystkim przyrzekł się dowiedzieć i oznajmić. Ponieważ poczet Beliny był dosyć znaczny, przyjmowano ich wszystkich razem w refektarzu, gdzie się i kleryk mógł łatwo wcisnąć i co było potrzeba dowiedzieć. Nierychło jednak powrócił i nie było go, aż znowu w podwórku zatętniały konie, a cała owa drużyna namiestnicza nazad do Krakowa wybierać się poczęła. Czekali nań bracia z niecierpliwością wielką.

— Nie mogłem odejść, miłościwi panowie — rzekł wróciwszy —

musiałem tam być trochę tłumaczem, bo Belina ciekawą historię opowiadała, a ojciec przeor zdawał się nią bardzo mocno zajęty. Pewnie ona i wam jest wiadomą, historia to dwóch nieszczęśliwych braci, dziwnie jakoś nazywających się, podobnie do greckiego bohatera Ajaksa. Ci bracia kupca na drodze złupili i zabili okrutnie, za co ich król na śmierć skazał. Mówią, że teraz sam wielce ich żałuje, bo byli rycerze mężni, a że rodzinę mieli możną i liczną, która się od dworu usunęła, stratę król w tym poniósł znaczną...

Gdy to mówił, Jurga i Andruszka strwożeni, oczy spuściwszy, siedzieli drżąc, aby Odon się w nich nie domyślił winowajców i serca do nich nie stracił.

Chociaż liczba braci i czas mogły łatwo na domysł ten prowadzić Odon, nie zdało mu się wszakże, aby ci dobrzy rycerze, do których się przywiązał, takimi mogli być zbrodniarzami.

Z szczebiotliwością młodzieńczą Odon opowiedział im usłyszaną z ust namiestnika historię, która już doszła była przez kogoś do Krakowa, o starym Tomku, co misą krwi króla miał w domu uraczyć, sam się z niego wyniósłszy i nie chcąc z nim być pod jednym dachem.

Jaksowie nie mogli się powstrzymać od gorącego wykrzyku i wzruszenia, które ich zdradzać mogło, lecz Odon znajdował to wrażenie naturalnym i wyszedł zaraz upewniwszy ich, że się już nie mają obawiać spotkania z nikim.

Po wyjściu kleryka Jurga i Andruszka poczęli się ściskać, pocieszeni nieco tym, iż rodzina, co ich odpychała wprzódy, jednakże w ostatku do więzów krwi się poczuła i sprawę ich trzymała, choć już umarłymi sądząc. Lecz wdzięczni będąc Jaksom swym i powinowatym, oba doznawali uczucia, którego by w nich trudno się było domyślać, całowali króla.

Bolesław miał tę miłość u swoich wojaków, z którymi odbywał wyprawy, a nieraz u jednego legiwał

ogniska, miłość niemal bałwochwalczą, której nawet zbyt surowość zachwiać nie mogła. Andruszka mówił w więzieniu, iż w miejscu króla takżeby Jaksę jednego na śmierć skazał. I on, i Jurga nie mieli do swojego pana żalu, kochali go jak przedtem, a teraz dowiadując się, iż śmierć ich przyczyniła mu troski i strat, gniewali się na siebie. Niewielu wodzów umie sobie tak jednać serca, a Bolesław należał właśnie do tych, co obchodząc się często surowo, zawsze sprawiedliwie, obudzali zapał w wojakach i kochać się kazali. Pamiętna była ta z Rusią potyczka u Buga, gdy czeladź polska flaki płucząc w wodzie na słowa się powaśniła z przeciwnym obozem, gdy Bolesława łajac począł jeden od słów ostatnich i on sam rzucił się w wodę gniewny, niepamiętny na niebezpieczeństwo. Naówczas, co żyło, dopadło koni, chwyciło, co miało pod ręką i niespodziewana walka, co się od rzucania flaków i obelg rozpoczęła, świetnym skończyła się zwycięstwem.

Jaksowie litowali się w tej chwili więcej może nad królem, do którego jak do ojca byli przywiązani, niż nad własnym losem. Ledwie by byli za złe nie mieli powinowatym, iż go odstępowali, a gdyby w tej chwili zasłyszeli o niebezpieczeństwie grożącym Bolesławowi, ważyliby się pewnie bodaj na śmierć, by go ratować.

Z tymi uczuciami sprzecznymi, i wdzięczności dla rodziny, i miłości dla króla, spędzili wieczór cały na rozmowie tak ożywionej, iż się nie spostrzegli, jak zadzwoniono na pierwszy śpiew w chórze. Była noc; zakonnicy spieszyli chwalić Boga na zaraniu. A im sen skleił powieki.

Następnego dnia odwiedził ich przeor, z którego twarzy domyślili się tylko, iż miał dla nich życzliwe usposobienie. Być mogło, iż wczorajsze opowiadania o znaczeniu rodziny podniosły ich w oczach jego. Jurga, śmielszy, skorzystał z tego dobrotliwego usposobienia ojca Benedykta i wybiegł za odchodzącym w korytarz. Tu po wtórnie ucałowawszy rękę jego odezwał się po cichu.

— A! Mój ojczy! Mam do was prośbę wielką. Bóg widzi, nie dla mnie, o brata mi więcej idzie. Myśmy tak do zamknięcia między czterema ścianami nie nawykli. Andruszka mi schnie patrząc na lasy. Gdybyście pozwolili nam na łowy wybiec...

Prośba ta była tak naturalna naówczas ze strony wojaków, iż się jej przeor nie mógł zadziwić. Widywał on sam we Francji nie jednego opata zagorzałym myśliwym. Uśmiechnął się więc łagodnie.

— Któż by wam tego bronił! — rzekł. — Lecz sami zważcie, na co się

wystawiacie. W Krakowie gości dużo, rycerzy, co was znać i poznać mogą. Ci niemal co dzień wyjeżdżają w lasy i zapuszczają się nieraz daleko. Jesteścież pewni, że unikniecie spotkania? A jeśli się zetkniecie z takimi ludźmi, co was poznają, już nie siebie, ale innych narazić możecie.

— A! ojczy przeorze! zawołał Jurga — myć to na własnym sumieniu

mamy, a i o naszą też skórę idzie. Lasy szerokie, miejsca dosyć, ucho mamy bystre, konie rączy, ani się napaść zniecka, ani dognać nie damy.

— Cóż mam wam rzec? — odezwał się ojciec Benedykt, czyńcie, jako

chcecie, a patrzcie, byście w nieszczęście nie popadli.

Jurga jeszcze raz w rękę go pocałował i z twarzą uśmiechającą się do izby powrócił. Chwilę siedział naprzeciw brata u ognia.

— Hej, Andruszka — rzekł figlarnie — co to tu za lasy dokoła! Mnisi w nich nie polują! Co tu zwierza być musi!

— Lepiej o tym nie wspominać, kiedy nam tego kosztować nie wolno!—

odparł starszy smutnie.

— Hm — zawołał Jurga — dlaczego nie ma być wolno? Konie stoją, oszczepy i łuki mamy, z rana się w las możemy wymknąć, ani nas kto postrzeże.

— Nie kusiłbyś mnie — odezwał się Andruszka— nie godzi się, przeor by się gniewał. Obiecaliśmy mu być posłuszni...

Wtem Jurga dłużej wytrzymać nie mogąc, poskoczył doń.

— Przeor pozwolił!

Zerwał się tak starszy, jak gdyby teź godziny chciał na koń siaść.

— Kłamiesz! — krzyknął — mów prawdę!

— Prawdem rzekł — uderzając się w piersi ręką odparł młodszy. —

Przyznam ci się, prosiłem go. Wprawdzie dawał mi rady i przestrogi, ale drzwi nam nie zapiera.

— Jutro w las! Jutro w las! — klaszcząc w dłonie począł wołać

spragniony Andruszka. — Ja bym się go prosić był nie ważył. Tyś dobry brat...

ale jeżeli, jeżeli się co stanie.

— Cóż się stać może?

— Nuż spotkamy kogo?

— Alboż nas może pochwycić zniecka? — odparł Jurga.

Andruszka wahał się niepewny, a znać było po nim, że pokusie ulegnie; oczy mu błyskały, poszedł zaraz do kąta, gdzie broń złożoną mieli.

— W lasach zwierza dostatkem być musi! — począł jakby upojony. —

Jutro do dnia, na łowy! Jutro do dnia...

I przez cały wieczór cieszyli się jak dzieci, drżały im ręce do oszczepów.

— W las! W las! — powtarzał jeden, to drugi.

I po pierwszej mszy pobiegli do stajni, a chwilę potem już ich w

klasztorze nie było.

Rozdział 5.

Ksiądz Petrek niespokojnie trochę czekał powrotu opata; król dziwnie jakoś lekceważąc przyjął jego doniesienie, lękał się więc by ono skutków jakich kłopotliwych nie pociągnęło za sobą. Kość była rzucona, musiał już teraz popierać innymi środkami rozpoczętą sprawę; nie chciał sam pozostać z nią, współników mu było potrzeba. Nazajutrz więc po widzeniu się z królem, które się milczeniem skończyło i nie zbliżyło go do niego, korzystając z wieczornego obchodu niewieściego dworu wcześniej niż zwykle wcisnął się do

markgrafówny. Znalazł ją zarumienioną mocno, niespokojną, na cichej rozmowie ze starą niewiastą, która się wciskała wszędzie, nawet do króla i niezrozumiałym jakimś na dworze trudniła się rzemiosłem. Zwano ją starą Panichą. Nosiła ona na piersi ogromny krzyż cynowy na znak widomy, że była ochrzczone, siadywała dużo w kruchcie kościelnej, gniewała się gdy ją posądzano o czary, zamawiania i praktyki bałwochwalskie, jednak leczyła różnymi sobie tylko znanymi ziołami, przy których i szepty, i zażegnywania równie odprawiała. Ludzie się jej lękali. Bojąc się, aby ją nie prześladowano o czarnoksiężstwo, Panicha duchownym okazywała cześć nadzwyczajną, tak że na twarz padała przed nimi i kraj sukien ich całowała. W kościele jęczała i modliła się tak, aby ludzie słyszeli ją i widzieli. Mimo to wszystko, więcej się jej lękano, niż lubiono. Wcisnąć się umiała wszędzie, a czując, że obudzała pewną obawę, korzystała z tego wyłudając od każdego, co tylko mogła. Młodsze jej życie mało znane było. Z dawien dawna wisiała przy dworze.

Niegdyś pewnie piękną być musiała, dziś stara już, z włosami siwymi, ale białymi jeszcze zębami i oczyma przenikającymi, postawę miała zręczną, chód rześki i z dala wydawać się mogła młodą, choć twarz jej całą marszczki porały.

Pokorna do zbytku, umiała być zuchwałą bez miary. We dworze nie było człowieka, którego by życia tajemnic nie znała, wszystkich wad jego i słabości.

Pomiędzy tumem a dworem pańskim snuła się bezustannie. Niekiedy nikła na dni kilka i wracała niepostrzeżona.

Do jednej królowej Ennildy nie miała przystępu, odprawiano ją tu

datkiem, ale ani jej słuchać, ani przypuszczać do siebie nie dozwalała świątobliwa pani. Żli ludzie utrzymywali, że mimo okazywanej pobożności Panicha miała z poganami po lasach stosunki i gusła z nimi odprawiała. Inni mówili, że stara czarownica między młodzieżą płci obojej na dworze była chętną pośredniczką. Chociaż wydawała się ubogą, chodziła odarto, byli i tacy, co się przysięgali, że miała już niemały skarb uzbierany i gdzieś zakopany na rozdrożu.

Panicha chadzała do księdza Petrka, lecz ten obawiał się czarów, posądzał

ją o nie i wstręt miał do niej, mimo że mu się narzucała.

Gdy wszedł do komnaty markgrafówny, widocznym było, iż się żywa

rozmowa przerwała. Oda stała cała zarumieniona, Panicha u progu, zawinięta w płachty, ręką jeszcze coś wskazywać się zdawała, gdy ksiądz Petrek w progu się pokazał. Wnet stara ogarnęła się znowu, spuściła głowę i na widok księdza pospiesznie ku niemu podbiegłszy upadła przed nim na ziemię, ręką chwyciła brzeg sukni, ucałowała, a potem obie dłonie ku niebu wzniosła. To uczyniwszy, podobnie pożegnała Odę i oddaliła się spiesznie.

Na twarzy księdza Petrka to spotkanie widocznie odbiło się chmurą, długo się nie odezwał słowa. Oda miała pałające oczy i twarz ożywioną jakby jakąś nadzieją, z którą się nie spieszyła zwierzyć pisarzowi.

— Co ona tu robi, ta czarownica? — szepnął ksiądz — po wszystkich

kątach jej pełno.

— A! Mój ojczy! To biedna, uboga żebraczka, która się wysługuje, jak może, dla kawałka chleba, a pobożną jest bardzo.

— A szatan od niej z dala cuchnie! — odezwał się ksiądz Petrek. —

Wiedzą ludzie, co ona umie. Komu ona nieprzyjaciółką, temu się nic nie wiedzie, zna się ona ze... złym.

Ale, nie! Nie! — przebąknęła Oda.

Ksiądz zamilkł.

— Dobrze by było jednak, abyście jej unikali dokończył pisarz.

To mówiąc przybliżył się ku pięknej markgrafównie, która nie spokojnie rękami coś na stole składała.

— Ja tu do waszej miłości — rzekł zniżając głos — przychodzę w ważnej sprawie, w sprawie tak ważnej...

Oda rzuciła, co miała w rękę, i spojrzała nań oczyma chciwymi wieści.

— Nie ulega wątpliwości — mówił pisarz — że nie wiem kto, ale

najpewniej królowa z Sieciechem ocaliła Jaksów przeciwko woli króla! Tak!

Okłamano pana, sprzeciwno mu się, wykradziono ich. Siedzieli ukryci w tumie, parę dni temu

gdzieś ich do innej kryjówki wprowadzono.

Oda słuchając ręce ścisnęła białe, a usta się jej uśmiechały złośliwie.

— Ja tego doszedłem — mówił dalej ksiądz Petrek — a wam to oddaję,

abyście wy z tego korzystali. Król już się pono zdrady domyśla. Kogo posądza?

Nie wiem... Trzeba, abyście wy, miłościwa pani, donieśli mu o tym, gdy można będzie, potajemnie. Lecz nie wyjawiajcie, skąd to wiecie. Niech król zapyta tylko królowę, pod przysięgą, pobożna niewiasta fałszu nie powie. Naówczas.

— Naówczas sądzicie? spytała Oda — że na królowę gniew jego spadnie?

Ksiądz spojrział na nią bystro.

— Miłościwy pan nasz — rzekł — jest w sile wieku, bez niewiasty on

żyć nie może. Jeżeli inną pod tę porę umiłuje gorąco, będzie mu na rękę rozstać się z córką Dobromira.

Oda się zarumieniła mocno.

Nie była ona zbyt wstydliwą niewiastą, a współcześni historycy dają to poznać mocno, iż się nawet wydawać nią nie starała. Wiek też i obyczaj do otwartości większej upoważniał; w słowach nie kryto myśli, ale ją wypowiedano jawnie. Późniejsze wieki dopiero nauczyły się najsromotniejsze sprawy gładkimi omawiać wyrazy.

Oda snadź miała już pełną głowę i pierś owej przyszłości, którą na

namiętności Bolesława oparła. Poczęła też mówić szybko.

— Król we mnie rozmiłowany, ja to wiem! Ale mnie mieć nie będzie,

tylko gdy z nim obok się na tronie prawo mi da. Inaczej nie, nie, nie! Wiem, że dla mnie wszystkie mu zbrzydły!

Rozśmiała się.

— Królowa zna to dobrze, rada by mnie dawno do ojca odprawić! We

dworze mnie czernią, jakobym jeszcze w domu miała kochanka. Co mi tam!

Młoda i piękna jestem, niech mówią, co chcą, król się o to nie spyta. Zechce mnie mieć, musi przed ołtarz prowadzić.

Ksiądz słuchał, trochę oczy spuszczaając.

— Wszystko to wiem i Wasza Miłość wiesz też, że ja, sługa wierny

cesarza, życzę, aby się tak stało, jak chcecie. A kto do tego dąży, trzeba, by umiał drogi sobie znaleźć.

— Jakie drogi? Ja go oczyma trzymam na uwięzi, byle mi się nawinął —

poczęła Oda, — królowa się krzywi, Ryksa głowę odwraca, nie dbam o to.

Śmieję się przy nich. Wczoraj, gdyśmy szły, zostałam ostatnia, umyślnie, Bolesław stał z boku, pochylił mi się tak, że mnie pocałował. Nie widział

nikt.

— To wszystko nie pomoże — szepnął ksiądz Petrek — póki królowa nie

zostanie odprawiona do klasztoru. Jej tam lepiej będzie.

— A mnie na jej miejscu! — rozśmiała się Oda.

— Więc czyńcie, pomagajcie sobie, aby to miejsce otrzymać! — począł

nagłać ksiądz Petrek. Powiedzcie mu o Jaksach i o zdradzie królowej. Jeżeli to nie jej sprawa - ale któż by się ważył na nią? No, to się oczyści.

Ksiądz Petrek dodał jeszcze kilka słów i szybko się oddalił.

Nadchodziła godzina wieczerzy. Dnia tego na dworze ludzi było wielu. Z

dwunastu panów radnych Bolesława połowa z nim przybyła z Gniezna, byli posłowie różni; był z Danii goniec od króla i z Rusi dwu kneziów, którym rad był Bolesław, bo ich potrzebował.

We wszystkich izbach stoły były pełno obsadzone, czeladź z pochodniami stała u ścian, gwar panował wesoły we dworcu. Pomiędzy panem a gośćmi i czeladzią związek był jakiś żywy, tak że ilekroć król Bolesław milczącym był i pochmurzonym, odbijało się to w otoczeniu gdy wiedziano, że rubasne swe odzyskał usposobienie, śmiało się wszystko, Zygmunt chodził inaczej, pacholki i komornicy żywiej się obracali. Wolne słowo, które się innego czasu nikomu z ust wyrwać nie śmiało, leciało aż do pańskich uszów...

Od powrotu z Gniezna raźniejszym był Bolesław, wszyscy też za nim

ochocze mieli twarze i po kątach gziła się czeladź i komornicy, a w podwórcach nie bardzo też było cicho. Rozlegały się niekiedy śmiechy bujne, z dziką siłą, niemal strachem mogącą nabawić.

Mówiono, że historii łaźiebnej Mieszka z Bezprymem dowiedziawszy się król, gdy sądzono, że dla starszego syna okaże litość, a Mieszka zgromi, przeciwnie, zdał się nią uradowany. Nie uwierzył jej zrazu, powtarzać ją sobie kazał różnym i mrucał. — Mieszko miałby taką dumę i dzielność!

Zaprawdę, nie spodziewałem się po nim tego!

I nie tylko że nie zganił królewicza, lecz serdeczniejszym dlań być począł.

To mu przyczyniło dobrej myśli. Zyg, który czytał w oczach, śmiało się teraz narażał z tłustymi i rubasznymi wybrykami swoimi. Nie marszczył się na nie pan wcale, witał je szerokim śmiechem.

Być może, iż oczy Ody przyczyniały się też do ożywienia starego rycerza, który jak ojciec dla niewiast miał słabość do zgonu. Hamowała go pobożna królowa, przecie nigdy ustatkować się zupełnie nie mógł, a gorąca krew w nim grała do ostatka. Gdy opat Aron z obowiązku go czasem do pomiarkowania tych chuci nakłaniał, Bolesław milkł, korzył się, a widać było, iż do serca tego nie brał. Każdy wybryk natychmiast sowitym darem dla kościoła opłaciwszy, zdało mu się, iż już się oczyścił z niego.

Początek wieczerzy poważniejszym był, siedziała u stołu królowa, opat Aron, dwu obcych duchownych, panowie radni, posłowie. O rycerskich

sprawach, orężu i wojnie mówiono: który naród najdzielniejszy, jakie miecze najlepsze, jakie hełmy najtrwalsze i jak w polu się ścinać najrozumniej. Król i jego wojewodowie mówili przypominając własne dzieje, gdzie się im i jak broń wysłużyła najskuteczniej. Duńczyk swoich chwalił uzbrojenie, inni niemieckie, tamci włoskie, a byli tacy, co i węgierskie sławili.

Gdy tak rozprawiano, król, który rad pił i drugim nalewać kazał, wprędce się jeszcze bardziej rozochocił. Gdy duchowieństwo dla modlitwy odeszło od stołów, a królowa też ze starszymi się cofnęła, Bolesław młodszym niewiastom śpiewać i skakać kazał dla oczów zabawy. Kubki chodziły gęsto i śmiechy rozlegały się coraz głośniejsze, białogłowy młodsze, rade wesołości, słuchały wyrazistych oświadczeń, których im nie szczędzono.

Gdy się już tak w izbie rozochocili wszyscy, królowa Emnilda i Ryksa też odeszły do swoich komnat.

Oda nie chciała widzieć, gdy inne szły, wmieszała się do tanecznic i przodowała im. A miło na nią było popatrzeć, gdy ciężki płaszcz rzuciwszy, w opiętej sukni popisywała się z kształtną swą i rozkwitłą bujno postacią. Król też z oczów jej nie spuszczał, a ona, choć się zdawała zajęta zabawą, ani się zbyt od niego oddalała, ani się dała drugim zasłonić. Stała ciągle na widoku.

Mieszko rozmawiał z Duńczykami, radni rozprawiali z posłami. Bolesław się zabawiał. Trwało to już długo, gdy ku markgrafównie skinął; podeszła do niego w skokach.

— Radują się wam oczy! — zawołał. Cóż, gdy tylko oczyma się wami radować można?

Oda ustami do góry podniesionymi coś mówiła niezrozumiałego. Po chwili rzuciła z niechcenia:

— Albo to wina moja?

— A czyjaż? — spytał król.

— Oczów, co się radują same i na tym im dosyć — odparła Oda.

Król się zadumał patrząc na nią.

— Mnie bo was żal — poczęła jakby korzystając ze zbliżenia się markgrafówna i z tego, że nikt się nie przysłuchiwał rozmowie — mnie bo was żal.

— Jeżeli żałujecie, to pomiłujcie! — rozśmiał się Bolesław rozochocony.

— Choćbym i miłowała, cóż z tego? — poczęła Oda. — Ja wolna, wy nie wolni...

Na to nie było odpowiedzi długo, popił Bolesław z kufła i wąsy otarł.

Spojrzał na nią bystro i wyzywająco, odpowiedziała mu takim samym wzrokiem.

— Mnie bo was żal — powtórzyła znowu — was tu nikt może tak jak ja nie miłuje, tak jak ja nie żałuje, a zdradzają wszyscy!

— Wszyscy? — zapytał Bolesław śmiejąc się — wszyscy? Ej!

— A tak! Wszyscy! — mówiła Oda.

Zmarszczył się król nieco.

— Wszyscy? — spytał jeszcze raz.

— Wszyscy — powtórzyła markgrafówna — jam śmiała, ja kłamać nie umiem. Co mi tam! Mogę jutro do ojca powrócić. Dawno by czas, by i o mężu pomyśleli dla mnie. Pogniewacie się na mnie, to odeślijcie.

Z ciekawością król słuchał.

— Za cóż się ja mam gniewać? — zapytał.

— Za to, co powiem.

Tu zniżyła się do ucha królowi.

— Królowa nawet was zdradza! Tak. Skazaliście Jaksów na śmierć, ona

sprawiała, że żyją.

Spojrzenie surowe Bolesława nie mieszało ją.

— Ja wiem, że tak jest.

Sądziła Oda, iż twarz króla, która łatwo gniewem się okrywała

purpurowym, zmieni się i nasroży, gotową była do wybuchu i pytań. Lecz Bolesław wyciągnął rękę do próżnego kubka, uderzył nim w stół, co znaczyło, by go podczaszy napełnił; twarz mu się nie zasępiła, owszem uśmiech po niej się przesunął.

— A! Ty niemiecka dzierlatko! — rzekł. — Szpaczku ty, co tak

szczebioczesz ładnie i żwawo, kto ci to takie baśnie przynosi? Wy we wszystko wierzycie?

Oda zarumieniona stała.

— Wierzę prawdzie, cały dwór o tym już prawi! — zawołała.

— A kto wam mówił o tym?

Oda zacięła usta; sama nie wiedziała, na kogo to złoży i czym się wytłumaczy.

— Mnie, a, niewiasty! Tylko o tym na dworze prawią. A kto miał

uczynić? Wiedzą wszyscy! Pobożna królowa. Myślicie — dodała — że ja, gdybym żoną była, uczyniłabym kiedy co przeciw pana woli? Ani dla

rodzonego brata!

Bolesław nie odpowiedział słowa.

Szpiegująca go oczyma markgrafówna zrozumieć już nie mogła, co

myślał, ale mówić o królowej nie chciał widocznie. Zwróciła się więc w inną stronę.

— Królowa... ja nie wiem... a drudzy Sieciecha winią. Córkę miał za

Jaksę zaswataną.

Białymi zębami rozśmiał się król i ramionami ruszył.

— Co więcej? — Praw, sroczo różowa! Choćbyś nie do rzeczy paplała,

zawsze cię słuchać miło. Hej! Młodość wionie od ciebie jak na wiosnę od świeżych pączków

brzeziny, gdy się rozwiną. Gdy przy mnie stoisz, zdaje mi się, że i mnie inne lata wracają. Praw, co chcesz, a zbliż się do ucha, wszystko ci wolno.

Uraziła się nieco Oda, choć słowa były pochlebne.

Nie takam ja krótkowidząca, jak myślicie! miłościwy panie! — zawołała żywo.

— Krótkowidząca, łatwowierząca! — rozśmiał się król. Wolno ci to, bo za to warkocz dziewiczy masz długi! Co mi u niewiasty po rozumie, kiedy kraszy nie ma. U niej cały rozum w krasie i póty rozumu, co młodości.

Oda stała nadąsana.

— Praw, praw! — mówił Bolesław. Ano i to wiedz, że komu ja rzekłem,

iż umrzeć ma, ten umarły i pogrzebiony, a kto by mi go z ręki chciał wydrzeć, z nim też pójdzie tam, skąd nie wracają. Moja wola i o tysiąc mil sięga.

Rozumiesz to?

— Było to niegdyś, miłościwy panie, było, a dziś, tyś już ciężki! Tyś głuchy, gdy nie chcesz słyszeć i ślepy, gdy ci widzieć niemiło!

Skinęła ręką i żywo odskoczyła, jakby odejść chciała. Król rad był ją powstrzymać, pierzchnęła. Zdało się jej, że na ostatku trafiła mu w serce i strzała utkwiała.

A król siedział tak spokojny, jakby posłuchał piosenki, i wnet się obrócił

do tych, co o wojnie prawili, zagadując ich o zbroje i młoty...

Późno w noc ruszył się wreszcie Bolesław i dwór cały z nim, choć po

izbach jeszcze niektórzy zostali u dzbanów, rozgadani. Sieciech i komornicy prowadzili go do sypialni. Zyg też szedł próbując, czy mu się jeszcze raz rozśmieszyć nie uda.

— Miłościwy panie — mówił — Sieciechowi staruszkowi dać było

spocząć, a zamiast ochmistrza markgrafiankę dziś było ochmistrzynią

mianować.

Król go ręką po głowie klapnął bez gniewu.

— Ona by pewnie bardzo nie była markotną — dodał Zyg.

Widząc uśmieszek na twarzy, błazen dalej ciągnął. Tylko z księdzem

Aronem bieda, bo oni o wszystkim na dworze muszą wiedzieć, a mało co im do smaku.

— Milcz nicponiu! — groźnie ofuknął król i silnie go uderzył. — Na

księży nie śmieję rwać się z językiem, bo ci go oberżnąć każę.

Zyg skulił się wpół, syknął i wysunął rękę pocierając miejsce, w które został uderzony.

Prowadzący króla z pochodniami do sypialni doszli do jej drzwi tylko; tu postawiono straż, a dwaj komornicy i Sieciech tylko towarzyszyli Bolesławowi do łoża, na które rozebrany legł natychmiast.

Sieciech stary odchodzić miał, gdy go król znakiem, który zrozumiał, zatrzymał. Często bardzo dawał mu na dzień następny rozkazy, czekał więc na nie sługa, ale Bolesław nie odezwał się, aż wyszli służebni.

Ręką skinął, aby się doń Sieciech przybliżył.

— Słuchaj ty, stary — rzekł — co mi tu trutnie do uszu przynoszą na królowę i na was o tych nieszczęsnych Jaksach. Nie dość żem się nimi namęczył, póki żyli, nie dość ich śmierć odżałował, jeszcze z grobu mnie prześladowają. Kto tu zmyśla baśni, że królowa i wy dla córki waszej spod moich rąk ich wyrwaliście i żywicie! Kto to mówić śmie i powtarzać. Ja o tym dwakroć już słyszę, a nierad bym trzeci raz tej wieści! Ogłoście mi po dworze, kto będzie śmiał się z tym nosić i mówić o tym, nie jak psu odszczekiwać mu każę pod ławą, ale jak psa go wyżenę lub ubić każę.

Sieciech słuchał zbladły i osłupiały; gdyby nie mrok w izbie, oświeconej tylko ogniem komina, którego blask do łoża nie sięgał, Bolesław poznałby był

na twarzy sługi przerażenie i niemal przyznanie się do winy. Starzec drżał, potrzebował zebrać myśli, nimby się zdobył na słowo. Król mówić już przestał, czekał na odpowiedź, Sieciech stał oniemiały.

— Słyszeliście i wy pewnie o tym? — dodał król. Lub może wam w oczy

nie śmiano tego rzec, boć was winią. Winią królowę. Bezecne języki jadowite śmiają na świętą porywać się niewiastę. Któraż już na świecie bezpieczną będzie, gdy ta nie jest poszanowaną, co nikomu nigdy nie uczyniła zła, a tyle robiła dobrego? Słyszeliście wy o tym?

Sieciech coś mrucał tak niezrozumiałego, iż król pewnie nie dosłyszał

słów jego, ale mu nie szło o odpowiedź.

— Nie wytrąbiać tego, bo nie warto dodać, ale powiedzieć starszyźnie, kto mi to nosić będzie śmiał, tego ukarzę jak psa.

To rzekłszy król się kozuchem osłonił. Był to znak odejścia. Sieciech posunął się ku drzwiom niepewnym krokiem, pełen jeszcze niepokoju i trwogi.

W pierwszej chwili wyszedłszy z komnaty chciał natychmiast o radę biec do opata i z przestrożą do królowej lecz północne koguty piałły, nie pora była.

Oprócz współbiesiadników króla we dworze spało wszystko.

Starzec, który się nigdy do żadnych knowań nie mieszał, widział przecie jasno, co się tu działo, rozumiał więc dobrze, iż królowi donieść mogli tylko ci źli ludzie, co pobożną Emmildę zgubić pragnęli, a dla swych widoków w jej miejscu młodą Odę postawić. Nie śmiałby był badać króla, od kogo to miał, lecz z rozmowy cichej z markgrafówną, na którą patrzył z ubocza, odgadywał, że ona to Bolesławowi przynieść musiała. Ona jedna. Któż drugi? Kto by ten skryty nieprzyjaciel, tego odgadnąć nie umiał.

Ze zwieszoną na piersi głową wysunął się Sieciech do mieszkania swego, nazajutrz zamierzając o tym uprzedzić opata naprzód, potem oznajmić królowej.

Sen go też prawie do brzasku nie wziął i gdy się dwór ruszać począł do dnia, wstał z łoża niespokojny. Opat Aron zwykle rano odprawiał w tumie mszę świętą, tak by później być na króla zawołanie.

Tu naprzód pospieszył stary, swoje obowiązki dworskie zwierzywszy

zastępcy. Opat się modlił już w zakrystii, gdy do niej wszedł Sieciech, na którego twarzy pomieszenie widać było. Sama jego przytomność tu niezwykła już opatowi dawała do myślenia. Lękał się, by coś królowi się nie przytrafiło.

Wyszli wnet razem nie do izby, bo się ścian lękał stary, lecz w podwórze katedry. W krótkich słowach opowiedział Sieciech powód przybycia.

Opat Aron ręce załamał, lecz gdy doszedł do końca powieści, uspokoił się znacznie.

— Król, dzięki Bogu — rzekł — żadnej do tego nie przykłada wiary, lecz kto i jak odkrył tak pilno strzeżoną tajemnicę? Kto ją zdradził złośliwie?

O tym próżno myśleli oba, odgadnąć było trudno. Opat wrócił wnet do

księży przy tumie, a ochmistrza nazad odprawił, aby wcześniej a oględnie królowę ostrzegł. Tu nie potrzebował śledzić długo, by dojść, że biedny stary stróż dał się na słowo jakieś wyciągnąć księdzu Petrkowi. W ten sposób wszystko się tłumaczyło.

Ksiądz protonotariusz pochlebiał sobie od dawna, iż umiał się wkraść w łaski i posiadał zupełne zaufanie opata. Nie znał jednak opata Arona, którego kroniści niemieccy zowią: "z sukni duchownym, z natury lisem", był on nierównie przebieglejszym, niżeli się wydawał. W obejściu się pełen prostoty, na pozór otwarty, ostrożnym był i baczny. Wiedział dobrze, iż cesarscy przyjaciele, niemieckie duchowieństwo, które sobie do zwierzchnictwa nad kościołem polskim prawa rościło, mieć będą na dworze Bolesława swych ludzi i donosicieli; znał stosunki księdza Petrka z Dziewinem, i dlatego trzymał się go, iż przezeń dowiadywał się Henryk cesarz i arcybiskup o tym tylko, co opatowi dogodnie było im dać wiedzieć. Zdrada protonotariusza nie była dlań tajemnicą, używał jej jako narzędzia nie dając poznać po sobie, iż świadomym jest wszystkiego.

Tak samo jak cesarz na dworze Bolesława miał swe sługi, Bolesław

sowicie opłacanych ludzi trzymał w Dziewinie i gdziekolwiek cesarz przebywał.

Miał ich w Rzymie, a gdy ostatni raz papież Benedykt zjeżdżał do Niemiec, skorzystano z tego, by w jego otoczeniu zjednać sobie przyjaciół.

Chytry ksiądz Petrek wcale nie posądzał opata o grę tak mądrą.

Z tumu wprost ksiądz Aron poszedł do protonotariusza. Znalazł go na

modlitwie. Widzieliśmy, że był to człowiek, mimo swej zdrady, pobożny, bo nawet gorliwość religijna pobudką dlań do niej była.

— Mój ojczy — odezwał się wchodząc, gdy tamten modlitwę dokończył.

— Możecie mi oddać usługę wielką. Zaniepokojono króla plotką nie do wiary o jakimś ocaleniu i wykradzeniu Jaksów; król jest w wielkim gniewie na tych, co to wymyślili. Kazał Sieciechowi ogłosić we dworze, że jak psa ukarze, kto będzie śmiało powtarzać tę baśń. Nie słyszeliście wy o tym? Nie wiecie, kto może być jej sprawcą?

Ksiądz Petrek udał wybornie zadziwionego, przejętego i począł do

pytywać, czy, uchojaj Boże, nie zaszkoziło to "świętej pani" lub

"czcigodnemu Sieciechowi"?

Uspokoił go opat odpowiedzią, że złośliwa baśń na to była stworzoną zapewne, aby pomiędzy królem a królową zasiać nieufność i obudzić niechęć, lecz wielki rozum i serce pańskie odgadło cel i sprawca tylko mógł ucierpieć na tym.

Ksiądz Petrek stał widocznie pomieszany, starając się niepokój ten pokryć troskliwością o świętą panią i czcigodnego starca. Nie wiedział, co począć, bo się lękał, aby król na zapytanie Arona nie wyjawiał mu, że od niego to słyszał.

Przyznać się nie chciał i nie widział sposobu, którego właśnie szukał w głowie, aby z siebie winę kłamstwa i zatajenia zrzucić. Nie pozostawało mu nic innego, jak fałszem nowym obalamucić opata, w którego zaufanie dla siebie miał wiarę.

Po chwili milczenia i namysłu skłonił głowę i boleściwie ręce rozkładając odezwał się cicho.

— Muszę się przyznać, że mnie o tym już wieści doszły, iż królowi coś podobnego doniesiono. Ogarnęła mnie trwoga wielka, a że waszej

przewielebności nie było naówczas, próbowałem sam umysł króla odwrócić od podejrzeń. Mówiłem z nim o tym.

— Jakże to przyjął? — zapytał chłodno opat.

Z oburzeniem, zawołał ksiądz Petrek.

Milczenie krótkie przerwało rozmowę, protonotariuszowi brakło

wyrazów, mieszał się widocznie, był nieswój. Przebiegły opat zdawał się tego nie widzieć i nie rozumieć.

— Jak sądzicie? — zapytał, kto mógł być sprawcą?

— Cóż ja o tym sądzić mogę! z pokorą wielką począł pisarz. — Ja, który tu siedzę zamknięty, do niczego się nie mieszając, czas pędząc na modlitwie i pracy? Obcy jestem temu, co się tu dzieje przypadkiem chyba wieść mnie jaka dolecieć może. Wasza przewielebność znacie lepiej ludzi i sprawy, które jakby siecią opasują miłościwego pana naszego! Wszędzie złych pełno.

Podniósł oczy ku niebu i zamilkł. Opat patrzył nań z rodzajem chłodnej ciekawości, po twarzy przebiegły jakby strumienie jakieś wstrząsające jej rysami, hamował się jednak, Petrek był mu potrzebny.

Protonotariusz miał czas ochłonać i uspokoić się nieco.

— Mówmy więc o czym innym siadając w krzesło u stołu począł opat

zwolna.

— Nie tajno to wam, miły bracie, że król korony od Ojca świętego

pragnął, jako potwierdzenie tytułu i wieńca, który od świętego przyjaciela swojego cesarza Ottona otrzymał. Życzył sobie pan miłościwy wprost się udać do Ojca świętego, aleśmy go przekonać zdołali, iż cesarza ominąć i bez jego woli nic się uczynić nie da. Drogi mamy do Stolicy Apostolskiej zamknięte.

Cesarz wszechwładnym jest od granic naszych począwszy — do Rzymu, ani posły by nie doszły do niego, ani powrócić do nas mogły z koroną.

Petrkowi oczy pobłyskiwały, głową potwierdzał w milczeniu, Nie

spodziewał się takiego zwrotu i choć nie okazywał zdziwienia, w duszy wielce był zdumionym. Mówił sobie słuchając: "Zaprawdę, jeżeli pozwolenia cesarskiego czekać będziecie, poczekacie na nie długo!"

Opat zwolna ciągnął dalej.

— Cesarz właśnie na przyszłe Święta Wielkanocne do Niemiec ma

zjechać; potrzebujemy męża rozumnego, życzliwego, sprzyjającego królowi i jego sprawie, który by na dwór arcybiskupi z tym jechał i sprawę o koronę opiece jego powierzył... Padło oko królewskie i moje na was, mój ojcze.

Ksiądz Petrek spojrział i drgnął.

Chlubno mu było zostać posłańcem króla, dogodnie mu się zdawało w ten sposób zapobiec, aby Bolesław upragnionej nie otrzymał korony; lecz zarazem niepokój go przejmował, kto tu w jego miejscu stanie na straży?

Pochylił nisko głowę z dziękczynieniem pokornym.

— Miłościwie nadto dla mizernego sługi waszego — odezwał się słowa

cedząc powoli — ani śmiem pochlebiać sobie, bym dostojeństwa był godzien i podołał wielkiemu celowi. Słabe ramiona, wątłe siły moje!

— Król was wysłać pragnie! — dodał opat. — Nie możecie się woli jego opierać. Dane wam będzie na podróż, co potrzeba, byście godnie przedstawiali u dworu wielkiego króla naszego. Wezwijcie w pomoc Ducha Świętego i

sposóbcie się do drogi.

To mówiąc i wymówek nie słuchając wstał opat, ksiądz Petrek milczał rad i zafrasowany razem. Odprowadził go do drzwi, niepewien jeszcze, czy go spotkało szczęście, czy się gotowało niebezpieczeństwo.

— Lecz — odezwał się nieśmiało do odchodzącego już — któż mnie tu

wam zastąpi, jeśliby pismo jakie sporządzać przyszło?

— O tej potrzebie wątpię — rzekł opat. W pilnym razie ojciec Paweł

wezwanym być może z Trzemeszna.

Opat szedł już dalej, gdy protonotariusz o drzwiach otwartych

zapomniawszy stał w nich jeszcze rozmyślając nad sobą. Zwolna potem

przymknął je wracając do izdebki. Stał u ognia, zapatrzony w żar czerwony.

— Miałżeby opat być tak przebiegłym, by mnie chciał zwieść i okłamać?

— rzekł w duchu. — On? Mnie! Miałżeby posądzać! Chcieć się pozbyć!

Uśmiech mu skrzywił usta.

— Nie, nie może to być, odrzucić nie mogę poselstwa, będzie ono i mnie służyło.

Dumał długo chytry zwolennik cesarski, lecz widział, iż musiał być

posłusznym. Żał mu tylko było chwili, jak mu się zdało, stanowczej i ważnej dwór opuszczać; trapiło

go to, iż cichą swą robotę podziemną na czas porzucić będzie musiał.

Opat spieszył już do króla, aby go schwycić wprzód, nim wrzawa dworska otoczy.

Bolesław zobaczywszy ulubieńca swojego pospieszył go powitać

pocałowaniem ręki. Na widok jego starszyzna, którą był powołał dla narady, natychmiast pierzchnęła. Zostali sami.

— Miłościwy panie — szepnął opat — księdza Petrka się nam pozbyć ze

dworu potrzeba, inaczej to, co przedsięwziemy dla otrzymania korony z Rzymu, nigdy by się nam nie powiodło. Ze swej celi ma on oko i ucho wytężone na wszystko. Dałem mu wiedzieć, że się już wcale u papieża omijając cesarza Henryka starać o nią nie myślimy. To ich uspokoi. Wyprawiam protonotariusza do cesarza. Choć wiemy dobrze, iż nam odmowną odpowiedź przyniesie. To nam da czas dróg innych próbować. Zbyć się go stąd na teraz jest

nieuchronnym. Oznajmiłem już mu o podróży.

Król się uśmiechnął.

— Czyńcie, jako się wam zda najlepiej — rzekł — jam przy was, gdy o

mądre chodzi sprawy prostaczkim; Petrek nam przydatny ale z nim igramy jako z ogniem, który i strawę zgotować pomoże, i strzechę zażegnać.

— A najlepiej by może było napisać na dwór cesarski do tych, co nam

sprzyjają — dodał opat — aby naszego posła tak gościnnie przyjmowano, by się rychło oddalić i wracać do nas nie mógł.

Opat głową potrząsnął znacząco.

— Dla niepoznaki — rzekł w końcu — miłość wasza odprawi go

obdarowanym i z pilnym zachęceniem do wiernej usługi, z obietnicą nagrody.

Bolesław, który oczy miał z poszanowaniem wlepione w mówiącego, był

przy nim niemal pokornym i posłusznym. W tych sprawach czuł najlepiej wyższość jego.

— Uczynię, jak mi powiecie — rzekł — lecz któż nam listy do Rzymu

ułoży? Kto powiecie?

— Z Trzemeszna i Tyńca sprowadzimy wiernych ludzi mówił opat, a ci

tajemnicy nie zdradzą. Nie jedno, lecz trzy różnymi drogami wyślemy poselstwa do Rzymu, a daj Boże, aby chociaż z nich jedno dostało do apostołskich progów i do nas wróciło. Wiedzą cesarscy dobrze, iż się o koronę staramy, nie złudzi ich to, iż się do Henryka udamy o nią! Na wszystkich gościńcach czatować będą, podróżnych chwytają i listów szukać, na wszystkich drogach zabiegać.

Westchnął opat Aron.

— Kogóż wyślecie? — zapytał król.

— Dobierzemy duchownych, dodamy im dzielnych rycerzy ku obronie
mówił opat.

— Stoigniew stary do jednego z poselstw zdatny — przerwał Bolesław.

— Znajdziemy i innych — dodał zamyślony opat Aron — zostaw mi to,

miłościwy panie, rozmyślać i modlić się będę. Ani chcę, byście wiedzieli, co i jak uczynię, bym niepokoju nie pomnażał. Biorę to na barki moje, a Bóg miłościwy wesprzeć zechce sługę swojego.

Radosnym, błyszczącym okiem spojrzął Bolesław na Arona.

— Ojciec mój zawołał, nie dla tej już siwiejącej głowy korony mi

potrzeba, dopóki ona oczu nie zamknie, królem będę i bez niej, trzeba mi jej, abym nią pokrył kraj od Dunaju do Bałtyku i rozpaść mu się nie dał, trzeba mi jej, aby na skroń Mieszka przyniosła błogosławieństwo i duchem ją Bożym oświeciła. Nie dla siebie jej pragnę. Ten sam ojciec nasz rzymski, co wchodzącemu do Rzymu cesarzowi złotą kulę ziemską na znak panowania dał

w ręce i błogosławił zwycięstwom nad Saracenami, niech mi koronę

pobłogosławi, ażeby dzieło ojca i moje wniwecz się nie rozsypało. Nie sobie, ale synowi łaski jego pragnę, a potem umrę spokojny!

Opat Aron ręką krzyż zakreslił w powietrzu i król wiodąc go wyszedł do stołów, przy których nań goście i dwór oczekiwali.

Rozdział 6.

Ranek był jakby dla łowów wybrany i pod szczęśliwą wróżbą wyjechali

za klasztorne wrota Jaksowie.

Świat im się śmiał cały! Zdawało dawne powracać życie w Jaksowych

Borach, za owych dobrych czasów, co się tak źle skończyły! Twarze ich jaśniały na przemiany to radością, że znowu wolnym boru oddychali powietrzem, to smutkiem oblekały, gdy przypomnieli, że

dawniej mieli poczet liczny przy sobie, że im własne psy radośnie naszczekiwały, a łowiecka gromada śpiewała stare pieśni myśliwskie.

Już ni tej zgrai głosów ni tych ludzi śpiewu nigdy słyszeć nie mieli i tych domowych progów oglądać, za którymi dusznie tęsknili. Lecz po cóż boleć za tym, co się wymodlić nie mogło? Uśmiechali się spoglądając na lasy. Stały one w pogodnego dnia blasku: okryte szronem lśniącym, ciche, majestatyczne, tajemnicze, wabiąc ku sobie.

Ranek zimowy był cudny. Niedawno trochę śniegu przypadło, potem

mokry śnieżek w wilgotną mgłę się zamienił, która do drzew i traw przyrosła mrozem. Każda gałązka, każde ździebełko małe przystroić się w białą, połyskującą szatę i w niej to nawet, co dla oka pospolitych dni niewidzialnym było, stało się widocznym. Las zdawał się gęstszy, gałęzie obfitsze, a na ziemi, co pozostawiła jesień, odżyło w bieliźnie zimowej, jakby wskrzeszone do nowego pośmiertnego żywota.

Stały puszcze ciche, otwierając swe głębie, a nigdy może obu Jaksom nie wydały się tak cudownie pięknymi jak teraz. Konie ich, teraz wypoczęte, rade swobodzie prychały i szły lekko a rażno.

Rozglądali się po okolicy dobrze, aby na powrót znaleźć drogę. Własnymi też ślady mogli nazad dostać się do klasztoru. W okolicy nie płoszonego zwierza obiecywało się dosyć lecz na drobnego się nie myśleli porywać. Czuć było las stary jeleniami, kozami, może niedźwiedziami i dzikiem. Andruszka i Jurga jadąc spoglądali, czy gdzie nie dojrzą tropu. Lecz lisie i zajęcze obojętne im były. Spieszyli głębiej się w bór zapuścić, jakby powracali do domu. Czuli się w nim swojsko, wszystko, choć w okolicy nieznaniej, zdało się im znajomym, przeczuwali niemal doliny, zakręty i gąszcze, które mieli spotykać. Jechali cicho, czasem spoglądając na siebie i mówiąc oczyma „jak nam tu dobrze!”

— W klasztorze — odezwał się Andruszka — ludzie mili i gościna

przyjemna, niech im Bóg za schronienie płaci, lecz zawsze to więzienie.

— A ludzie ci w nim po dobrej woli żyją i Odon powiada, żeby swej celi za królewskie nie zamienił pałace.

— Święci są — dodał Andruszka — ano świętych trzeba, żeby

wytrzymać z nimi. Straszne życie! Każdego dnia wraca jednakowe, zawsze też same. Usnąć z nimi można.

— A oni weseli są i z twarzy ich widać, że szczęśliwi — rzekł Jurga.

— Inni to jacyś ludzie — odparł starszy — chyba w sobie wojaczkiej krwi nie mają.

Gdy tak mówili rozpatrując się po lesie, Jurga syknął wskazując tropy świeże. Poznał w nich pisanie dzika, który powlekał leniwymi nogami i śnieg pokreślił za sobą.

— Oni czytają z karty — rzekł Andruszka śmiejąc się — a my lepiej za to od nich po ziemi. Jakbym

dzika widział i miarę bym jego dać gotów.

— Świeży ślad! — zawołał Jurga. — Dotrzyjmy.

Ruszyli spieszniej, rozstępując się nieco, tak aby odyńca tropy w

pośrodek wziąć między siebie. W kilku miejscach wałęsający się wieprz próbował ryc, ale zamarzłej ziemi nie naruszywszy porzucił.

Oba Jaksowie zapomniawszy już o wszystkim, z oczyma wlepionymi w

ślady zwierza, gorączkowo doganiać go zaczęli. Z dala widać było jak kłodę ciężką przysiadłego ogromnego odyńca, z najeżoną sierścią, z bielejącymi kłami, z ryjem olbrzymim. Ten się nierychło zobaczywszy ich ruszył szparko i ryknąwszy krótko począł uchodzić.

Zwierz był niezmiernego wzrostu, niezgrabny, ciężki, ale straszny siłą.

Wpadł na zaspę śniegową, w której się ukrył prawie do grzbietu, i wyskoczył z niej na kłodę, przy której śnieg się nagromadził. Za tą chrust był i gąszcz powikłana, a z tej się dobyć znowu przychodziło z trudnością gdy Andruszka dopadł go pierwszy i oszczepem żgnął po grzbiecie.

Uwiązał ci on w boku odyńca, lecz śmiertelnego nie zadał ciosu, Jurga z drugiej strony zabierał się go dokonać, gdy rozjuszone zwierzę koniowi jego nogi przednie kłami podcięło. Koń i jeździec padli razem tuż obok wieprza, który paszczką krwawą bronił się wściekle. Przytomności swej winien Jurga, że w tej chwili miecza dobywszy uskoczył i z boku nim tak zręcznie uderzył, iż dzik, krwią rzygnąwszy, padł dogorywając.

Drogo to było okupione zwycięstwo, bo koń miał nogi rozcięte, a jedna z nich na skórze się tylko trzymała. Biedne zwierzę tarzało się pasując z bólem i śmiercią. Jaksowie stali przerażeni wypadkiem. Konia Jurdze żal było niemal jak przyjaciela, ręce załamał nad nim. Wiedział, że go ocalić nie potrafi, i oszczędzając mu boleści gardło poderżnął przez litość. Andruszka zsiadł ze swojego, który się zachął i rwał.

Stali niemi nad nieszczęśliwą zwierzyną nie wiedząc sami, co z nią

poczną i z sobą. Wprawdzie oddalenie od klasztoru nie było tak wielkie, ażeby się do niego pieszo nie można było dostać lecz odyńca nie mogli myśleć zabrać z sobą. Koń by go nie udźwignął, a im obu za ciągnąć byłoby ciężko. W

klasztorze też chyba dla obcych mógł się na co przydać odyniec, bo tu mięsa czworonogich nie jadano.

Strata konia bolała obu okrutnie, Jurga czuł się winnym i wyrzucał ją sobie. Zajęli się tak mocno doznaną stratą i rozmyślaniami co dalej robić, bo do klasztoru chyba powracać trzeba było natychmiast, a dzień im przepadł cały że ani słyszeli, ani spostrzegli, gdy tuż ku nim nadbiegł konno jeździec i stanął. Nie widzieli go jeszcze, ale dwa psy bure już im się pod nogi do zwierza rzuciły. Z

nich się dopiero domyśliwszy, iż ktoś zbliżyć się mógł i pochwycić ich tu znienacka, podnieśli oczy strwożone. Andruszka uchodzić chciał, ale brata zostawić nie mógł.

Jeździec, którego koń sapał i bokami robił, był im szczęściem nieznanym; człek już niemłody, odziany dziwnie, wyglądał dziko i stanu jego odgadnąć było trudno. Konia miał pod sobą, mierzyna grubego, okrytego zimową sierścią, grubą i najeżoną. Ponad nim widać było zgarbioną nieco silną budowę człowieka okrytego kozuchem niedźwiedzim, włosem na wierzch włożonym.

Na głowie czapka ze łba meszki, z białymi kłami, nadawała mu straszne oblicze, spod niej długie pasma włosów na pół siwych i brodę na dwoje rozdzieloną, rozczochraną, policzki żółte i oczy czarne widać było. Uzbrojenie miał

staroświeckie: ciężki topór, mieczyk mały, dzidę w ręku. Zgarbiony trzymał się na mierzynie i milcząc spoglądał na dwu braci i leżącego konia i dzika. Spod wąsów można się było domyśleć uśmiechu szyderczego, z mową wcale nie śpieszył. Stał, jakby był w domu i jakby czekał, by go ci obcy pierwsi zagadnęli.

Oni też najmniejszej do tego nie mieli ochoty. Wreszcie nie pozdrowiwszy ich po chrześcijańsku, co ich uderzyło obu, stary zawołał.

— Droga zwierzyna! Skąd wy?

Andruszce się nie bardzo odpowiadać chciało, ale był rad zbyć go.

— Byliśmy w gościnie u ojców na Tyńcu pozwolili nam zapolować, ano łowy niesamowite.

Zmierzył oczyma nieznanomy obu, wspomnienie o ojcach i Tyńcu nie zdawało mu się do smaku.

— Pewnie królewscy jesteście ode dworu? — zapytał.

— Jesteśmy wojacy nie dworacy — odparł Jurga.

Stary głową pokręcił.

— Co myślicie poczynać? — spytał.

— Wracać, jeden pieszo, drugi z koniem — rzekł Jurga.

— A dzik?

— Możecie go sobie wziąć, jeśli chcecie — odezwał się Andruszka —

nam się on na nic nie zdał.

— Naprawdę? — spytał stary. — Wieprz, co się zowie, zdrów i wypasł się bodaj u mnie, rad mu będę. Ale ja darmo podarków nie biorę, niedaleko stąd moja dziura, spoczniecie u mnie. W klasztorze o smaku mięsa zapomnieliście, a i miodu oni sycić nie umieją, te czarowniki z za morza.

Ręką pogardliwie rzucił.

— Wracać bo nam trzeba — odezwał się Andruszka niespokojnie.

— Wróćcie w czas, drogę wam pokażę — mówił stary — gościna ubogą gardzić się nie godzi.

I pomyślawszy dodał.

— Może nie macie ochoty iść, nie wiedząc do kogo? Stary jestem człek, którego ojcowie niegdy cały ten kraj dokoła trzymali. Nasz on był. Dziś u nas nikt nic nie ma, król jeden wszystko. Nowa wiara, pany nowe, jam starych lat człowiek i żebrak. Została mi zagroda i prawo do łowów. Resztę mnichom dano, zabiorą tu oni dokoła, co zechcą. Któż to panem, jeśli nie oni. Król ich pierwszy sługa.

Zdumiony Jurga wtrącił.

— Nie jesteście chyba chrześcijaninem?

— Albo ja się ciebie pytam — odparł dumnie stary — z jakim ty trzymasz bogiem?

Zamilkł nieco.

— Chcecie do Starzowej Skały — rzekł po chwili — dobrze, nie — to

niech dzik gnije, a wy bywajcie zdrowi, ale... po staremu... gościna się gardzić nie godzi.

Spojrzeli po sobie bracia. Niebezpieczeństwo im u tego człowieka, co się dziczył na króla i na nowe sprawy, nie groziło żadne, ciekawość brała. Skinęli ku sobie. Andruszka dziękując głową skłonił. Stary małego, prostego rożka dobył z za odzieży i dwa razy krótko się odezwał.

Stali czekając, gdy dwóch ludzi z gąszczy nadbiegło z oszczepami. Głowy mieli postrzyżone, choć odrosłe i widać w nich było albo niewolników, lub parobięta. Powrozy mieli na plecach, oszczepy w rękę, odkryte włosy bez czapek. Stary im pokazał dzika ręką, a sam nie mówiąc nic, ruszył. Jurga na konia brata skoczył z tyłu, siedzenie swe zabrawszy na plecy.

Nie mówiąc słowa prowadził ich z sobą stary Domosul Starza. Nie

słyszeli o nim w klasztorze dotąd, ale człek był z buty, uporu i dzikości znany.

Przez nie on włości potracił, a nie chcąc się ochrzcić, zupełnie od ludzi odłączył.

Mieszkowi i Bolesławowi wypowiedział posłuszeństwo, ziemię sobie dał

pozabierać i przez litość tylko do żywota go zostawiono na starym grodku, nie broniąc mu łowów i na jego sprawy patrząc przez szpary. Szanowano w nim krew starą władyków tej ziemi dawnych, dawano mu dożywać w tym, co on swoją dziurą nazywał.

Lasem jadąc poczęli się spinać na górę, u której wierzchu widać było okop stary i tyny mocne. Wrota z bierwion ogromnych same wyglądały jak ściana jakiegoś gmachu. Spoza nich i wału nic widać nie było. Gdy u nich stanęli, dzidą uderzył trzykroć Domosul i szeroka furta się otworzyła, za którą wąski most na wysokich stał palach. Za nim w podwórku tak nędzne szopy z chrustu i lada jakie klecić widać było, iż litość brała nad tym, co w nich mieszkać musiał. W pośrodku trochę pokaźniejszy dworek z przedsieniem na słupkach zdawał się być Domosulowym. Tu też on stanął, a wnet postrzyżone parobki podobne tym, których w lesie widzieli, przybiegły konie zabrać do szopy.

Nic nie mówiąc Domosul wszedł do dworu pełnego niewiast ubogo w

szare płótno poprzybieranych. Była to służba pańska, gdyż rodziny nie miał.

W izbie, do której wprowadził, panował taki nieład, dym, walało się tak śmiecie po kątach, iż w niej nawet posadzić gdzie nie było gości. Przeprowadziwszy przez nią, gospodarz nie mówiąc nic przodował dalej przez komorę nielepszą, z której poczęli iść jakimś podsieniem na słupach podpartym, a to się w przeciwną góry stronę zniżało i schodziło gdzie — dostrzec nie mogli.

Otwarł drzwi Domosul i spojrzawszy na Jaksów rzekł.

— Idźcie za mną, do starej jamy dojdziemy, zobaczycie starą jamę, kędy lwy spoczywały.

Odwrócił się i szedł wiodąc ich dalej za sobą. Z podsienia zstępowali jakby do lochu w górze wykutego, w którego ścianie z jednej strony porobione były otwory przepuszczające światło.

Schodzili ciągle w dół. Domosul drugie drzwi popchnął i znaleźli się w izbie na pół w skale, pół w twardej ziemi czysto i pięknie wykutej. Gdzieś wysoko rosnące drzewa korzeniami poprzehodziły aż do podziemia i sploty ich zwieszały się u sklepienia, jakby umyślnie dla ozdoby poczepiane. Z okopienia ścian i wytarcia znać było, że nie od dziś tu ludzie mieszkali. Z izby wielkiej, w której też kilka otworów światło dawało, drzwi w ziemi wiodły do innych znać mieszkań i kryjówek podziemnych. Ponad nimi w wyżłobieniach z niemałym zdziwieniem ujrzeli Jaksowie stojące nieforemne bałwanki z drzewa, z ponasadzanymi w oczach, u pasów i na głowach kamykami. Przy jednej ze ścian kamieniami obłożone było ognisko, na którym olbrzymie dwie suche gorzały kłody, a dym wymykał się otworem, który ponad grzbiet góry wychodził.

Wszystko tu było osobliwe i dziwne jak gospodarz tego domu. Mnóstwo

skór uścielało ziemię, do ścian poprzybijane były rogi jelenie, kozłów i łosiów, na nich wisały odzież, futra, opony stare, broń odwieczna. Stół dębowy w pośrodku siedział na pniach wkopanych w ziemię. Zamiast ław były kute siedzenia dokoła, kozuchami pookrywane.

Domosul wprowadziwszy ich tu, słowa nie mówiąc, zwrócony ku nim, rękami obiema powitał.

— Dziwujecie się może! — odezwał się spoglądając na nich — ano, mi

się stare dworzysko spaliło, więcem wciągnął do jamy, kędy praszczury nasze siedziały. I dobrze mi tu, ciepło i cicho.

W istocie mimo mrozu na dworze w podziemiu czuć było aż do zbytku

ogień, który je ogrzewał. Otwory pozatykane były błonami sosnowymi cienkimi tak, że żółtawe światelko przez nie wchodziło. Zaraz za gospodarzem wbiegło pacholał dwoje bosych, w kożuszkach, a tym kazano, aby wnet jedzenie było.

Siedli rozpatrując się Jaksowie, Domosul przypadł też na pół na skórach.

Oręż, który wisiał na ścianach, mógł ciekawość obudzić, bo podobnego już za Bolesława nie oglądano. Były tam jeszcze miedziane miecze z rękojeściami małymi i tarcze stare, porąbane w bitwach zapomnianych, kolce, wężownice i siekiery bojowe, podsadzone na potężnych drągach, a niektóre z nich złoty drut oplatał.

Domosul zrzucił z siebie ciężkie okrycie i stanął przed nimi w kaftanie skórzanym, w którym zwykle doma chadzał. Wkrótce też chłopaki i stare gospodynie poczęły znosić misy z niewytwornym jadłem, na dawny sposób z prosta przyrządzonym, kaszą, mięsem pieczonym i warzonym, z kubkami

miodów i piwa domowego. Stół pokryto grubym ręcznikiem szarym.

Gospodarz zasiadł swe miejsce i gości do mis zaprosił. Jurdze się jednak jeść odechciało, tak mu straconego konia srogi żal było. Biedził się niepomiernie. A dzień to już był nieszczęśliwy jakiś, bo ledwie do stołu za siedli, gdy z dala hałas jakiś usłyszeli. Jaksom się zdawało przyjmując zaprosiny starego Domosula, iż w tym pustkowiu spotkać się z nikim nie było

niebezpieczeństwa.

Gospodarz ucha niecierpliwie nastawił, goście spojrzeli po sobie. Nie było się już co taić, iż wszelki obcy przybyły mógł dla nich być zdrajcą. Odezwał się więc Andruszka.

— Miły panie, słyhać jakąś wrzawę. Mielizbyście spodziewać się gości?

Domosul głową potrząsał, jakby nie był pewien sam.

— Muszę wam wyznać — dodał żywo Andruszka, — iż, uchowaj Boże,

kto z królewskiego dworu nas zobaczy, zgubieni być możemy.

Stary zmarszczywszy brwi popatrzał na nich ciekawie.

— Z mojej jamy zdradzie wyjść nie dam — odparł — bądźcie spokojni. U

mnie nie gości nigdy nikt, krom jednego synowca, Jaśka z Tęczyna, który by mnie chciał na swoją wiarę nawrócić i wyrwać z mojego spokojnego grodziska.

— Ale Jaśko z Tęczyna zna nas! — zawołał zrywając się Jurga. — Jeżeli on istotnie jest, uciekać trzeba.

Domosul spojrział na nich coraz mocniej zdziwiony.

— Nie pytałem was, coście za jedni! — rzekł — gość gościem.

Zbroiliście co przeciw królowi? Tym więcej was bronić i osłaniać będę, bo go nie cierpię.

Szmer, stąpanie i rozmowa się zbliżały. Domosul się zamyślił chwilę i ręką im wskazał na boczne wnijście do drugiej izby. Andruszka i Jurga zerwawszy się od stołu pobiegli się ukryć w niej. Domosul został w miejscu.

Otwarły się drzwi i schylając się wszedł mężczyzna słusznej urody,

pięknej twarzy, odziany starannie i bogato. Wesoło z progu Domosula

pozdrowił, oczyma rzucając po izbie. Stary nie wstając i mięsa, które trzymał w ręku, nie porzuciwszy, odwrócił głowę nachmurzoną.

— Czołem stryjowi! odezwał się wchodzący, czołem. No, ale cóż to?

Przerwałem, widzę, posiłek. Mówili mi, że macie gości. Nie widzę ich. Cóż się z nimi stało?

Domosul kość ogryzał i wysysał spokojnie.

— Tobie co do moich gości? — spytał.

Stanął głową pokręcając Jaśko.

— Przeciem nie potwora jaka, aby ludzie ode mnie uciekali — rzekł. —

Cóż to jest?

— Co ci do moich gości? — powtórzył Domosul — he?

Oręż i odzież zwierzchnia, którą Jaksowie zrzucili, leżały na widoku.

Jaśko na nie oczyma rzucił ciekawymi i uśmiechnął się.

— Widzę, żeście mi nieradzi — rzekł wzdychając.

— Za co ja wam rad być mam? — odparł Domsul, do stołu i jadła nawet

nie prosząc. — Ja inny człek niż wy, choć krew w nas jedna. Wy ludzie nowi, jam dzik stary. Albo ja wam przeszkadzam panu pokłony bić i nowemu Bogu?

Albo co od was potrzebuję? Dajcież staremu zdechnąć w pokoju. Moja nędza mi nie ciężka, a waszych skarbów wam nie zazdrozczę.

Przybyły Jaśko przybliżył się do stołu, sparł oń i widocznie oczyma szukał, gdzie mu się skryli goście, których łyżki drewniane przy misie zdradzały.

— Zaprawdę — dodał po chwili — sroga to dla mnie obraza, że się ludzie chowają lub wy ich chowacie przede mną! Więc byście się wy dla nich lub dla siebie lękali czego i myśleli, że Jaśko z Tęczyna, bratanek wasz, zdradzi?

Hej, hej! — mruknął stary jedząc ciągle, kto nie chce się sparzyć, ten w ogień palca nie kładnie.

Rzucił się trochę gniewnie przybyły.

— Jesteście dla mnie we własnym domu niełaskawi — rzekł. — Nicem ja

wam nie zawinił, chybać tym, że się o was troszczę, gdy wy nas i mnie znać nie chcecie.

— Ano, nie chcę — rzekł Domsul krótko, ciągle bardzo spokojnie

chodząc około misy.

— Krwi się swej tak odpychać i wyrzekać nie godzi! — stęknął Jaśko.

— Kiedy ta krew się własnego starego obyczaju wyparła — mruknął

Domsul — i do wrogów przystała.

— Do jakich wrogów! — wybuchnął Jaśko.

— Możecież króla naszego, wielkiego bohatera, wrogiem nazywać?

— Wrogiem go zwę! — potwierdził Domsul — nie tylko moim, ale

wszystkich, którym ta ziemia miła. Co ojciec jego rozpoczął, on dokonał. Oddali nas w ręce Niemców.

— A któż kiedy szczęśliwiej z Niemcami wojował nad Bolesława? —

począł gorąco Jaśko. — A komużeśmy to winni, że nas sąsiedzi szanują i drżą przed nami?

Domsul drgnął tylko.

— Czekajcie końca — zawołał — czekajcie końca.

Jaśko wzruszony począł się przechadzać po izbie mruczając. Parę razy

przesunął się koło drzwi, za którymi stali Jaksowie, wpatrując się w nie, jak gdyby czuł, że za nimi są ukryci. Stał przy nich na chwilę, a że izdebka była mała, uchem myśliwca i wojaka oddech ich może usłyszał i uśmiech mu

przebiegł po ustach.

Domosul obejrzał się trochę niespokojnie, gdzie stał bratanek jego, który ruch ten spostrzegł. Jaśko jednak nie ustąpił.

— Tameście waszych gości zakryli przede mną? — rzekł ręką na drzwi

wskazując. — Cóż to, chyba zbóje są i mordercy jacy, że się oczów czystego człowieka obawiają?

Jaksowie słyszeli te wyrazy wymówione tuż blisko i zakipiało w obu.

Jurga byłby może wyskoczył z kryjówki, gdyby go Andruszka nie wstrzymywał

gwałtem.

Domosul nie odpowiedział nic.

— Nie za kogo innego mam gości waszych, jeno za ludzi bez czci i wiary, gdy się ukrywać potrzebują przed Jaśkiem z Tęczyna...

Tych wyrazów domawiał, gdy Jurga wyrwał się i stanął przed nim.

Na widok człowieka, o którego śmierci był przekonany Jaśko, bo o niej szeroko głoszone wszędzie, cofnął się oniemiały i przestraszony, jakby widmo z grobu wstające ujrzał.

Andruszka nie został za bratem, w milczeniu wyszli oba i dumnie, słowa nie mówiąc, groźnie wpatrzyli się w przerażonego gościa.

— Jaśku z Tęczyna — odezwał się Andruszka — jeżeliśmy się kryli

przed tobą, to nie dla własnego bezpieczeństwa. Winniśmy życia ludziom litościwym, co nas ocalili bez wiedzy króla, czynimy to dla nich, iż się nie pokazujemy. Chcieliście nas widzieć, macie, ale wiedźcie to, że jeżeli nam nie dacie słowa i przysięgi, że nie wydacie nas, życie wam wziąć musimy.

Jaśko stał jeszcze nie mogąc przyjść do siebie z wielkiego zdumienia.

Patrzył i oczom nie wierzył, słuchał i nie wiedział, co trzymać o tych dwu nieboszczykach. Pojąć mu było trudno, by króla oszukać ktoś śmiało dla ich ocalenia. Znał on Bolesława.

Za Andruszką Jurga powtórzył.

— Słowo nam dajcie, lub...

— Nie potrzebujecie mi grozić! — zawołał Jaško. — Nie jestem

królewskim dziesiętnikiem i pachółkiem, ale wojakiem jak wy. Biliśmy się niejeden raz obok siebie. Cieszę się, żeście ocaleli, a zdradzać was, niech mnie Bóg broni wszechmogący.

Innego słowa nie potrzebowali Jaksowie i wnet z nim ścisnąć się zaczęli.

Zatem, choć Domosul sam jedząc za stół nie prosił synowca, siedli wszyscy do mis.

Jaškowi pilno się było dowiedzieć o cudownej braci przygodzie. Lecz

zaledwie dopytywać zaczął, gdy Andruszka przerwał:

— Nie badajcie nas, nie możemy mówić nic nad to, iż nas widzicie przy życiu. Tajemnica to nie nasza.

— Lecz cóż myślicie z sobą? — odezwał się Jaško. — Uchodzicie do

Ugrów czy do Czech? Do nieprzyjacielskiego kraju?

— Nie — rzekł Jurga. — Kryjemy się czekając szczęśliwszej godziny, a do obcych nie myślimy iść, choć dzisiejszy dzień był nas nauczyć winien, jak się to schować od oczów ludzkich trudno jak borsuka z jamy można słowem wykurzyć.

— Jeżeli w tej okolicy myślicie się ukrywać — dodał Jaško — ja wam też w Tęczynie ofiaruję chętną gospodę.

— Za serce dobre niech Bóg płaci — rzekł Andruszka. — Ano nie godzi

się nam włóczyć po świecie. — Przed wami wyznać możemy, żeśmy gośćmi na Tyńcu. Wyprosiliśmy się na łowy. Konia Jurdze raniony dzik podciął i tuśmy na chwilę się schronili, ale do klasztoru powracać trzeba. U was też z Krakowa rycerstwo gości często i skryć by się było nie podobna.

Kąt jużci by się znalazł — odparł Jaško — ale nie chcę gwałtu wam

zadawać. Tylko mi na jedno pozwolicie, abym spod jeźdźca którego z moich najlepszego konia wziął i Jurdze dał za zabitego. Pieszego mi żal.

Nie wymawiał się od ofiary Jaksza.

— A myślicie — przerwał Domosul — że u mnie już i konia zapaśnego

nie ma? Jam tu przecie pierwszy, zdaje mi się. Ubogi jestem, prawda, pozabierali mi królowie wasi,

com miał nie od nich, ale od ojców naszych, tyle jednak zostało, że się jeszcze pieszaka na co ma wsadzić.

Wszczęła się tedy rozmowa żywsza. Jaksowie, choć niedawno przybyli,

ciekawymi byli dowiedzieć się, co się na świecie święciło, co w Krakowie o nich i o królu mówiono... i czy o wojnie słyhać nie było. Wzdychali do niej wszyscy, a choć Jaksom iść na nią nie było by dozwolonym, dowiedzieć się o niej pragnęli przynajmniej.

Jaśko, który był jak oni nawykły do wypraw, westchnął usłyszawszy o wojnie.

— Już nie wiem, kiedy jej doczekamy — odezwał się. — Król ociężał,

obsiadły go niewiasty, otoczyli go ludzie nierycerscy. Chciałby Niemcom się przyczaić, aby, jak mówią, koronę od nich dostać i na głowę syna ją włożyć.

Mieszko żołnierz mężny, ano. Ojca nie dorósł i nie dojdzie mu nigdy do pasa.

Potrząsał głową.

— Jam prosty człek — odezwał się Domosul — jam dziki zwierz, co

siedzi w swej jamie i świata nie widzi, prawda? Tak wy o mnie trzymacie? Ale starym, gdy wzrok słabnie, bogowie dają widzenie inne, co ściany przebija.

Wszystko to, co oni zbudowali, w proch się rozsypie! Niemców myślą

Piastowicze pożyć chytrą, przebierając się w ich odzież i przyjmując obyczaj. Zdaje się Bolkowi, że węża oszuka, że jaszczurkę podejdzie! Ja nie wiem nic, słyszę, co gadają ludzie... Bolko chytrenko kłania się cesarzowi i popija miód, pewny, że podlaźszy mu pod bok, nogę podstawi, a ślepy, jak ci, których poślepiął. Nie widzi nic! Naprowadził księdzów niemieckich, którym ręce całuje, ci za to cesarzowi donoszą jego najtajniejsze myśli. Synowa Niemka, Niemek pełen dwór. Nie powie słowa, nie poduma, czego by Niemcy nie wiedzieli. Dadzą mu pokój... do czasu, potem sypną się i podpiłowane słupy strząsną tylko, a dach na ziemię polecą...

Mówił jakby sam do siebie Domosul.

— Ochrzcili naród cały — ciągnął dalej śmiejąc się — kłaniają się wszyscy przed krzyżem ze strachu. Ano, pójdźcie na Kupałę w lasy, zajrzyjcie do chat, jaki tam bóg panem. Tam czekają tylko, aby do starego powrócić! Wy i król widzicie tylko, co macie przed sobą. Spytajcie mnie, co się u nas dzieje?

Nie powiem wam! Po co? Co musi się stać, to się stanie. Poleje się krew, o!

poleje!

Dziwnej tej mowy, do której nie byli nawykli, słuchali w milczeniu

Jaksowie i Jaśko. Gościom się ze starym gospodarzem spierać i nie chciało, i nie godziło, tylko synowiec rzekł, gdy on swojego dokończył.

— Bóg nas od nieszczęścia uchwaja, a dzieło króla, pana naszego, pobłogosławi.

Śmiechem szyderskim Domosul odpowiedział wstając z ławy, aby świeżej napić się wody.

— Co z wami gadać! — mruknął. — Jaja od kur mądrzejsze dziś.

Na rozmowie czasu dosyć upłynęło, wstali Jaksowie do odjazdu się

sposobiąc. Wstał też Jaśko ofiarując się dla bezpieczeństwa ku Tyńcowi ich przeprowadzić. Gdy się ze starym żegnali, uparł przecie, aby konia od siebie dał

pod Jurgę, i wyszedł z nimi w podwórze, gdzie już mierzyn niepozorny stał

gotowy. Za uzdę go ująwszy Domosul cugle od niej oddał Jurdze w ręce, głową kiwnął i na synowca nie spojrzawszy nawet powrócił nazad do swojego

podziemia.

Tak tedy w towarzystwie Jaśka ruszyli ze Skały w las znowu, a gdy się od niej oddalili, westchnął on zwracając ku niej głowę

— Domosul umrze, jakim żył — rzekł. — Stara swoboda i obyczaj miłsze mu nade wszystko. Ani króla, ani duchownych znać nie chce. Zubożał tym uporem, dał sobie zabrać i ziemię, ale się nie ugiął.

— Niewielu, szczęściem, takich jak on upartych przy starym — rzekł

Andruszka — nikomu on oprócz siebie nie szkodzi.

— Z żupanów dawnych mało który stoi tak twardo jak on — odezwał się

Jaśko — ale ubogiego narodu, co trzyma z nim i z takimi jak on, jest dużo! U

góry król, rycerstwo, władcy, duchowieństwo, a u dołu lud, co żyje, jak żył, i patrzy tylko, by wrócił do dawnej swobody. Jeżeli Mieszko ojcowskiej nie będzie miał dłoni...

— Mieszko wojownik dzielny — odparł Jurga.

— Daj mu Boże szczęście — zakończył Jaśko, bo jeśli mu sił nie stanie i my wszyscy poginać

możemy

Wspomniał jakby z niechcenia Bezpryma i zamilkli wszyscy.

Powrót do klasztoru łatwiejszym był z towarzyszem, który się do nich przyłączył. Jaśko znał dobrze okolicę i był najlepszym przewodnikiem. Dowiódł

ich więc aż do polany, z której gród tyniecki widać już było. Tu rozstać się musieli.

— Hej! — rzekł na rozjezdnym wzdychając Jaśko — jakbym ja wam rad

był, gdybyście mi przybyli w gościnę, ale... Andruszka głową potrząsa, siedźcież w dziurze zamknięci i poście z mnichami! A gdy się wam zatęskni, huknijcie do mnie, choć na łowy razem pójdziemy w lasy!

Jaśku — zawołał Jurga — a milczcie!

Położyli palce na ustach, skinęli ku sobie głowami i Jaksowie pospieszyli do klasztoru.

Wieczór już był późny, wrota były zaparte, przeor i braciszek Odon na próżno ich wyglądali niespokojni. Ludzie, którzy drwa wozili do klasztoru, zabitego konia znalazłszy w lesie, opowiedzieli o nim ojcom, stąd domysły powstały i trwoga o Jaksów. Z widoczną więc radością wrotnik im otworzył, a młody Odon wybiegł na ich spotkanie.

— Bogu wszechmogącemu niech będą dzięki — zawołał — byliśmy o

was w strasznej trwodze! Nic się nie stało? Dlaczego wracacie tak późno?

Czyście się zabłąkali w lesie?

Braciszek nie poznał zamienionego konia, a bracia odprowadziwszy do

stajni wierzchowce, cichutko wrócili do swojej celi.

Rozdział 7.

Książęcy, jeśli nie królewski dwór, na pół duchowny, pół rycerski otaczał

możnego arcybiskupa w Magdeburgu. Zwierzchnik duchowny nad

biskupstwami otaczającymi, był zarazem arcypasterzem, władcą wielkich ziem i zwierzchnim panem mnogich wasalów, którzy od niego trzymając lenna winni mu byli służbę wojenną i posłuszeństwo. Gród arcybiskupi groźno i poważnie wznosił się u rozdzielonych ramion Łaby, obejmujących silną twierdzę, nad którą panowała katedra kości świętego Maurycego wsławiona. Naprzeciw niej wznosił się, jakby duchem nad ziemią tą panując jeszcze, wizerunek Ottona pierwszego.

Miasto, ściśnięte w małych rozmiarach, składające się z krętych ulic i domostw, pełne było zawsze

życia i gwaru. Stolica duchowna, gród pański, targowica u brzegów rzeki, roił się ciągle stary Dziewin przybywającymi zewsząd biskupami, cesarskimi posłymi, książętami, panami i kupiectwem. Około wspaniałego na owe czasy katedralnego kościoła i pałacu arcybiskupiego przez dzień cały snuli się pobożni pielgrzymi, pokorni słudzy, rycerstwo ze skargami, poczty wojenne książęcia kościoła, który nieraz zmuszony był miecz

przypasywać do boku.

Na placu tym gwarno było do późnej nocy, a gdy mrok padł, straż jeszcze czuwać musiała, aby między ciżbą po gospodach porządek utrzymać.

Jednego wieczora mały orszak jezdnych, wśród których łatwo było

poznać duchownego, ze służbą i poczem dla bezpieczeństwa dodanym, zbliżył

się do wrót starego miasta pospiesznym krokiem, opóźniwszy się w podróży.

Nie spytała straż przybywającego we wrotach, skąd ciągnie, gdyż suknia duchowna już go opowiadała. Orszak towarzyszący nie oznajmywał znacznego człowieka. Skromnym był, a ze stroju ludzi nie umiała straż odgadnąć, skąd jechali. Ksiądz skromnie też i pokornie wyglądał. Lecz kto by był się wpatrzył

w twarz jego w chwili, gdy wrota mijał, ujrzałby na niej radość wygnańca, co po długich latach do własnego powraca domu. Smutne dosyć i niemilego wyrazu lice uśmiechało mu się na widok kopuł kościelnych, żegnał się pobożnie, mruzczał pacierze, ale oczy świadczyły, że myślami innymi był zajęty.

W miarę jak się zbliżał do rynku, oczy jego coraz żywszego nabierały blasku, konia popędzał, a gdy u drzwi dawnego opactwa benedyktyńskiego stanął, spieszenie zsiadł nie troszcząc się o konia i ludzi swych, zostawił ich u wrót, sam żywym krokiem wpadłszy do wnętrza.

W podwórku obszernym cicho już było i pusto. Przybyły obejrzał się

dokoła i ciasnymi wschodkami dostawszy się w przejścia ciemne, do

pierwszych drzwi zapukał. Poruszyło się coś we wnętrzu, gość wszedł.

W sklepionej izbie paliło się już światło, u stołu w siedzeniu poduszkami wysłanym spoczywał mężczyzna ogromnego wzrostu a jeszcze większej tuszy, któremu otyłość podnieść się dozwalała z trudnością. Obiema rękami wsparty na poręczach miał zapewne myśl ruszyć się, ale wysiłku potrzebował na to wielkiego. Na stoliku przed nim widać było ogromny kufel cynowy z przykrywą i kilka grzanek suchych na misce. Twarz rumiana, rozlana, ogromna, z krótko przystrzyżonym włosiem, świeciła rozumnymi oczyma bystrymi i zaufaniem w siebie. Zmrużywszy nieco powieki siedzący usiłował poznać w mroku

przybywającego, lecz nierychło dopiero, gdy się ten ruszył ku niemu, zawołał.

— Gość niespodziewany! ksiądz Petrek! Cóż za gwiazda szczęśliwa

ciebie tu do nas przyprowadziła w porę?

Protonotariusz szedł do pocałowania ręki, a otrzymał uścisk braterski.

— Najmilejszy bracie —mówił otyły duchowny — oczom nie wierzę.

Tyżeś to?

— Ojcie Emerardzie! ja jestem! Ja. Acz sam ledwie wierzę, jakem się tu mógł znaleźć, gdym najmniejszej nie miał tego szczęścia nadziei.

— Z niczym złym przecie nie przybywacie?

— Z niczym dobrym też! rzekł ksiądz Petrek. Lecz, mogęz was o gościnę prosić tu... czy...

— Dla was znajdzie się izba —odparł stary — ludzi wyślijcie do gospody.

Pełno u nas jak zawsze. Najdostojniejszy pan nasz, arcybiskup, nigdy od najazdu wolnym nie jest.

Ojciec Emerard mówiąc to w dłonie klasnął, nakazał milczenie

przybyłemu, powtórzył ten znak i wchodzącemu braciszкови wydał rozkazy.

— Najdostojniejszego pana naszego — rzekł odprawiwszy braciszka —

dziś się ani ujrzyć spodziewajcie. Brandenburskiego mamy gościa, z którym zgodę czynimy albo raczej on z nami, ciągi wzięwszy. Cesarski posłaniec na listy czeka. Za chwilę chleb wieczorny w refektarzu dla nas podadzą, pójdziecie ze mną. Arcybiskup dziś jeszcze wiedzieć o was będzie. Ale, cóż niesiecie?

Pokój czy wojnę?

I śmiejąc się dodał opasty Emerard.

— Nie łącno z wami mając do czynienia rozeznać, czy wojna nie jest

pokojem, czy pokój nie zmieni się na wojnę. Cóż ten wasz chytry wąż, ta jadowita żmija, ten wróg nasz zajadły czyni i myśli?

— Pytacie mnie, ojcie Emerardzie — odezwał się ksiądz Petrek — co on mówi, a nie sądźcie, bym wiedział, co myśli. To, co myśli, tego nie powie, co mówi, tego nie myśli pewnie. Kto go odgadnie?

— Któż, jeśli nie wy? — rozśmiał się otyły — lecz o tym dość będzie czasu mówić jeszcze.

— Przybywam w poselstwie od niego — począł ksiądz Petrek — zdaje

się, że Tragbir ocieżał, że mu próżne z cesarstwem walki dojadły, że naszarpawszy i nachwytawszy rad by się przy swej pastwie utrzymał. Więc z pokorą śle a z prośbą, aby mu czci najgodniejszy, najdosłojniejszy arcybiskup u cesarza dopomógł do uzyskania od papieża Benedykta korony!

Mówiący spojrzeli sobie w oczy. Ojciec Emerard zrazu wierzyć się nie zdawał, potem wielkim śmiechem wybuchnął. I śmieli się oba, śmieli długo, jeden drugiemu przyczyniając śmiechu wesołością.

— Zaprawdę, albo sam rozum postradał — rzekł ojciec Emerard — lub

myśli, że my go nie mamy! Koroną byśmy mu się mieli wywdzięczać za to, że nas nękać nie przestaje! Ruszyli ramionami.

— Z tym przybywam — odezwał się ksiądz Petrek. I niech tak zasługi

świętego Maurycego duszy mej grzesznej będą pomocne.

Wchodzący braciszek oznajmił o wieczerzy w refektarzu, w którym się

klasztornym obyczajem katedralne duchowieństwo zbierało na obiady i chleb popołudniowy.

Ojcu Emerardowi pomoc było potrzeba do powstania z siedzenia, ale gdy raz wsparłszy się o stół i ramię braciszka na nogach stanął wysapał się, dźwignął, krokiem pewnym wiódł księdza Petrka za sobą. Braciszek

przyświecał im przodując korytarzami do sali na dole, w której już kilkadziesiąt osób zgromadzonych było. Długie stoły, otoczone ławami, przygotowane były dla gości, ale ci stali jeszcze rozmawiając z sobą i zdając się na kogoś oczekiwać.

Zgromadzenie przedstawiało widok wcale do refektarza zakonnego

niepodobny, choć godła na ścianach i mały pulpit dla lektora - na podniesieniu miejsce to cechowały jako dla duchowieństwa przeznaczone.

Nie trzymali się naówczas duchowni świeccy jednej formy w sukniach,

jakie nosili, obowiązkowymi były tylko barwy skromne i ciemne, wzbronione świecidła i rycerskie przybory. Ale i w tym wiele swobody dawano, wiele młodych i do możnych rodzin należących księży wyłamywało się z praw

ogólnych. Widać więc było rozmaicie popostrzygane głowy, na których korony ledwie dostrzec było można, i wąsy zawiesziste, i brody różnie trefione, a przy nich suknie szare, brązowe, oszywane pasami na sadzanymi bogato, ujęte i czarne sutanny, i krótkie odzieże, przy których buty jakby do konia, ostrogami opatrzone, niczyjogo nie zwracały oka. Jeden z młodszych księży, krewny arcybiskupa, przyszedł tu z sokołem ulubionym na rękę, którym się lubował i drugim go okazywał, nie zbywało też na psach oczekujących na resztki wieczerzy.

Gwar w refektarzu panował wesoły. Kilku gości świeckich, wmieszanych między duchowieństwo, dodawało rozmowie rubasznego ognia, który w owe czasy zdrożnym się nie wydawał nikomu. Przytomni, na kilka kupek

rozdzieleni, rozprawiali jedni o cudach i pobożnych przedmiotach, drudzy o łowach, a inni o wojnie. Gdy ksiądz Emerard z protonotariuszem ukazali się w progu, wiele oczów zwróciło się ku nim. Księdza Petrka nie wszyscy tu znali.

Z oddalonego kąta wystąpił zobaczywszy go w benedyktyńskiej sukni mnich i jakby oczom nie wierzył, ręce szeroko rozpiął. Był to ten sam, który księdza Petrka odwiedzał w Poznaniu, a królowi Bolesławowi uszedł w Gnieźnie.

Przystąpił on żywo do przybyłego i popatrzywszy nań długą chwilę, rzekł.

— Jakże się stało, że ja tu was widzę? Wyście to!

— Jam jest! — kłaniając się odparł ksiądz Petrek.

— Wygnano was?

— Nie, z czcią mnie jako posła tu wyprawiono.

Skłonił się mnich z pokorą szyderską księdzu Petrkowi.

— Czołem przed wami! — rzekł, nie ma na świecie przebieglejszego nad was człowieka ani droższego nam... Witajcie.

Gdy to mówili, szmer się stał i wszyscy miejsce na ławach szukając siadać poczęli. Dla ojca Emerarda było krzesło wygodne w końcu jednego stołu.

Obok siebie z jednej strony posadził przywiedzionego gościa.

Na kazalnicy ukazał się młody kleryk, któremu drugi przyświecał.

Wszyscy powstali, uciszono się, czytano błogosławieństwo stołu i modlitwę.

Lecz na tym się czytanie skończyło, bo zgromadzenie też milczenia zakonnego zachowywać nie myślało i gdy kleryk zszedł z miejsca, rozmowy gwarne i śmieszki rozległy się po całym refektarzu. Nalewano kufle, misy ustawione dymiły na stołach, wszystkie ręce wyciągały się ku nim. Jadło było obfite, a mający je spożywać zdawali się zgłodniaли i chwyтали je chciwie.

Ksiądz, który z sokołem przybył, miał swe miejsce i tuż wbity kołek dla ptaka, zastępujący berło. Posłuszny sokół siadł na nim dzwoniąc pętami, które mu nogi krępowały.

Spod stołów tu i ówdzie warczenie psów słychać było.

Kto by rozmów podsłuchał zaprawdę dziwiłby się im nie mniej jak

obrazowi tego wieczernika, podobniejszego do gospody niż do refektarza. Dwór też arcybiskupi był niemal gospodą dla mnóstwa podróżnych.

Nie przeciągnęło się jednak zbyt długo biesiadowanie, bo godzina była spóźniona, i gdy misy a kufle poodpróżniano, ten i ów wstawać począł, nie czekając na wspólną modlitwę, odmawiał ją stojąc przy swej ławie i odchodził.

Wypróżniał się z wolna refektarz, stoły puste na pół stały, a ojciec

Emerard jeszcze u kufła siedział z księdzem Petrkiem i benedyktynem

rozmawiając. Lice jego zarumienione, oczy jaśniejsze, twarz rozpromieniona dowodziły, że i gościowi, i wieczery rad był bardzo.

Nazajutrz rano ksiądz Petrek miał się stawić u arcybiskupa, a mnich pilno się dopominał, aby mu też towarzyszyć było wolno.

Tak się dzień skończył dla posła, który nazajutrz rano pospieszył się pomodlić naprzód u grobu świętego Maurycego. Chciał tu zaczerpnąć sił i natchnienia, aby wielkiego dzieła jak najskuteczniej dokonać. Miał bowiem tu jak najdzielniej szkodzić Bolesławowi, a zarazem przyniesioną odpowiedź

uczynić mu znośną i nie obudzającą podejrzania. Ksiądz Petrek służył cesarstwu z przekonania i był pewien w sumieniu swym, iż spełnił święty obowiązek zdradzając króla Bolesława. Gorąco więc uzbroił się modlitwą i przejęty posłannictwem swoim poszedł do pałacu oczekiwać na posłuchanie.

Tu, mimo godziny rannej, przedsienie i izby wszędzie przepełnione już były. Orszaki panów przypuszczonych do arcybiskupa, mnodzy suplikanci, ubogie duchowieństwo wiejskie, comesy i baronowie sascy, rycerstwo tłumnie się cisnęło. Dworska służba pałacowa starała się jakkolwiek porządek utrzymać.

Tłum był taki, że część jego przelewała się z przedsieni w dziedzińce.

Wyglądało to monarchicznie i wspaniale, rycerstwa było pełno, zbroi tyle prawie, co czarnych habitów. Sala, w której arcybiskup Gero przyjmował, uderzała wielką na owe czasy wspaniałością. Dostojny pan otoczony był

dworem, wasalami, urzędnikami, dowódcami wojsk swoich, dukami,

baronami. Rodzaj podniesienia krzesła jego i najbliższych osoby pańskiej ponad tłum zebrany dokoła wywyższało i z dala widnymi czyniło. Kanclerz

arcybiskupi, opaci, notariusze, sędziowie duchowni trybunału, na którego czele stał arcybiskup, w kosztownych futrach i jedwabiach, z łańcuchami na szyjach, z laskami w ręku cisnęli się około Gerona. Sam on, podeszłych już lat mąż, sparty na łokciu, siedział na wygodnej stolicy, okiem rozumnym i byстрыm

przyglądając się przybywającym. Rysy jego twarzy spokojne, energiczne, wydawały człowieka, co wiele przetrwawszy szczęśliwie stał u kresu i pewien był swej potęgi. Na skinienie jego chyliły się głowy, zwracały uszy, śpieszyli wszyscy posłusznie, okazując mu cześć i poszanowanie głębokie. Do spraw, które mu przedstawiano, choć ucha nakłaniał, skąpy był na słowa, dawał mówić, spoglądał ku swoim, jakby ich uwagę zwracał na to, co opowiadano, dozwalał

swoim przybocznym zabierać głos, a dopiero gdy obie strony dostatecznie roztrząsnęły kwestię, słowem ją krótkim rozstrzygał.

Duchowieństwo w owym czasie nieskończenie większe i ważniejsze

zajmowało stanowisko niżeli w późniejszych wiekach. Cesarstwo dzieliło się z nim władzą, uposażało je obficie, nadawało mu prawa, potęgi Jego nad duszami ludzkimi używając do utwierdzenia swej władzy. Cesarz rzymski i papież byli najwyższymi panami, sędziami, zwierzchnią władzą, spod której nikt się nie mógł wyłamać. Ręka w rękę szło cesarstwo z papieżem, zakreśliwszy sobie pole działania, którego coraz więcej jednak obejmowało duchowieństwo. We wszystkich krajach stanowiło ono jedno wojsko, jedno rycerstwo Chrystusowe, mające wodza w Rzymie, naczelników w metropoliach, pułkowników w

diecezjach, tysięcy i setników po całej ziemi.

Kościół wspierał cesarza, lecz nawzajem miał w nim obrońcę i sługę. On rozstrzygał najwyższe spory i wyrokował, gdzie sam zażądał, był sędzią. Od kolebki do grobu podlegali wszyscy władzy jego. Małżeństwa panujących, dziedzictwa, następstwa, działy, wszystko się rozstrzygało przed trybunałami duchownymi, a klątwa biskupa, gdy wyrzuciła ze społeczności chrześcijańskiej bodaj najmożniejszego pana, ścigała go aż za grób i odmawiała mu nawet pogrzebu na święconej ziemi. Cesarz i władza świecka - właściwie był tylko pierwszym sługą i wykonawcą rozporządzeń kościoła, dzierżył on to jabłko symboliczne, którym go obdarzył Benedykt VIII, ale musiał pamiętać, że je z rąk jego otrzymał.

Arcybiskup magdeburgski dotąd miał pod sobą kościół polski i czeski, i po świętym Wojciechu, gdy, należało następcę wyznaczyć, zesłał tam paralytyka Thietmara, z ramienia swego wyznaczając go. Nie mogło mu być miłym, że

"chytry Bolesław" spod tej zwierzchniej władzy wyrwał mu polskie diecezje i osobną dla nich metropolię ustanowił, chcąc dla niej być cesarzem i pierwszym sługą.

Chociaż ten sam Gero zaprzysięgał w imieniu cesarza ostatnio spokój z Bolesławem, wymuszony jego zwycięstwami, i na pozór przyjacielem liczyć się musiał, nie miał nigdzie król Polan większych nieprzyjaciół, zajadlejszych jak tutaj wrogów. Samo imię Bolesława wprawiało w gniew i burzyło ich bo mu nic uczynić nie mogli.

On, co z mieczem szedł przed cesarzem raz w życiu pełniąc miecznika

urząd chwilowo tym samym mieczem dobił się niezawisłości.

Z umysłu posłańcowi Bolesława ostatnie wyznaczono posłuchanie.

Ksiądz Petrek miał czas przysłuchać się, jak dumnie arcybiskup zbywał duków, jak groził baronom, jak hołdy przyjmował obojętnie. Dopiero gdy wszystkich niemal odprawiono, podkomorzy dworu oznajmił wysłańca Bolesławowego, a arcybiskup skinął tylko, aby przystąpił. Upadł na kolana ksiądz Petrek jak przed dawnym zwierzchnikiem, prosząc o błogosławieństwo, a następnie z urzędu rzecz swą rozpoczął. Wiedział już o celu poselstwa arcybiskup, słuchał więc na saku wsparty i dał mu wyłożyć sprawę, jako król przez Ottona III, cesarza, danej i przyrzeczonej z Rzymu korony dopominając się, u najdosłojniejszego arcybiskupa o pośrednictwo prosi do cesarza, u cesarza o opiekę do Ojca świętego. Wysłuchawszy Gero podniósł nieco głowę i uśmiechnął się wzgardliwie.

— Nie będę taił — rzekł — jakim sercem poselstwo to urągające się

cesarskiej władzy przyjmuję. Wiem to i ja, wie cesarz, iż na przyjaźń i sojusz króla waszego cale rachować nie możemy. Złamał on wszystkie przyrzeczenia, zawiódł wszelkie nadzieje. „Wszystek ten stosunek z nami, połączenie się ojca jego i jego małżeństwa, ściślejsza zażyłość więcej nam dotąd w istocie szkody przy niosły niż korzyści. I na przyszłość nic innego spodziewać się nie można.

Jeśli udanym pokojem na czas jakiś przyjaznym się nam ukazuje, tysiącem praktyk potajemnych narusza u nas miłość i zgodę, a upatrzwszy porę czyha na zgubę naszą"* (* Thietmar ; dosłownie – przyp. Autora). Dziwne to jest poselstwo zatajonego nieprzyjaciela, które z rąk naszych oręza przeciw nam samym się dopomina.

Skończył arcybiskup, gdy z otoczenia jego wstał merseburski biskup,

Thietmar, zdając się głosu domagać u pasterza, a gdy ten skinął nań, wybuchnął gwałtownie.

— Za szyderstwo i urągawisko tę prośbę chyba poczytać należy — rzekł.

— Azaliż się nie znamy i nie wiemy, co w sercach jest waszych? Cesarstwo nigdy z was przyjaciół mieć nie będzie ani kościół powszechny usług

powolnych.

Dał znak Gero, aby Thietmar poprzestał, i sam zakończył słowy.

— Mówimy to wam, miły bracie, jako znanemu z wierności słudze

kościół, nie żebyście to królowi odnieść mieli i gniew jego a złość rozzarzyć, lecz byśmy sercom ulżyli przez świadectwo dane prawdzie. Jaką zaś odpowiedź

zanieść macie, o tym jeszcze radzić będziemy.

Wstał tedy Gero, a wnet i krucyfer i dwór, kanclerz, podkomorzowie,

rycerstwo ruszyło się odprowadzać go uroczyście do komnat jego. Pokłoniwszy się ksiądz Petrek ustąpił na stronę. Wiedział on zawczasu, co go tu spotka: ojciec Emerard oznajmił mu, iż tajemna narada i posłuchanie w pobocznej izbie na dworcu arcybiskupim w porze poobiedniej ma się odbyć. Do tej narady biskup merseburski, znany z nienawiści dla Słowian i świadomości języka i obyczajów został wezwany. Kanclerz, ojciec Emerard i mnich benedyktyn mieli też być przytomni.

Ksiądz Petrek mający wiele do czynienia w Magdeburgu, wiele dawnych znajomych do widzenia, chwili nie tracił. Tu wśród swoich innym się widział

człowiekiem, śmielszym, mowniejszym, żywszym, bo nie potrzebował ukrywać się z tym, co miał na dnie serca swojego. Nie domyślał on się wcale, iż nawet tu śledzić mógł ktoś za nim i każdy krok jego mieć na oku.

Izba, przeznaczona dla narady, do komnaty arcybiskupiej była przyległą, panował tu kanclerz i pisarze, a ogromne wolumina i kodeksa zalegały półki dokoła. U wielkiego stołu, nie zajęte nigdy, stało wzniesione na stopniu krzesło arcybiskupie, na którym on zasiadał, ilekroć sam schodził dla spraw

ważniejszych, obok siedział już surowego oblicza, oczów dzikich, niskiego czoła, wyrazu twarzy gwałtowny znamionującego charakter biskup merseburski.

Był to jeden z najgorętszych swojego czasu kapłanów i apostołów, ale, jak to sam wyznaje, w środku łagodności nie wierzył, siłą chciał dokonywać wszystkiego.

Kanclerz był mężem większego pomiarkowania i przebiegłości, choć nie innych dla Polski usposobień. Ojciec Emerard żywił dla niej też same uczucia, którym w rozmowie zwrot tylko rubaszniejszy nadawał; na ostatek mnich benedyktyn z nowej Korbei, osobisty wróg króla, także mógł tylko oliwy do ognia dolewać, a ksiądz Petrek, wrzekomo przybyły dla popierania interesu, wiemy, jak był usposobiony.

Czekając na przybycie arcybiskupa biskup merseburski, któremu długie milczenie było trudnym i który nieustannie coś opowiadać musiał, czegoś dowodzić lub o coś się spierać — a był z tego znanym dobrze — zabrał głos nie mogąc znieść myśli tej, by Bolesławowi nawet pozorną wyświadczono

powolność.

— To są groby pobielane — mówił — wszyscy Słowianie, tak dobrze ci,

co się ponawracali pozornie, jak ci, co nie nawróciwszy się udają, iż z nami chcą iść razem. Nigdy ja tego nie pochwalałem, nawet cesarzowi, iż na Bolesława, tego najniegodniejszego, idąc, Lutyków pogan brał z sobą. To nam wówczas nieszczęście ściągnęło i niebłogosławieństwo Boże! Lutyicy obok naszych chorągwi z krzyżami nieśli swoją z namalowaną boginią nagą, w którą wyrostek z orszaku margrabi Hermana kamieniem cisnął. Za to się później cesarzowi skarżyli i dwanaście

grzywnien dostali wynagrodzenia. A godziłoż się chrześcijańskiemu panu płacić? Nielepsi ci, których jużemy święconą wodą i słowem pochrzcili... Widziałem sam, że się do żelaznej obręczy modlą Honidłem ją zowiąc i około trzód ją obnosząc.

— Nielepiej pewnie i koło Gniezna? — zwrócił się do księdza Petrka.

— Bogów ci powywracano w lasach — odparł protonotariusz — ale ich chowają ludzie po pieczarach, a dawne swe obrzędy odprawiają pewnie.

Większa część dobrze, jeżeli się przeżegnać umie.

— Tak ci jest! — potwierdził biskup merseburski — tak jest w krajach wielu, gdzie krzyże zatknięto, co się chrześcijańskimi zowią, a w rzeczy pogańskimi są. Mamy się dziwować, iż Bóg mściwy karze, iż znaki się ukazują na niebie i ziemi srogie a przerażające?

— To wasza przewielebność słyszała — wtrącił ojciec Emerard — iż niedawno słońce przed zejściem swym dziwnie krwawym było i jakby na pół rozciętym widziane.

— W miesiącu sierpniu — dodał Thietmar — ukazała się nowa jakaś

gwiazda obok Niedźwiedzicy, która daleko rozchodzącymi się promieniami przestrach we wszystkich obudzała. Nigdy za naszej pamięci nic podobnego nie oglądaliśmy. "Ale, który wszystko wie, zna ją i znalazł ją roztropnością swoją"

(Baruch III,). W prowincji Turyngii czyniło szkodę trzech wilków ukazujących się razem, dotąd nigdy przez mieszkańców nie widywanych, ludzi i bydło zajadle napastujących.

Mówił to Thietmar z przejęciem wielkim i namaszczeniem, z wiarą

głębką, jaką wszyscy naówczas podzielali, iż te niezwyčajne zjawiska zwiastowały ludziom straszne kary i klęski. Sam o sobie też pisał z mocnym przekonaniem o prawdziwości wypadku, że go raz szatani we śnie zmusili do zjedzenia jakiejś złośliwej strawy, uwarzonej dlań umyślnie, której skutek ten był, że kilka potem ciężkich dopuścił się błędów... Nikt też nie wtrącił słowa w to opowiadanie ani śmiał przeczyć. dodawano raczej do niego.

Mnich benedyktyn mówił, że w jednym z miast saskich niewiasta urodziła dziecię z dwoma głowami, a każda z nich miała w sobie po troje oczu.

Nad wykładem mocno się zadumał biskup merseburski, lecz nie

podoławszy mu narazić, wniósł tylko, iż straszliwe klęski miały spaść na świat z rozdziwienia władzy, najpewniej duchownej, z nowych herezji, które oczy oznaczać bardzo mogły. Rozpowiadano i inne budujące powieści tego rodzaju, gdy arcybiskup wszedł poprzedzany przez pacholąt dwoje.

Te, drzwi

otworzywszy, gdy wszyscy na powitanie powstali znikły natychmiast w
przedsieni.

Gero sen jeszcze miał poobiedni na oczach, zwlókł się do tronu swojego, zasiadł na nim i zagaił
krótkim słowem.

— Mówcie, bracia mili, rad służyć będę a co Duch Święty natchnie...
ogłoszę wam.

— Czci najgodniejszy, świątobliwy, dostojny panie — odezwał się ksiądz Petrek — niech mi wolno
będzie rzec naprzód słowo nie z urzędu, lecz z sumienia.

Skinął Gero, a protonotariusz ciągnął dalej.

— Tak jest, z sumienia mówić będę. Przybyłem tu jako posłannik tego, który u pana naszego cesarza
nie zasłużył na łaskę i wiarę. Niech mi to za złe policzonym nie będzie. Tego się domagam, dla
uspokoienia duszy mojej o to proszę, a czcigodnego ojca Emerarda oraz innych tu przytomnych
wzywam, aby mi dali świadectwo.

Szmer się rozszedł po izbie.

— Spokojni bądźcie!

Ojciec Emerard rzucił kilka słów pochwały. Skłonił się ksiądz Petrek i ustąpił.

— Więc tedy ów niepoczciwy zdrajca i wróg korony żąda? — odezwał

się Thietmar. — I do nas się o nią odzywa? Naprawdę zuchwalstwa większego wyobrazić trudno,
aliści to jest więcej niż zuchwałością, bo urągowiskiem!

— Nie urąga się on — odparł ksiądz Petrek — boleje i męczy się. Potęga cesarska czuć się mu daje.
Dojada mu zazdrość, bo Czesi, Duńczycy i

Węgrowie nawet już to posiadli, o co on się dopiero dobija.

— Czesi się od kościoła powszechnego ani spod mojego zwierzchnictwa
nie wyłamują — odezwał się arcybiskup.

— Bolesław korony chce tylko na to, aby się niepodleglejszym od nas
uczynić — rzekł Thietmar.

— I aby synowi — dodał benedyktyn — który siły jego mieć nią będzie, dać z nią błogosławieństwo

apostolskie, błogosławieństwo, które by uświęciło łupieżę i nieprawę nabytki pieczęcią swą zamknęło.

— Cóż mu rzeczymy? — spytał Gero.

Kanclerz zażądał głosu.

— Wasza dostojność — rzekł zwracając się do Gerona — łatwo się

zbędziecie natrętnej prośby tym, iż chociażście pośredniczyli do pokoju z Bolesławem i poprzysięgali go w imieniu cesarza, właśnie przez to, że pokój ów spokoju nie przyniósł uczestnikami żadnych traktowań być nie możecie.

Szmer pochwalny słowa te utwierdził, a Gero głową dał znak, iż

znalezioną formę odpowiedzi przyjmował.

— Na tym nie dosyć — odezwał się Thietmar — na tym nie dosyć.

Jakkolwiek od łona macierzystego metropolii magdeburskiej nieprawnie oddarto polskie kościoły niemniej czci najdogodniejszy pan nasz a zwierzchnik musi kraj polski uważać jako sobie podległy.

Gero znowu głowy skłonieniem prawdę przyznał wnioskowi.

— Więc i pieczołowitości jego pasterskiej przynależy — ciągnął Thietmar dalej — czuwać nad losami tego kraju. Korony mieć on nie będzie, póki cesarz włada imperium i światem; raczej zawczasu myśleć trzeba, co czynić, by oderwane kraje wróciły do prawej władzy.

— Święte słowa — potwierdził benedyktyn. — Matka moja dziedzictwo swoje i nasze ofiarowała Apostolskiej Stolicy.

— Czyni się na dworze Bolesławowskim od lat wielu wszystko, co

zwycięstwo dać może cesarstwu z czasem — począł ojciec Emerard. —

Powolna to praca, trud ciężki i ofiarny, ale z pewnością do celu wiedzie.

Dlaczego Odę, matkę waszą, z klasztoru dano Mieszkowi. Nie dla tego tysiąca więźniów niemieckich, których wyzwoliła, ale dla zbawiennego wpływu na dworze. Dlaczego przemądry pan Otto III, acz się dał gładkim Bolesława uwodzić słowem, zaszczycił syna jego związkim z Ryksą, własną siostrzenicą?

— Wszystko się to czyniło i czyni, aby wpływ tam nasz powoli utwierdzić i zapewnić go.

— Mało tego — rzekł cicho ksiądz Petrek z pewnym wstydem i

wahaniem. — Jest jeszcze do uczynienia coś, co dokonać spiesznie należy.

Bolesława chuci są znane, niewieścia płeć go ciągnie ku sobie, może nad nim wiele niewiasta. Emnilda królowa nie naszą jest ani ku nam serca nie ma. Tę mu odjąć, a dać Odę markgrafównę, na którą już okiem rzucił — winno być celem zabiegów.

Śmiała ta myśl zrazu milczeniem przyjętą została.

— Lecz jakże to się może spełnić? — zapytał ojciec Emerard.

— Wielce łatwo, jeżeli się ku temu ręki przyłoży — dodał ksiądz Petrek.

— To rzecz wasza — rzekł Thietmar — wy też czuwać powinniście,

abyście go obsadzili ludźmi nam pożytecznymi. Sprzyja nam pobożna i

rozumna Ryksa, może ona ich wzywać ku sobie. Mnożyć potrzeba tych, na których by się opierać, a tak jak on nas niecny, przewrotny człek siecią swych podstępów otacza, my go winniśmy opasać wiernymi naszymi.

— Mam nadzieję w Bogu, iż to królestwo jego — mówił cicho ksiądz

Petrek — nie ostoi się długo. Zlepek to z chrustu i gliny, purpurą na chwilę pokryty. Synowie królowej Ody, Bezprym odepchnięty od następstwa przez ojca, Mieszko, Ruś zwyciężona, Węgry pokrzywdzone, Czesi rozdrażnieni, poganie czyhają na chwilę dogodną, rozerwą to państwo, gdy ten, co je sklecił, głowę w mogile złoży.

— Amen! — zawołał Thietmar z gorącością — oby się słowa wasze

ziściły, albowiem nie tylko interes cesarstwa i nierozzerwanego z nim kościoła domaga się tego, nie tylko sprawiedliwość chce, ale upokorzenie nasze czyni to koniecznym: poganin ten jadowity zmusił nas do pokoju, odebrał nam kraje, śmiał powagę cesarską nadwerężyć i wstrząsnąć nią, to pomsty woła!

Arcybiskup wszystko, co mówiono, oczyma i ruchem ręki potwierdzał.

— Niech Bóg nie pamięta świętemu panu Ottonowi III — ozwał się w

końcu — iż nie poznawszy się na zdrajcy umiłował go, wbił w pychę i dał mu oręż w ręce.

— Włócznie świętego Maurycego! — westchnął Thietmar —

nieoszacowany ów skarb, którego cudowna siła dała temu psu wściekłemu zwycięstwo. Bo nie inaczej jest, nią on pokonał nas, człek nieprawości pełen, wszetecznością do szpiku zjedzony.

— Przyczynia się do tego — dodał ksiądz Petrek z przekonaniem

głębokim — i zasługa świętego Adalberta, którego ciało wykupiwszy czią otoczył. To mu jest tarczą i włócznią.

Westchnęli.

— Z samych niebios przeciw nam czerpie oręż! — zawołał Thietmar —

tak przebiegłym jest poganin ów.

— Nie można mu też zarzucić, aby wiary nie krzewił — dodał ksiądz

Petrek — mnichów z Kluniaku sprowadzono siłą, a ciągle nowi płyną.

— I służą mu, jak ten lis opat tyniecki, niegodny sukni, którą nosi — rzekł

Thietmar.

— Przewrotność go pobożnym czyni — wtrącił benedyktyn — Boga mieć

chce przeciw cesarstwu z sobą.

— Lecz runie przy pierwszej burzy to gniazdo nieprawości — wołał

Thietmar — a im wyżej je osadzono, tym haniebniejszym będzie upadek jego.

Z kolei arcybiskup szepnął „amen”, a że na siedzeniu swym niecierpliwie trochę poruszył, poczęto myśleć o zamknięciu wyczerpanej narady.

— Spieszne macie rozkazy do powrotu? — rzekł Gero. — Azali nie

byłoby lepiej zwlec z odpowiedzią, w niepewności go zostawić, aby innych ubocznych starań nie dopuścić.

— Rada mędrca! — rzekł Thietmar. — Nie, żebym Stolicy Apostolskiej

lub siedzącemu na niej mężnemu pogromcy Saracenów, Benedyktowi,

wspólnemu ojcu naszemu uwłaczał, lecz przez Tuskulan doń trafić mogą, zabiec. Papież ucha może dać doradcom. Któż wie, azali mu nie przyśle korony, uwiedziony tym, że ją Otto III przyobiecał, że on będzie chytrze obiecywał

cesarstwu podległość. Tak jest, czcigodny pasterzu, tak jest, zwlec odpowiedzi.

— Nie ja bym się na to uskarżał — odezwał się ksiądz Petrek. —

Zaprawdę nie ja, co się tu mogę modlić u grobu patrona mojego osobliwego, a napawać wonią tego, co go otacza. Słabe siły moje, lecz azali i te, gdy ich tam nie stanie, gdy straży i pilności zabraknie nie dadzą im nowej mocy? Kto wie, co oni tam pod niebytność moją przedsiębrać mogą? Co knuć

tajemnego? A któż to o tym doniesie, gdzie należy?

— Słuszna, co mówicie — odezwał się Gero. — Więc wszystko to rozważywszy na szali roztropności, odpowiedź wam damy w niedługim czasie.

To mówiąc pobłogosławił zgromadzenie, które powstało, i ruszyli się z miejsc wszyscy. Milczenie panowało w izbie. Thietmar idąc u boku

zwierzchnika towarzyszył mu do komnat wewnętrznych. Ojciec Emerard zabrał się też do wyjścia z widoczną radością, iż się narada skończyła. Mnich benedyktyn posępny się wysunął, dając widzieć po sobie, iż choć więcej mówić nie śmiał, myślał wiele i inaczej.

Ojciec Emerard ujął pod rękę księdza Petrka i szepnął mu na ucho:

— Wszystko to sprawy poważne i wielkiej a największej wagi, aliści

sprawa żołądka w człowieku śmiertelnym i ułomnym do poślednich się liczyć nie powinna. Z niego płyną siły na chwałę Bożą się spotrzebowujące.

Tu pochylił mu się jeszcze bliżej ucha.

— Chodź — rzekł — wino mam, ofiarowane mi z Burgundii,

koronowanych ust godne, skosztujemy go, bo takiego u Bolesława pić nie będziesz. Ten, słyszę, w piwo wierzy i pogański swój miód, mówił.

— Który do pogardzenia nie jest — odpowiedział cicho ksiądz Petrek —

znam takie, które z winem w zapasy iść mogą!

— A ja ich próbować nie chcę i nie myślę — zakończył wesoły ojciec

Emerard.

I mówiąc, skłoniwszy głowę wszystkim dokoła, z księdzem Petrkiem

razem wysunął się drzwiami bocznymi, przez korytarze ciemne kierując do celi, której wygodne siedzenie i cynowy ów kufel z dala mu się uśmiechały.

Gdy się to działo, a ksiądz Petrek z zupełnym spokojem dokonywał, co zamierzył, w myśli się tylko przygotowując do powieści, z jaką miał wystąpić, gdy powróci — maluczki pisarzyna, człecze pokorne i nieznaczące,

wychowaniec kanclerza arcybiskupiego, braciszek Arnolf, gotował z

wszystkiego, co się tu działo, mówiło, co ksiądz Petrek wypowiadał, czym grozili inni — wierne

sprawozdanie, Spisane na kawałku tak zwanego

"pargaminu greckiego" (papieru bawełnianego), wklejone w okładziny kodeksu przeznaczonego dla benedyktynów w Trzemesznie, miało ono przez własne ręce księdza Petrka z nim razem jechać do opata tynieckiego. Mógłże chytry i przebiegły protonotariusz nawet przypuścić, iż coś podobnego z dworu arcybiskupa wyniść, a jego ręk użyć za narzędzie, się ośmieli ku przestrodze królowi Bolesławowi?

Nad kufelkiem wina siedząc Ksiądz Petrek, choć nie wtórował, ale się uśmiechał nucącemu cichutko ojcu Emerardowi starożytną, bardzo wesołą piosnkę klasztorną:

Bibit ille, bibit illa,

Bibit servus cum ancilla...

Bibit iste, bibit ille,

Bibunt centum, bibunt mille...

(Pije tamten, tamta pije, pije sługa i służąca, pije jeden, pije drugi, i stu pije i tysiące.)

Rozdział 8.

Chociaż się chwilowo pozbyto księdza Petrka, którego opat umiał

wyprowadzić nie ściągając królewskiego podejrzenia, obawa królowej Emnildy trwała ciągle, aby się jej pobożne kłamstwo nie wydało. Dochodziły ją zewsząd zatrważające wieści, iż o ocaleniu Jaksów mówiono wiele, że na dworze panowało przekonanie, iż uszli za granicę.

Ciche te zrazu szeptki z czasem się zwiększały, rozchodziły, nabierały coraz większego prawdopodobieństwa, bo je wiele ust głosiło. Wielu mówiło, że ich tam i ówdzie widziano, że o nich posłuchy miano, jakoby się na dwór węgierski schronili, inni o nich opowiadali, że w Czechach gościli, inni, że na Rusi przyjaciół znaleźli, co ich przechowywali.

Dochodziło to królowę ze wszech stron i trwożyła się święta pani, modląc a płacząc, gotowa raczej już przyznać do swojego przestępstwa, niż żyć w tej ciągłej trwodze i uczuciu przewinienia. Na próżno opat i inni duchowni, którym się na spowiedzi zwierzyła, pocieszali ją i starali dowieść, że grzechu nie popełnia, że to był grzech ofiary i miłosierdzia. Święta niewiasta czuła się winna względem tego, któremu poprzysięgła wiarę i posłuszeństwo.

Był to wiek obfity w tak pobożne jak Emnilda niewiasty; wpływ

duchowieństwa, wychowanie, mnogie przykłady, podnosiły je na duchu.

Wprawdzie Oda, Mieczysława żona druga, dała się uwieść z klasztoru i rzuciła życie zakonne, lecz i ona żałując później tego postępku wróciła do zakonu po śmierci męża, a przebaczenia szukała w Rzymie.

Wśród ówczesnych pań, żon cesarzów, królów i książąt, przykłady

świętobliwości są niezmiernie liczne. Wiele z nich buduje klasztory i zamyka się w nich, wiele prowadzi życie męczeńskie i dobrowolne. Mnóstwo takich niewiast pobożnych przypominają współczesne kroniki; cesarskiej krwi pań, które nędzę, chłód i głód znosiły, aby umartwić ciało, a duszę dźwignąć ku niebiosom, i umierały jak owa Elfryda i Irmingerda, przy kościele Rotunda w Magdeburgu, uważane za błogosławione. Taką nam opisuje Thietmar, ową pustelnię w Traubitz, nieporównanej pobożności niewiastę, która za czasów Ottona II, już była wyswataną w małżeństwie, a potem uszedłszy od niego przez lata wytrwała w życiu najostrzejszym. "Przez ten przeciąg czasu — pisze kronikarz — nigdy się w zimę najtęższą przy ognisku nie ogrzała, a

największym środkiem do rozcieplenia członków zdrętwiałych bywało, iż na ogrzanym trochę kamieniu krótko ręce i nogi pottrzymała. Wewnątrz swej celi trwała na nieustannej modlitwie, ze łyż rzęsistymi, a napływający do niej lud nauczała i pocieszała. Nie zrzucała z siebie robactwa, które ją ciągle obsiadało, nie korzystając z podarków, które lud jej znosił w ofierze, rozdawała je między ubogich."

Na takie to przykłady zapatrywały się ówczesne królowe i starały się je naśladować. Emnilda szła w ślady innych wielu i była prawdziwą chrześcijanką wśród dworu i otoczenia, które mimo największej chęci dla wiary, ducha jej w sobie nie miały. Życie jej, choć blask otaczał, było niemal ciągłą walką i męczeństwem. Patrzyć musiała na przekroczenia, których powstrzymać nie mogła, często milczeć i płakać, rzadko ośmielając się rzec słowo i błagać króla o naprawę złego.

Świątobliwość ją osamotniała, bo choć synowa równie się okazywała

pobożną, więcej się już sprawy świeckimi zajmowała. Widywały się rzadko, wynurzały przed sobą rzadziej jeszcze.

Tylko usilna prośba opata mogła królowę powstrzymać od zawczesnego

zdradzenia tajemnicy i przyznania się do winy.

Opat Aron nie bez powodu przewidywał, iż król sam żałować będzie zbyt surowego wyroku, szczególnie z tego powodu, iż kara na Jaksów wyrzeczona odebrała mu cały zastęp sług wiernych, ród możny i spowinowacony z nim, które się od dworu i króla usuwały. Bolesław już razy kilka bolał nad stratą, jaką ponosił. Dotkliwą ona była w chwili, gdy właśnie przyszedł tron synowski usiłował otoczyć silnymi podpory.

Wśród tej trwogi królowej Emnildy baczną markgrafówna Oda, która i

jej, i Mieszkowej żonie, Ryksie, i wszystkiemu, co jej na drodze do tronu stało, szkodzić się starała, rzuciła myślą na zapomnianego i odsuniętego Bezpryma.

Opowiadanie o wypadku w łaźni, które się rozeszło szybko po dworze,

obudziło jej ciekawość razem i poddało myśl zbliżenia się do niego. Chciała mieć w nim na przypadek sprzymierzeńca. Czuła to dobrze, iż opuszczony przez wszystkich, znękanym Bezprym

wdzięcznym by był za każde słowo i wejrzenie życzliwsze. Nieszczęściem wiele przeszkód nie dopuszczało jej zbliżyć się do niego, ale od czegoż była Panicha? Wchodziła ona i wciskała się wszędzie, nosiła, co jej kto powierzył. Słudze więc kazała wyszukać starej baby i zamknęła się z nią sam na sam. Przybyła padła jej naprzód do nóg, tysiącnymi obsypując błogosławieństwa. Mówiła, gdy jej nic nie przeszkadzało, z obfitością wyrazów nadzwyczajną, choć niewielkim ich doborem.

— Kwiatku ty pański mój, królowo ty moja, bo tobie tak i być królową...

śliczności ty moje...czym nędzna Panicha służyć tobie może?

Oda nie odpowiedziała rychło, a Panicha ciągnęła żywo.

— O! Wiem ci ja to, wiem, co takiemu hożemu, rozkwitłemu kwiatkowi

dawno potrzeba, żeby sam nie wiądl na łodydze, ale o wielkiej krwi trzeba i wielkiego rodu męża! Ano, poczekajcie maluczko, znajdzie się taki, co wysoko cię posadzi. Masz litość nad ubogimi, to się też Bóg Chrystus miłosierny nad twoją tęsknotą ulituje dziewczę. Ja to wiem, ja to czuję. Wielkie cię losy czekają.

Uśmiechnęła się Oda dumnie, lubiła pochlebstwo.

— Ja ani się nudzę moim dziewictwem, ani się troszczę o przyszłość —

rzekła. — Pewnie, że nie zmarnuje się mój wianek. O tym nie mówmy, stara, o czym innym chcę ci powiedzieć.

— Na rozkazanie twe, królowo moja, uszy i ręce, i nogi —zawołała stara.

— Tu się nie wszystko tak dzieje, jakby ono powinno — mówiła Oda

powoli, niemi się zabawiając aby na starą nie patrzeć. — Serce litościwe znieść tego nie może, a rade by z pociechą dla biednych.

Nie rozumiejąc jeszcze, o co to iść mogło, Panicha kręciła tylko głową potakując, mruzczała cicho:

— Pewnie! Pewnie!

— Jedni mają do zbytku, drugim na chlebie niemal zbywa — mówiła

dalej markgrafówna — jednych otaczają dwory; drugim i pachołka brak.

Wtem wstała i podeszła do baby.

— Widziałaś ty kiedy królewskiego syna Bezpryma? — spytała.

Oczy Panichy jak przestraszone biegać zaczęły dokoła, twarz przybrała wyraz niepokoju.

— Tego, którego królewicz młodszy niedawno precz z łaźni wyrzucić

kazał jak niewolnika?

— Tego samego.

— Z dalekam go widziała — szeptać poczęła szybko baba. Zdrow i silny, ale niepiękny, zamęczyli go, trzymają ze psy i ptakami w zamknięciu. Jeden stary Ugr, wierny mu, nie odstępował od niego.

Znać Panicha posądziła Odę o jakieś zamysły na królewicza i głową zaczęła potrząsać.

—E! Jemu na tę biedę trudno radzić, król miłościwy pan sam go na nią skazał? Już on z tej dziury, w której go zamknięto, nie wyjdzie, nie wyjdzie, chyba...

Potrząsała głową nie domawiając.

— Co wam po takim biedaku? — dodała.

Oda się rozśmiała pogardliwie.

— Cóż ci się śni, ty stara? — przerwała — myślisz, że mi się upodobał?

Panicha popatrzała na nią.

— Dlaczegoż o niego pytacie, królowo ty moja?

— Bo mi go żal. Chciałabym mu pomóc, na jaw go wydobyć, ale mu trzeba dodać serca, bo je stracił.

Baba widocznie nie rozumiała dobrze, lecz okazywała postawą swą, że na wszystko była gotową.

— Chodźcie wy na ich podwórze? — zapytała Oda.

— Psy złe, ale... jużci, a kij od czego?

Znacie starego Ghezę?

— Kilka razyśmy się łajali, czemu nie — mruzczała stara. — Powiedzcie tylko, czego chcecie, a już reszta moją sprawą.

— Chcę, byście Węgra starego do mnie przysłali, aby przyszedł

potajemnie na rozmowę. Może się jemu i panu zdam na co?

To mówiąc rzuciła coś w fartuch Panisze, która ręce podniosła i do ziemi dziękując przypadła. Potem

nie mówiąc nic, głową znak dała, że spełni rozkaz, i wyszła spiesźnie.

Panicha wszędzie się wcisnąć umiała; ludzie choć ją podejrzewali o różne sprawy, wysmiewali się chętnie, szydzili z niej i to ich zabawiało. Tego samego dnia znalazła się w podwórku Bezpryma i pod ścianą usiadłszy na pieńku udawała, że drzemie. Najrzeli ją pacholki i zaczęli krzyczeć, łajac i przedrzwiewając; odpowiedziała im przekleństwa żądając, by jej spokojnie dali choć zasnąć, gdyż gdzie indziej nie miała pokoju.

Udawała tak na pół uspioną, gdy nierychło Gheza się przewlókł w

brudnym kozuchu przez podwórze. Najrzawszy go posunęła się za nim do sieni.

Węgier się obawiał czarownic i krzyknął, aby się do niego nie zbliżała.

— Ja z wami mówić muszę, nie dla was, dajby was licho gniotło —

zawarczała baba — a dla waszego królewicza. Jeśli go miłujecie, to mnie posłuchajcie.

Gheza stanął, wszakże z daleka się trzymając.

Zwolna, nie chcąc podnosić głosu, zbliżyła się Panicha ostrożnie.

— Staraj się, ty stary, dostać potajemnie do markgrafówny, ona wam na biedę waszą radzić chce. Rozumiesz? A Panu Bogu i starej babie podziękujcie, że wam to przyniosła.

Gheza nie zdawał się dobrze rozumieć, powtórzyła inaczej toż samo

Panicha usiłując mu wpoić przekonanie, że wiele na tym dla Bezpryma zależeć może. Gheza stał jeszcze jakby odurzony, gdy stara gniewna, że się nawet przybliżyć do niej nie chciał, odeszła.

Od nieszczęścia, jakie go w łaźni spotkało, Bezprym jeszcze nie przyszedł

był do siebie. Wrzał zemstą, która mu niemal zmysły odejmowała. Rzadko na ławie wyleżał, psy swe nogami kopał, po izbach latając z pięściami

zaciśnionymi. Gheza go nie hamował, chcąc mu się dać wyburzyć.

Z poselstwem Panichy wchodząc zastał go jakimś wypadkiem po wysiłku

takim gniewnym uspionego snem twardym na ławie. Jeden z psów jego

ulubionych siedział na straży przy nim, głowę na nogach jego trzymając opartą.

Gheza jak ten pies przysiadł cicho i sparty na ręku czekał też, aż się Bezprym obudzi.

W godzinę może zerwał się z krzykiem i nierychło opamiętał obaczywszy wiernego sługę, który mu kubek podał, aby się po snu orzeźwił. Spalone wargi przyłożył doń Bezprym chciwie i okiem mu

podziękował. Leżał zaraz znowu.

Gheza przysunął mu się do ucha.

— Słuchajcie no dobrze, panie mój, co to ja wam przynoszę. Słuchajcie a rozważcie. i mówcie, co ja mam poczynać? Noszą tu jedne starą babę złe duchy po dworze. Czarownica to pewno, jędba zła. Przyszła dziś do mnie z litościwym słowem (splunął stary) jakoby od markgrafówny Ody, abym się ja z nią starał

widzieć, a ona tobie, królu ty mój a panie, coś pomóc może.

Zerwał się Bezprym i siadł.

— Naprawdę? — spytał.

— Albożbym śmiał kłamać przed tobą, sokole ty mój złoty? — z

wyrzutem niemal odezwał się Gheza — Ja?

— Nic więcej nie mówiła?

— Nic.

— Co mam czynić?

— Co? — począł Bezprym gorąco. Co? Bezmózgi stary, czyż nie rozumiesz tego, że mnie, gdyby szatan przyszedł pomagać, muszę go wziąć.

Gheza aż się cofnął przestraszony tymi słowami, brwi mu się najeżyły.

— Nie mówcie w złą godzinę! — zawołał — nie wołajcie licha, aby nie przyszło. Chcecie, rzekł po chwili, toć pójdę dla was gdzie każecie.

— Trzeba ci iść, trzeba iść, słuchać pilno, odnieść mi słowo każde!

Słyszała pewnie markgrafówna, co zrobił ten pies, żal ją wziął nade mną, królewskiej krwi dzieckiem. Trzeba iść...

— Pójdę — odparł Gheza — acz niechętnie, pójdę, ano się to na nic nie zda! Ona tu nic nie znaczy, ją samą stąd lada dzień wyżeną.

— Daj Boże! — zawołał Bezprym, to by wróciła silniejsza.

I zamyślił się milczący. Potem powtórzył jeszcze kilka razy.

— Trzeba ci iść, niech nie czeka, aby się w niej co nie zmieniło.

— A jak się do niej dostać? mrucał stary — Jak, żeby ludzie nie

widzieli? Zobaczą mnie tam, to mnie pletniami wysmagają precz.

Bezprym zerwał się z ławy.

W kącie izby stała skrzynia okuta, poszedł do niej prędko i otworzył

wieko. Trzymał w niej po matce resztę droższej spuścizny. Dobył ze dna złoty obręczyk i przyniósł go Ghezie.

— Nie dałbym za nic tego, co macierz moja nosiła — rzekł — ano trzeba, aby dziecko jej obronić się mogło od sromoty. Nie mam nic, co za dziw, że sprzedać chcę, abym sobie szatę dostał nową. Powiesz, żeś do niej posłany ode mnie. Rozumiesz, ale obręcz tę dasz jej ode mnie tak — przez wdzięczność, że wspomniała o zelżonym Bezprymie.

Gheza nic nie mówiąc wziął złote kółko i wsunął je za nadrę, z głową spuszczoną z izby wnet wyszedłszy spieszył się przyodziać lepiej. Wstyd mu było stanąć tak przed markgrafówną.

Nieznacznie się potem z podwórza wymknął i błędzić począł, jakby nic nie mając do roboty, około świetlic niewieścich. Kręcił się tu czas jakiś to zbliżając, to oddalając, to zaglądając w przedsień, gdy służebna jakaś znak mu dała. Szedł tedy za nią ostrożnie. Bocznyymi drzwiczkami wprowadziła go do małej izdebki. Tu już Oda nań oczekiwała. Wpuściwszy wymknęła się sługa, a Gheza przypadł na kolana przed piękną panią, która z rozognionymi policzkami i oczyma zbliżyła się do klęczącego.

— Powiedzcie — rzekła spiesznie — powiedzcie panu swojemu

królewiczowi, że są ludzie, co się nad jego losem litują i postarają się mu pomóc u ojca. Czemu on siedzi zamknięty i nawet nie mruknie, kiedy się nad nim znęcają? Nawet nie jęknie, kiedy go biją? Niech ma odwagę i śmiałość, gdy mu mówić dadzą. Rozumiesz, powiedz mu to, niech ma odwagę, niech się skarży, niech grozi, niech się uczyni strasznym, a będą się go bali. Gdy się go nie zląkną, to go zgniotą.

Gheza wysłuchał pilnie. Odzie spieszno odejść było, szła już, gdy

przypomniał sobie obręczyk złoty i położył go u nóg jej.

— Miłościwa pani — rzekł — klejnot to po nieboszczce królowej, mój

pan go wam przysyła jako dar dziękczynny.

Schwyciła markgrafówna z widoczną radością, wcale się nie broniąc od przyjęcia go i wnet na rękę włożywszy kilka razy ją obróciła przeciw światłu, aby się przypatrzeć, jak pulchnej ręce było pięknie w złotej, grubej przepasce.

Gheza pospieszył do pana, aby jednego nie zapomnieć słowa i odnieść mu, co nakazano.

U wieczery Oda się gotowała do rozmowy z królem, a ilekroć chciała jej, potrafiła zawsze uczynić, jak postanowiła. Zwykle, gdy do śpiewów

przychodziło i piasów młodzieży, wychodziła królowa Emnilda, często i Ryksa szła za nią. Naówczas panowanie pięknej Niemkini się poczynało. Śmiało czyniła, co się jej podobało, nie troszcząc, co o tym nazajutrz mówić będą. Nie unikała króla, na rzucała mu się, kilka razy dała publicznie schwycić i pocałować. Śmiechem przyjmowała to, wcale się nie sromając. Raz spadł jej wianuszek, co było jakby niedobrą przepowiednią, zdjęła go z ziemi i włożyła na głowę nie zarumieniwszy się wcale.

Tego wieczora król patrzył z dala na piasy niewieście, nie było przy nim ze dworu nikogo, oprócz starego Sieciecha, który, gdzie się zabawiano, więcej córki pilnował niż króla. Przysunęła się więc Oda do Bolesława śmiało. Oko jego padło na jej rękę i zdawało się ze zdumieniem wielkim poznawać ów obręczyk złoty. Spojrzenie zrozumiała Oda i ręką potrząsała tak zręcznie, aby król się mógł dobrze klejnotowi przypatrzeć. Nie spytał jednak, skąd go miała.

Po chwili sama się, obręcz znowu nadstawiając, przysunęła do króla.

— Pamiętacie pewnie kolce te na rękę królowej Judyty? Otóż się owo

mnie dostało. Syn królowej nie ma za co sprawić opończy i po matce klejnoty sprzedaje i mienia. Jak psa wyganiają go z łaźni, a ojciec milczy?

— Kto się wyganiać daje — zawołał król — ten wart, by go precz

wyrzucono.

— Dziś sam i bezsilny przyczai się, zmilczy, a co się namota na jutro! E!

Jutro dla Mieszka być może straszne. Nie trzeba drażnić i zająca, bo ugryzie.

Wy robicie sobie, miłościwy panie, z własnej krwi wrogów.

— Śmiała jesteś, że mi to mówić się wazysz!

— Dlaczego bym milczeć miała? Kto dobrze życzy, ten prawdę mówi.

Róbcie jak lepiej.

I pobiegła do dziewcząt, jakby ją to już nie obchodziło. Król ściagał ją oczyma długo i wkrótce wyszedł do sypialni. Sieciech go jak zwykle

odprowadzał, Zyg też towarzyszył panu, to miauczając jak kot, to burcząc jak pies, to skowycząc jak jakieś zwierzę dzikie. Ale król ani się obejrzał na niego, milczący był.

Gdy domownicy odeszli na chwilę, Bolesław się ocknął.

— Sieciechu mój — odezwał się — niesłuszna wreszcie jest, aby ten

gnuśnik Bezprym gnił zamknięty. Nie chcę dlań uczynić wiele, ale nie mogę nic nie zrobić. Złość tylko w nim kipi, trzeba ich z Mieszkiem pojednać i dać mu swobody więcej. Dzieckość to moje.

Skłonił się stary uradowany.

— Święte słowa twe, Panie! rzekł, ale je dawno rzec należało.

Przebaczcie!

— Rzekłbym je był dawno, gdyby się one przydały na co — począł król.

— Jak dawniej, tak teraz nic z nich nie będzie. Bezpryma znam, zły jest a bezsilny, będzie pragnął wiele, a nie otrzyma nic. Aliści sumienie uspokoić muszę. Przywiedźcie go jutro do mnie.

Sieciech zapytał o godzinę, król ranną wyznaczył.

— Każcie mu się odziać przystojnie i niech Mieszko tu będzie razem.

Rozkaz królewski spełniał się zawsze ściśle, wnet więc z sypialni podążył

Sieciech do królewicza Mieszka, który z Ryksą i kilku Niemcami z jej dworu na rozmowie siedział jeszcze.

Gdy wolę ojcowską mu objawił, Mieszko się zerwał zaczerwieniony i

zburzony, lecz żona go natychmiast do opamiętania przywiodła kilku słowami, a ochmistrz wyszedł spiesząc do Bezpryma.

Tu nadzwyczajne odwiedziny jego popłoch wzbudziły ogromny, a gdy nie oznajmując się wszedł do izby Bezpryma, którego zastał w nędznej odzieży przed ogniem wyciągniętego na ziemi z psami razem, królewski syn ledwie oczom swym wierząc długo nań patrzył, nim powstał, aby posłuchać, z czym przychodzi.

Sieciechowi żal było Bezpryma jak wielu innym na dworze.

— Przychodzę do was, miłościwy panie, od króla — rzekł — ze słowem
dobrym.

Rozśmiał się Bezprym szydersko.

— Nie śmiejcie się — mówił — stary król chce was jutro widzieć u siebie i z Mieszkiem pojednać.

Krew uderzyła na twarz synowi Judyty. Zerwał się z ziemi cały, wstając jak oparzony, psy za nim skoczyły przelękłe zaczynając warczeć i szczekać.

— Co król każe, spełnić się musi — spokojnie dodał Sieciech — a dla

waszego dobra też tego potrzeba. Otrzymacie więcej swobody i pewnie inne jakie dobrodziejstwa. Serce królewskie poruszyło się dla was.

Milczał uśmiechając się drwiąco Bezprym, patrzył w ziemię, Sieciech ciągnął powoli.

— Ojcu potrzeba wiele zapomnieć. Któż wie, azali on nie próbuje i nie doświadcza? Bądźcie dobrej myśli, a jutro go nie drażnijcie słowami ostrymi.

Weźmijcie, co wam dadzą, aby potem więcej otrzymać.

Sklonił się Sieciech i nie czekając odpowiedzi wyszedł natychmiast, w pierwszej izbie nakazawszy Ghezie, aby nazajutrz odział Bezpryma, jak przystało, i nie dał mu się nędznie stawić przed królem, by gniewu jego nie budzić.

Całą niemal noc Bezprym chodził po swej izbie wrzący. Gheza siedział i uspokajał go, szeptali z sobą. Bezprym go odpychał, ten do kolan przypadał, godzili się i swarzyli jak niańka z dzieckiem. Pospali się wreszcie nade dniem, nie zmógłszy jeden drugiego.

Gdy nazajutrz nadeszła godzina naznaczona, Bezprym niemal gwałtem

odziany w suknie najlepsze poszedł do sypialni Bolesława. Nie było tu nikogo, nie spieszył się do niej Mieszek. Wszedłszy, długo stał w progu syn Judyty, nim się rzucił do nóg królewskich. Spełnił tę powinność, lecz z widocznym chłodem i wstrętem. Bolesław nie odezwał się też, aż go u nóg zobaczył.

— Kazałem ci przyjść — rzekł. — Dość tej niewoli. Bądź mi posłuszny, a będzie ci z tym dobrze, zuchwałych nie znoszę. Mieszkowi przeznaczone królestwo wedle obyczaju słowiańskiego. Zresztą taka jest wola moja. I ty otrzymasz swą dzielnicę, krew ci moja w tobie płynie ale przysięć musisz posłuszeństwo. Mieszko cię skrzywdził, zganiłem mu to, przyjdzie ci rękę podać. Nie masz się kryć jak wilk. Przychodź na dwór, jedź na łowy, idź na wojnę, ale bądź wiernym mnie i moim postanowieniom.

Bezprym milczał.

Król widocznie czekał odpowiedzi, po kilkakroć wyzywając do niej spojrzeniem.

— Mów — dodał.

— Nie mam co mówić — odparł Bezprym — uczyniony zostałem

niewolnikiem, rab nie ma prawa ust otworzyć. Jam mówić zapomniał.

Zawrzał z gniewu król.

—Dość — zawołał. Przebaczam ci to, ano mówię dość, chceszli być cały.

Dość! Nikt mnie nie ma prawa do rachunku pozywać, oprócz Boga! Milcz!

Bezprym chciał odejść.

— Stój, Mieszko przyjdzie.

Nastało milczenie ciężkie. Niekiedy syn i ojciec mierzyli się oczyma.

Mieszko nie nadchodził. Król Bolesław gniewnym już był na niego. Zawołał

komorników stojących u drzwi, aby go natychmiast przywiedziono. Na ostatek usłyszano krok spieszny i ciężki, wchodził Mieszko przybrany z niemiecka, strojny, dumny. U drzwi stojącego brata potrącił mijając i widzieć go nie chcąc szedł królowi się pokłonić. Nie odpowiadając mu Bolesław wskazał Bezpryma.

— Skrzywdziłeś brata — rzekł — źleś uczynił, chcę, byście żyli zgodnie.

Podajcie sobie ręce i niech to będzie zapomniane. Pierwszy teraz, co się porwie na drugiego przede mną odpowie, jakby nie był synem królewskim, ale prostym buntownikiem.

Zawahał się Mieszko idący do Bezpryma, który kroku ku niemu od drzwi nie zrobił; lecz przystąpić doń musiał. Zacięte miał dumnie usta, drżał, słyhać było oddech piersi ciężki. Na krok stanąwszy od brata zatrzymał się Mieszko, groźno sobie w oczy popatrzeni. Bezprym czekał blady jak chusta, ale z płomieniami w źrenicach. Król Bolesław każdy ruch ich śledzić się zdawał z nadzwyczajnym zajęciem. Zawołał na Mieszka.

— Rękę mu daj!

Dopiero gdy na ten rozkaz drżącą dłoń wysunął Mieszek, Bezprym

wyciągnął ją także. Dotknęli się zaledwie i jakby w klamrę żelazną Bezprym pochwycił tę rękę wyciągniętą do wrzekomej zgody. Oba, nawzajem co mieli sił, ścisnęli dłonie, a choć Mieszkowi z bólu krew uderzyła do twarzy, nie odezwał się, nie drgnął. Cisnął i on Bezpryma całą siłą gniewu, lecz podołać mu nie mógł. Gdy nareszcie rozerwał się uścisk braterski, Mieszko musiał schować rękę, gdyż krew ciekła mu zza paznokci.

Była to jakby zapowiedź przyszłości. Król Bolesław na ten raz nie żądał

więcej. Mieszko mu się pokłonił i spiesznie wyszedł z sypialni. Bezprym stał.

— Idź — odezwał się król — a bywaj co dzień u boku mojego i nie kryj się po dziurach, chcę cię widzieć.

Gdy Bezprym wyszedł, wstał król, oko jego padło przypadkiem na to

miejsce, gdzie stali bracia jednając się z sobą. Na świeżo wymytej podłodze białej pięć wielkich kropli krwi, jeszcze nie zaschłej świeciło. Wejrzenie Bolesława oderwać się od nich nie mogło. Zrozumiał on, co krew tę wycisnęło, lecz chciał odgadnąć, z czyjej spłynęła ręki. Silnego potrzebował następcy, który by nie krew z siebie dać sączyć, ale ją toczyć umiał.

Ani się dziwił król, iż gniew pałał w braciach i przemógł posłuszeństwo, chciał tylko pewności, który z nich silniejszy? A gdy chwilę potem król wszedł

do izby zastawionych stołów, gdzie nań oczekiwał zwykły tłum swoich i obcych i ujrzał tam Mieszka przy żonie, Bezpryma w dali osamotnionego, nie poglądał

im na twarze, szukał ich rąk, aby się przekonać, która z nich krwawą była.

Gdy Mieszko sięgnął do misy, szerniałe jego paznogie zdradziły tajemnicę.

Na dworze tego dnia wiele twarzy się rozjaśniło. Nie mówiąc nic

tryumfowała Oda. Na rękę jej złoty błyszczał obręczyk, a w oczach jakaś radość zwycięska, która strach obudzała. Patrzała na Bezpryma i zdawała się go pobudzać do męznej walki. Królowa, która się dowiedziała z rana o nakazie królewskim, podziękować mu przyszła za Bezpryma przypuszczenie do łaski.

Ciężyło na sercu to, że dla dziecięcia jej cierpiał ktoś i bolał. Lżej teraz oddychała.

Król był w usposobieniu wesołym i rubasznym. Pochwały, które zewsząd odbierał, bo i opat Aron zgodę uczynioną jako wysoką mądrość pańską wynosił

czyniły mu przyjemność. Łudził się może tą nadzieją, iż z czasem dwaj bracia, ocierając się ciągle o siebie, zbliżą, poznają i przejednają.

Wierzono naówczas w siłę krwi i węzły tajemne, którymi ona łączyła. W

życiu jednak i obyczaju Bezpryma niewielka zaszła zmiana. Zrazu ze swobodą, wróconą mu, nie wiedział prawie, co począć, ciążyli mu ludzie, wśród których on, syn królewski, stał na poślednim jakimś miejscu, zawsze jakby odepchnięty i wydziedziczony. Gdy Mieszka otaczał dwór świetny i liczny, i nadszkiewania tych, co sobie na przyszłość łaski jego zaskarbić pragnęli, do Bezpryma mało kto się przybliżyć jawnie ośmielił, aby nie być posądzonym o jakąś niechęć dla wybranego przez ojca następcy. Jedna Oda pierwszego dnia zaraz śmiałym okiem i słowem jawnie zaczepiła Bezpryma, jakby naumyślnie, okazując mu współczucie na przekorę Ryksie, której widok tego, w kim nieprzyjaciela przeczuwała, niemal obawę obudzał. Gdy po uczcie wszyscy wyruszyli patrzeć na rycerskie zapasy, które się w podwórcach od bywały codziennie, Bezprym postawszy chwilę wrócił do swojego dawnego mieszkania, aby rozmyśleć się, co miał poczynać. Znalazł tam Ghezę, który z założonymi pod siebie nogami u ognia siedział. Na widok swojego wychowanka wstał stary radując mu się, chociaż niespokojny też był o niego. Miłość dla królewicza w Ghezie rozwijała dziwne myśli, którym sam niemal się zdumiewał. Chciał mu koniecznie je wypowiedzieć, ale naprzód z niego

dobyć coś o pierwszym posłuchaniu. Lękał

się wybuchu. Począł naglić swego sokoła, aby mu powiedział wszystko, co u króla było, jak się obeszło pojednanie z bratem. Bezprym nawykły do

zwierzania się staremu piastunowi nie skrył nic przed nim. Gdy przyszło do podania rąk, z uśmiechem wyznał, iż Mieszkowi do krwi palce zdusił. Zrazu Ghezę uradowało to, ale wnet głową potrząsał.

— Żleście uczynili — rzekł — źle, na co im pokazywać siłę? Wasza

rzecz, sokole mój złoty, utaić dech, uczynić się pokornym, zrobić nawet ich sługą, aby się nie lękali, aby nie odgadli, ani co myślisz, ani co możesz.

— Tak — mówił po chwili widząc, że Bezprym słucha go z uwagą. —

Kogo się oni boją, temu albo oczy wyłupić każą, albo go strzała nie minie. Ty, panie mój, musisz się stać pokornym, schodzić im z drogi, a nie pokazać nawet, że ci się chce czego więcej nad to, co masz. Mieszkowi się kłaniaj, królowi ojcu dziękuj, niech sobie powiedzą Bezpryma nie ma się czego obawiać, dopiero będzie dobrze.

Słuchał sparłszy się na stole Bezprym.

— A pókiż ja się tak mam dusić w sobie? — zapytał.

— Póki, aż sobie druhów nie zjednacie i dróg nie obmyślicie.

— Druhów! — rozśmiał się Bezprym — A czym? Siły nie mam, łaski też i złota im nie dam.

— Alboż to Mieszko nie ma wrogów? — począł Gheza — a kto jego

wrogiem, ten będzie wam przyjacielem. Powoli, sokole złoty, powoli i bacznie.

Ja człowiek prosty i głupi, ano tu przemocą nic nie robi, chytrą trzeba.

Uścisnął jego nogi.

— Radzisz dobrze — odezwał się Bezprym — słuchać cię muszę, choć

się we mnie warzy i burzy. Źle się stało, zem mu rękę zdusił, ano mi kłamać ciężko.

— Co kiedy trzeba, aby życie obronić? rzekł gorąco Gheza. — Komu to

miło gębę sobie walać kłamem i giąć się, gdy się chce uderzyć? Inaczej zemsty nie będzie.

Zbliżył się i stanął nad siedzącym, mówiąc coraz żywiej, jakby go coś natchnęło.

— Ty jeszcze tu będziesz kiedyś królował, synu Judyty, ty zawładniesz tą ziemią i pomścisz się niewoli swojej, tylko teraz ścierp. Ani patrz na to, co oni wyprawują, aby nie pomyśleli, że im zazdrościsz. Weźmij psy i sokoły, idźmy w las. W lesie różni się ludzie spotykają i tacy, co nie bardzo ich kochają, a co nas za to polubić mogą. W puszczach i na uroczyskach różna gawiedź, co się nam przydać może. Niech myślą, że my tylko na niedźwiedzie polujemy, upolujemy może i lepszego zwierza. Znajdzie się, znajdzie.

Gdy Gheza tak prawił wychowankowi rady, które mu się dlań

najzbawieńszymi wydawały, Bezprym słuchał, to się rzucając, to uśmiechając im na przemiany. Radowało go, że Gheza tak marzył o przyszłości świetnej i widział ją możliwą. Czuł, że tą drogą może najłatwiej dojść do niej będzie, i choć nie odpowiedział mu wyraźnie, do serca wziął radę Ghezy.

Stary chciał z niego wydobyć, co myśli, aby się przekonać, iż się z nim godzi, lecz Bezprym nie był łatwym do słowa, oczyma w nim czytać musiał

tylko. Zostawało mu zawsze trochę niepewności i dłużej męczył wychowanka namowy swymi, ściskając mu kolana, powtarzając ciągle jedno, aby wrazić w myśl koniecznie, co na sercu leżało. Późno ledwie w noc skończyły się te nalegania, gdy znużony Bezprym rzekł wreszcie:

— Nie bój się, stary, zataję się i zaczaję zobaczysz, nie po znają się na mnie, a gdy kto ciebie o mnie pytać będzie...

Ghezie oczy się zaśmiały.

— A dowie się tego, co potrzeba. — rzekł krótko, energicznym ruchem

ręki popierając słowo.

Rozdział 9.

Miało się już ku wiosnie, a choć ją w powietrzu czuć było, pora w istocie najprzykrzejsza w roku się poczyniała, walka ustępującej niechętnie zimy ze słońcem i ciepłem, które się ustalić nie mogło. Śniegi leżały po lasach, zalegały parowy, rzekami płynąć kry zaczynały, ziemia miejscami rozmarzła, a w cieniu okryta była jeszcze lodu skorupą.

Jeden dzień przynosił z sobą wiosnę i cuda czynił wskrzeszając zmarłe rośliny i odrętwiałe drzewa, drugi wracał zimą, szronem i mrozem, sypał

śniegiem i zabijał chłodem. Jak dwaj zapaśnicy walczyli z sobą lód i ciepło, śmierć i życie, zwątpienie i nadzieja.

Na łąkach najwytrwalsza trawa zaczynała zielenieć i rosnać, dobywała się spod skorup zamrożonych, wytykała ze śniegu, starsze drzewa stały głuche ledwie waząc na pączki. Gdzieniedzie łoża okryły się kotkami bujno; wczesna wierzba pękała ale na niebie więcej było obłoków szarych niż słońca.

Rzadko kto w tej porze puszczał się w drogę, chyba gwałtowna pędziła go potrzeba. Rzeki wzbierały i trudne były do przebycia, gdzie zamróz zszedł, tam grzęzły konie w nieprzebytym błocie, na resztkach lodu ślisko było i niebezpiecznie. Czekali wszyscy, aby wody kry uniosły, ziemia wilgoć wypła i słońce wysuszyło drogi. Ksiądz Petrek jednak niespokojny o to, co się tam bez niego działo nad Cybiną, z poleceniami różnymi wyruszył właśnie w tej porze z powrotem. Po kilkakroć wstrzymywały go rozlane rzeki, parę razy przeprowiać się musiał z niebezpieczeństwem życia ale gorliwość nadmierna i wiara gorąca pędziły go do celu i dodawały męstwa.

Jechał nie zważając na to, że konia już jednego utracił i że dodany poczet odradzał pośpiech, a ostrożnym być radził. Był pewien ksiądz protonotariusz, że godnym się czując osobliwej łaski niebios i opieki, mieć je będzie za sobą. W

najgorszych razach modlił się, a że miał ofiarowane mu przez kanclerza relikwie świętych przywiezione z Rzymu, ufając im nie lękał się żadnej przygody. Choć zwolna więc, posuwał się ku granicy i na ostatek przejechawszy ją jeszcze silniejszą uczuł gorączkę pośpiechu, aby znowu znaleźć się w swej celi i na straży pilnej około króla, ku któremu pobyt w Magdeburgu jeszcze większą natchnął go nienawiścią. W myśli swej układając, co i jak powie opatowi zdając z poselstwa sprawę, minąwszy rubież na pierwszy nocleg zmuszony był stanąć na pustkowiu i skraju lasu, bo nigdzie szopy ani osady do koła nie było. Ludzie już mieli szłas kleić dla niego i miejsca suchego szukali tylko, gdy jeden z nich puściwszy się dalej trochę nadbiegł dać znać, iż niedaleko było obozowisko oddziału wojska Bolesławowskiego i że bezpieczniej było a weselej do niego się przyłączyć. Ksiądz Petrek, rad się czegoś dowiedzieć zawsze, zwłaszcza po dłuższej niebytności w domu, zgodził się na to chętnie.

Oddział pancerników z trochę piechoty wyprawiony był przeciwko

Lutykom, którzy często dopuszczali się grabieży nad granicami. Doniesiono królowi właśnie przez szpiegów, iż zamierzali wtargnąć, a król przybyłego na dwór Jaśka z Tęczyna, który mu się jak na łowy na tę wyprawę prosił wysłał, aby dać poganom naukę. Byli oni, acz poganie, sprzymierzeńcami cesarskimi i płatnymi jego pomocnikami, zbójcką szajką, śmiałą i okrutną a dokuczliwą.

Jaśko z Tęczyna radował się temu wielce, iż się z męstwem i

przebiegłością popisie, więc choć mu kraj był obcy, dobrał sobie ludzi, opatrzył

położenie i stał już parę dni na zasadzce. Tym oczekiwaniem zmęczeni ludzie i oni ucieszyli się bardzo, gdy nad wieczór swoich zobaczyli powracających z dala. Jaśko szczególnie księdzu był rad, a że namiot miał już rozbity i wszystkiego pod dostatkiem, pisarza pokornie do siebie jął prosić ręce jego całując.

Nie znał ksiądz Petrek Jaśka choć o nim słyszał i rodzice jego, ten zaś tylko tyle wiedział o protonotariuszu z pierwszych jego słów, iż poufałym był opata Arona i przez króla używanym do spraw ważnych. Samo poselstwo, o którym zaraz nadmienił, wysokie dało Jaśkowi wyobrażenie o człowieku, którego u siebie przyjmował. Cześć mu więc wyrządzał największą.

Zeszła się inna starszyzna do namiotu, która księdza Petrka знаła i

widowała w Poznaniu, i wszyscy nader ciekawie wypytywać zaczęli o podróż i o to, co w Niemczech i u cesarza słyhać było.

Wiedział przebiegły ksiądz Petrek, czym mu tu być należało, co mówić i jakie okazywać usposobienie. Nie kosztowało go to, bo zawsze mówił sobie, iż czynił wszystko na chwałę Bożą. Przed wojakami króla inaczej jak

nieprzyjacielem cesarstwa i Niemców okazywać się nie mógł.

Słuchano go nie bez wielkiego podziwu nad rozumem i pobożnością, jaką okazywał. Gromadka starszych jednak wkrótce się z na miotu rozeszła, bo wieczór był późny, a Jaśko własne posłanie żołnierskie ustąpiwszy księdzu, sam nie opodal siodło i skórę sobie podłożywszy legł także do spoczynku.

Ksiądz Petrek modlitwy dokończywszy, widząc, że Jaśko nie śpi jeszcze, a czaty za chwilę ma obchodzić, sam też do snu nie spieszył i zagaił znowu rozmowę pytając, co by na dworze słyhać było.

Jaśko niedługo tam bawił, bo zaledwie przybywszy korzystał z wyprawy, aby się do niej przyłączyć, wiedział jednak, iż król Bezpryma do większych łask przypuścił i że to powszechnie wpływowi pięknej Ody przypisywano, która się nad losem pogiębionego ulitowała.

Wiadomość ta mocno zajmować się zdawała księdza Petrka, dopytywać

zaczął pilno o inne wieści. Przed Jaśkiem nie inaczej się malował, tylko jako pokorny sługa opata Arona, posiadający całe jego zaufanie.

Wybadawszy o Bezpryma wtrącił wnet ubolewanie nad tym, iż pokrewni

Jaksów i cała rodzina tak się od króla usuwała. Mówiąc to, czy z umysłu, aby wypróbować Jaśka, czy przypadkiem, ksiądz Petrek odezwał się dwuznacznie, iż tym gorzej czynili, gdy — jak powszechnie i nie bez przyczyny utrzymywano

— Jaksowie straceni nie zostali, a do czasu się przechowywali. Usłyszawszy to Jaśko, a pewnym już będąc, iż ksiądz jest do tajemnicy przypuszczonym, rozśmiał się głośno i znacząco.

Uderzyło to księdza Petrka.

— I wy tak sądzicie? — odezwał się podnosząc z posłania głowę.

— A jakżebym inaczej mógł — odparł Jaśko — kiedym ja ich na własne

oczy oglądał i mówiłem z nimi.

Ksiądz Petrek palec położył na ustach, dając mu znak milczenia.

— Juźcić wiem, przed kim to mówię — ozwał się Jaśko — bobym

tajemnicy ich nigdy w świecie nie zdradził. Wam przecie nie tajno, co opat czyni, a on ich wyswobodziwszy wysłał do Tyńca, gdzie do czasu prawdziwą pokutę odsiadują, boć rycerzowi klasztor ciężka to rzecz.

Gdyby nie mrok w namiocie, byłby może poznał sam nieopatrzny Jaśko,

jaką radością napełnił serce księdza Petrka, czyniąc przed nim to zwierzenie, tak dla niego pożądane. To, czego na żaden sposób nigdzie pochwycić nie mógł, mimo całej przebiegłości swojej ksiądz Petrek, łącno mu teraz niespodzianie wpadło w ucho. Miał to za cud Opatrzności.

Nie dając znać po sobie jął rozpytywać ostrożnie, co i jak sobie poczynali Jaksowie.

— Nudzą się srodze biedni, iż litość nad nimi bierze — odezwał się Jaśko z Tęczyna. — Choć naprawdę nie powinni by się za klasztorem ukazywać, wyprosilili się u przeora, że im choć do lasu trochę dozwolił wybiec. Tam dzik podciął nogi koniowi młodszego i mój stryj, zapamiętały poganin, naskoczył na nich, gdy właśnie dobijali zwierza. Wziął ich z sobą w gościnę, a tam i ja się z nimi zetknąłem, czemu zrazu nieradzi byli, bo się srodze lękają, by ich kto nie zdradził.

— I słusznie to czynią — dodał ksiądz Petrek — nie o ich tylko skórę idzie, ale o tych, co ją ocalili. Król, pan nasz miłościwy, jak łaskaw jest i szczodry dla tych, co mu służą wiernie, tak nieubłaganym dla nieposłusznych.

A na Jaksów był mocno zażalonym i gniewnym, więcby też i tym, co mu zemstę jego wychwycili, łaskaw nie był.

Tak wydobywszy z Jaśka, co się tylko dało, rad niezmiernie kładł się ksiądz Petrek osobliwszą modlitwą dziękując świętym Pańskim, których relikwie wiózł z sobą iż mu tak ważną odkryli tajemnice.

Zaledwie usypiać poczęli, gdy od granicy wysłany człek nadbiegł

zwiastując, że Lutyce stali nad rzeką, i nazajutrz się do dnia przeprowiać myśleli. Nie zważali oni na to, iż lada chwilę lody musiały prysnąć i odwrót im przeciąć, a chcieli korzystać z tego, że w tym miejscu osłonionym jeszcze się kry nie ruszyły. Musiał Jaśko nie dospawszy natychmiast ruszać przeciwko Lutykom, tak aby ich u brzegu pochwycić i pobić, nimby wtargnęli. Ksiądz Petrek też wstał, bo i jemu pilno było, i tak rana nie doczekawszy, rozjechali się.

Jaśko prosił dla siebie i oddziału o błogosławieństwo, którego ksiądz protonotariusz odmówić nie mógł.

Gdy pancernicy odciągali ochoczo i spieszenie z obozowiska, ksiądz ze swoją garstką ruszył do Poznania z sercem rozradowanym, przemyślając tylko nad tym, jak z tajemnicy skorzysta. Zdało mu się, iż królowi zaskarżyć ani opata, ani tych, co mu pomagali, nie było bezpiecznie, pierwsza próba go o tym przekonała, postanowił więc na inny sposób spożytkować wiadomość okazując opatowi Aronowi, jak niesprawiedliwie krył się przed nim, zamiast ufać mu całkowicie i na pomoc przyzywać. Tajemnica ta mogła być bronią w ręku jego dla otrzymania od Arona co najmniej jakiego

daru królewskiego. Chociaż ksiądz Petrek sam dla siebie potrzebował mało, cenił jednak nabytek, bo umiał go na cel, do którego dążył, używać.

Z tymi myślami, po ciężkiej podróży, która, choć w znajomym kraju,

łacno nie poszła dla roztopów okrutnych, dojechał na ostatek ksiądz pisarz do Poznania, a stanąwszy u drzwi swej celi, gdzie go zaraz Harno przyszedł

powitać. Bogu podziękował, że go szczęśliwie doprowadził. Spytał natychmiast o opata i oznajmiono mu, iż na dworze się znajdował. Wnet też ktoś pobiegł z wieścią o powrocie.

Ksiądz Petrek nie miał jeszcze czasu sukni zrzucić podróźnej, gdy opat Aron we drzwiach się ukazał. Podbiegł ku niemu z przyklęknieniem witając go, jakby nadzwyczaj przejęty i poruszony, ksiądz pisarz.

— Spieszcie się przedziać bo król czekać nie lubi, a już wie o powrocie waszym i wnet się przed nim stawić musicie. Ja nie pytam was o nic, posłyszę, co przyniesiecie przed króla.

Westchnął ksiądz Petrek.

— Czci najgodniejszy panie — rzekł — nieszczęśliwe to było owo

poselstwo moje. Zawczasu wiedziałem o tym, iż nie sprawię nic, przecie posłuszny jechać musiałem, wypić ten kielich goryczy.

—I z niczym was odprawiono? — odezwał się opat.

Ksiądz Petrek ręce rozłożył szeroko.

— Nie mogę tego powiedzieć — odparł półgębkiem — mi obietnice

czyniono, bom nalegał mocno a czy onym przyrzeczeniom ufać można cóż ja wiem?

Jeszcze stał opat, gdy drugi posłaniec nadbiegł od króla, księdza Petrka wzywający natychmiast przed niego.

Opat wyprzedził posła.

Król siedział sam za stołem w izbie, którą radną zwano. Była ona

przeznaczoną na zwoływanie narady dwunastu wojewodów pańskich. Na

ścianach jej wisały dwanaście malowanych tarczy i dwanaście siedzeń rzezanych z drzewa misternie stały dokoła stołu. Największe, purpurą okryte, dla króla było przeznaczone, nad którym też i tarcza złocista, i dwa wielkie miecze zawieszono były.

Gdy się otwarły drzwi i wszedł opat, podniósł król głowę badając go

oczyma. Aron przystąpił aż do ucha pańskiego i po cichu szybko mówić coś począł, jakby chciał ostrzec i przypomnieć. Skinął Bolesław nań, że go rozumiał.

Gdy wszedł ksiądz Petrek, opat stał już opodal i patrzył przez roztworzoną okiennicę. Król pobożnie, z uszanowaniem księdza Petrka przywitał.

— Mówcie bez ogródki, co wiecie z sobą — zawołał król — miodu

dla osłodzenia piołunu nie potrzebuję. Cóż Geron?

— Najmiłociwszy panie — odezwał się Petrek. — Zrazu i mnie, i

miłości waszej prośbę przyjęto niełaskawie. Pracowałem nad tym, aby wielkie stąd dla kościoła i cesarstwa korzyści okazać, jeżeli nie przekonał i nie nawrócił, wina w tym nie moja. Wymogłem tyle, iż mi przyrzeczone wstawienie się do cesarza uroczyście, lecz arcybiskup za skutek jego nie poręcza.

— Byleby uczynił — co przyrzekł — odezwał się król.

Tu począł dopytywać się o cesarza i pobożną Kunegundę, małżonkę jego, o innych powinowatych cesarza i duków a markgrafów, których ksiądz Petrek mógł widzieć w Magdeburgu, o Guncelina, przyrodniego brata swego, wreszcie o wiadomości z Włoch, zwycięstwa nad Saracenami itp.

Ksiądz Petrek rad, że rozmowa się na ten tor zwróciła, obszernie

rozciągając się począł szczególnie nad potęgą cesarza i świętobliwością czystego jego żywota, która go zawczasu w poczet błogosławionych zaliczać dozwalała.

Nie zapomniał o tym, iż owo jabłko, którym papież Benedykt go obdarzył, Henryk złożył Bogu na ofiarę do kościoła w Kluniaku.

Trwało opowiadanie dosyć długo, po czym Bolesław łaskę swą księdzu Petrkowi za jego trudy przyrzekając dla spoczynku go odprawił. Ksiądz pisarz jednak, acz znużony, nie pomyślał o nim tak rychło... Wnet pozwać kazał do siebie Harna i badał długo, aby niebytność nagrodzić a wieści ze dworu pochwycić. Najpilniej dopytywał o Bezpryma, jakby się on teraz znajdował i co czynił. Zaświadczył Harno, iż rad ze swobody, Bezprym najwięcej myślał o łowach, o niewiastach, zresztą Mieszka unikał, pokornym wcale był i nie zdawał

się niczego więcej pragnąć nad to, by młodości w zamknięciu nie zmarnować.

— I nie dumnym jest jak Mieszko — dodał Harno — przystęp do niego

łatwy, rozmowa ludzka. Ludzie tylko mówią, że rozumu niewiele. Rzadko na zamku gości, byle z łowów powrócił, wnet się znowu w lasy wybiera.

Szczególniej, ze ptaki jeździć lubi.

Takim się w istocie Bezprym wszystkim wydawał.

Nazajutrz ksiądz Petrek do tumu poszedł rano pozdrowić znajomych, przy tej zručności upatrując, azali tam i opata w celi, którą często dla nabożeństwa zajmował, nie zastanie. Chciał się dowiedzieć, azali pod jego niebytność ten, który go z Trzemeszna miał zastępować, sporządzał pismo jakie. Kodeks też ów dla opata przysłany niósł z sobą. Aron owego zastępcę pisarza, choć był pewien, iż z niczym się ostrzeżonym będąc nie wymówi tegoż rana pod pozorem

potrzeby klasztoru nazad odprawił. Z kodeksem, który przyniósł w rękę, ksiądz Petrek wsunął się do celi. Zobaczywszy go uradowany Aron natychmiast pochwycił skarb drogi. Wiedział dobrze, co on powinien był zawierać.

Dziękował księdzu pisarzowi, iż mu w całości dowiózł tak pożądaną nabytek.

— To podobno — odezwał się ksiądz Petrek — najpiękniejszy owoc

mojej podróży, niewiele mam nadziei, aby u Gerona prośby nasze skutkowały.

I okiem bystrym rzuciwszy na Arona, badając go, dodał.

— Zamiast pomocy używać cesarskiej, tajemnie by cesarza pominąć i

wprost do Rzymu trafić należało. Któż wie, czyby się ku temu drogi i środki nie znalazły. Walka z Saracenami wypróżniła skarbiec Ojca świętego, zdałoby się złoto.

Aron spojrzał i potrząsnął głową.

— Nie, mój ojciec — rzekł, wyminąć cesarza nam niepodobna ni

czujności jego uspić, tego się ani spodziewam, ani ludzić bym się tym nie radził.

Jeszcze kilka słów wtrąciwszy ksiądz Petrek, jakby sobie coś przy

pomniął, zbliżył się do opata i uniżenie w rękę go pocałowawszy szepnął.

— Czci najgodniejszy panie, żal mam do was...

— Do mnie?

— Tak jest, żal w tej sprawie Jaksów, z której dla mnie uczyniliście tajemnicę, jak gdybym ja, stary, wierny, pokorny wasz sługa, na żadne nie zasługiwał zaufanie.

Opat chciał przerwać, ksiądz Petrek pochwycił żywo.

— Przecież wiem o wszystkim dobrze, tak jak o tym i innych wielu wie, iż do Tyńca wysłani zostali przez Przewielebność Waszą.

Opat Aron, mimo obawy, jaka go ogarnęła, nie okazał nic po sobie.

Wzrokiem zimnym przeszył mówiącego.

— Mój ojciec — odparł spokojnie — ja własne tajemnice zwierzam wam chętnie, ale cudzych nikomu.

To mówiąc cofnął się nieco opat i dodał po cichu:

— Rozumiecie mnie? I na tym koniec niech będzie.

Ksiądz Petrek, którego znowu nadzieja zawiodła, zmilczał. Opat wziął w rękę przywieziony kodeks, zdawał mu się przypatrywać chwilę od niechcienia, po chwili wtrącając.

— Niestety to jest ta grzeszna ciekawość ludzka, która wszędzie się wcisnąć pragnie, oprócz zakątków własnego sumienia. Niestety to jest ten nieuspokojony język ludzki, który się utrzymać w mierze nie umie, oprócz gdy własne grzechy wyznaje... Więc ta wiadomość o Jaksach tak jest już rozpowszechniona?

— Niestety — odezwał się ksiądz Petrek.

— Skądże do was ona doszła? — badał opat, ciągle się kodeksowi przypatrując.

— Waszej przewielebności taić tego nie będę. W podróży spotkałem

oddział pancerników królewskich — mówił protonotariusz — jednym z jego oddziałów dowódcą był Jaśko z Tęczyna, ten na własne ich widział oczy. Znać się wcale nie wystrzegają, ci się z nim kędyś na łowach spotkali.

Oburzony opat wzdrygnął się i nie rzekł już ani słowa.

Ksiądz Petrek wyczekawszy miał odchodzić, gdy mu szepnął.

— Proszę was, nie powtarzajcie tego przed czasem. Wszystko się to, da Bóg, inaczej skończy, niż ludzie sądzą, ale chwila jeszcze nie przyszła.

Więcej nie dodał opat i odprawił pisarza, zaraz po jego wyjściu ryglując celę ze środka. Wiadomo mu było, że nadesłany kodeks w okładce zawierał

wiadomość o postępowaniu, mowach i pobycie księdza Petrka w Magdeburgu.

Rozciął więc wewnątrz okładziny i wydobył z nich ów kawałek "greckiego pargaminu", na którym drobnym pismem stała relacja pożądana i natychmiast odczytywać ją zaczął.

Chociaż znał dobrze księdza protonotariusza, nie spodziewał się, aby on tak jawnie przeciw królowi śmiało występować i do narad przeciwko niemu należeć. Oburzył się czytając lecz cel był osiągnięty. Arcybiskup mógł się łudzić, iż innymi drogami o koronę Bolesław się starać nie będzie.

Do myślenia też dawała wieść przywieziona o rozgłoszonym ocaleniu

Jaksów, które spokojności królowej zagrazać mogło. Z tego stanu niepewności wyjść było potrzeba.

Pobożny opat westchnął szukając w myśli środka, jakim by mógł

przyspieszyć rozwiązanie wyprasząc łaskę dla Jaksów a przebaczenie dla świątobliwej pani, co im ocaliła życie. Zdawało się to niemożliwym, gdyż król Bolesław niejedną już raz zwierzał się opatowi, iż mu odstąpienie od dworu tylu rodzin i tylu mężów do rady i oręża potrzebnych srodze ciążyło. To uchylenie się wszystkich, choćby najdalej spokrewnionych z Jaksami, co dzień się zwiększało i zaraźliwym stawało, nawet ci, którzy, zrazu królowi pozostali wiernymi, pociągnięci później przez bliskich i powinowatych, znikli i przestali przybywać do Poznania. Król w czasie uroczystości, świąt i niemal ciągle lubił

gromadne otoczenie, dwór tłumny i świetny. Wprawiało go to w najgorsze usposobienie, gdy dnia którego puścić było na grodzie, gdy nowych ciągle nie widział twarzy, nie miał kogo obdarzać i z kim rozprawiać o wojnach i zwycięstwach.

Napływ do Poznania zawsze był znaczny, lecz brakło mu właśnie tych

twarzy znajomych, do których był nawykł, co mu przypominały wyprawy

ruskie, boje z Niemcami, Kijów i Budziszyn, a choćby nawet Pragę. Około stołu radnego miejsc kilka było opróżnionych, bo ci, co je zajmowali, nie przybywali, tłumacząc się na różne sposoby. Król nie chciał naznaczać im zastępców, bo się zawsze tym łudził, że starzy do niego powrócą.

Do trosk opata przybyła nowa, gdy się tegoż dnia dowiedział, iż grecka niewolnica, którą Jaksą był wywiózł z Kijowa, wzięta na dwór królowej, nagle znikła. Ucieczka jej była prawie niewytłumaczona, gdyż z pytań i śledzeń się okazało, że przebrana sama jedna uszła. Sieciechówna, do której się w ostatnich czasach zbliżyła i pokochała ją, ojcu wyznać miała, jakoby Antonia dowiedziała się od kogoś o ocaleniu Jaksów i poszła przebrana po męsku szukać

nieszczęśliwego Andruszki, aby mu służyć teraz, gdy był nieszczęśliwym i nikogo do usług swych nie miał. Dowiedziawszy się o tym od starego Sieciecha, tym więcej trwożył się opat, widząc, jak tajemnica była już rozgłoszoną i powszechnie znaną. Zdało mu się koniecznym naradzić z królową Emnildą nie wybawiając jej wszakże obawy swojej. Ucieczka Antoni była dostatecznym pozorem.

Dnie królowej upływały całe niemal na modlitwie i dobrych uczynkach.

Zmuszona pokazywać się na dworze, trwała tylko na nim tak długo, jak mąż wymagał, spiesząc do swojej kaplicy, do tumu lub do ubogich, których karmiła i okrywała. U drzwi jej przez cały niemal dzień cisnęły się gromady

najbiedniejszych, dla których zastawiano stoły, rozdawano im odzież, darzono wszelką jałmużną. Korzystali, z tego i ci, co nie bardzo byli godni pomocy, lecz byle się kto umiał przeżegnać, miał prawo do miłosierdzia. Zwykle kapłan przy tym lub sama królowa nauczali modlitwy Pańskiej, dziesięciorga przykazań i najgłówniejszych wiary artykułów. Nie tylko w Polsce, ale w Niemczech długo po przyjęciu wiary chrześcijańskiej lud zaledwie zewnętrzne jej znał cechy, powoli musiała ona wnikać w oddalone zakątki, tam zwłaszcza, gdzie kościołów i klasztorów brakło. Królowa więc też nieustannie apostołować musiała, a dobroczynność połączona z apostołstwem była najlepszym środkiem

nawracania.

Nadchodzący opat znalazł królową Emnildę jak zwykle otoczoną ubogimi i odmawiającą dla nich modlitwy, które oni za nią powtarzali. Poprzedzało to zawsze rozdawanie pokarmów, napojów, krzyżyków i szat, jako widomych znaków przyjęcia do chrześcijańskiego społeczeństwa. Ujrawszy opata Arona zwierzyła starszej niewieście rozdzielanie jałmużny, a sama weszła z nim do swej komnaty.

— Miłościwa pani — rzekł opat wchodząc — dowiedziałem się o

ucieczce Greczynki Antonii. Ludzie mówią, że poszła szukać Jaksy przez przywiązanie do niego, zatem, że się o jego ocaleniu dowiedziała. Tajemnica się nie daje utrzymać.

— Posądzam Teodorę — szepnęła królowa — że ona pocieszając ją mogła nieostrożnym słowem się zdradzić.

— To by jeszcze było najmniejszym złem — rzekł opat Aron — lękam się, by i więcej ludzi nie domyślało się.

— Mój ojczy, a gdyby się domyślali?

— Król by się mógł dowiedzieć.

— A gdyby się dowiedział? — powtórzyła królowa z rezygnacją. —

Niech się dzieje wola Boża. Nie ma tu nikogo winnego, oprócz mnie, a ja na karę wszelką jestem gotową i w sumieniu spokojną.

Skłonił głowę opat.

— Miłościwa Pani, Miłościwa Pani, odezwał się, inaczej radzić trzeba, tak, by król wdzięczny ci był a nie gniewny, ażeby za dobry uczynek dziękował, a nie karał! Do tego, zda mi się przyprowadzimy go, gdyż co dzień mu Jaksów żal więcej.

— Cóż czynić radzicie? spytała Emnilda.

— To, co i ja sam co dzień czynię i czynić nie przestanę — mówił opat Aron — wspominać mu Jaksów, budzić po nich ból i żal, dzielność ich i wierność chwalić, utyskiwać, żeśmy tak pożyteczną dla pana naszego stracili siłę.

— Nie śmiem, drzę, gdy ich imię wspomni kto — przebąknęła królowa

— spuszcza oczy, aby mojego kłamstwa nie wydały.

Król sam — dokończył opat — często teraz ich wspomina, więc tylko mu potakiwać.

Zmilkła pobożna pani.

Tymczasem, jak się to często zdarza, że złym szyki miesza niewidzialna ręka, tego, czego uczynić nie chciała królowa, podjęła się Oda z zamiarem szkodenia tej, której miejsce tak jej zająć było pilno. Usłyszawszy o ucieczce Antonii i o domniemanych jej powodach, tegoż dnia przy biesiadzie chłodno poczęła przy królu mówić o Jaksach z oczu nie spuszcżając królowej.

Wzdrygnęła się i zarumieniła Emmilda. Opat podchwycił zaraz występując z żalem i pochwałami dla rycerzy. Królowa ośmielona rzuciła słówko.

Przy stole pańskim nie było nikogo z obcych. Sieciech stał tylko, siedział

Mieszek i Ryksa. Reszta dworu przy osobnych stołach głośno się zabawiła.

Gdy się mowa rozpoczęła o Jaksach, nachmurzona twarz króla zasępiła się zrazu, okiem potoczył dokoła. Słuchał, nie mówiąc nic długo. Gdy się już prawie nie spodziewano, by się o nich miał odezwać, potrząsnął głową, począł

półgłosem.

— Nie ma dnia, ażebym ja sam nad losem Jaksów nie bolał., żebym nie

przypomniał, jacy byli rycerze dzielni a mnie wierni słudzy. Straciłem ich, nie dosyć na tym, tracę co dzień wszystkich, co należą do rodziny. Uciekają mi, a ci co zostali, serca do mnie nie mają. Gniew jest złym doradcą!

Westchnął król, milczała Emmilda, jakby siły w sobie szukając.

— Miłościwy panie mój — rzekła — święci czynią cuda, módlmy się,

może który z nich dla nas też cud uczyni i z martwych ich wskrzesi.

Bolesław smutnie głową potrząsnął.

— Nie wiem ja, azalim godzien cudu takiego — odezwał się. Jeżeli kto, to wy, świętobliwa niewiasto, moglibyście go wyprosić. Zaprawdę, z duszy bym wam za to był wdzięczen. Spadłby mi z sumienia ciężar wielki, poweselałoby koło mnie. Ano po co mówić o tym, co się nigdy stać nie

może?

Wtem opat przerwał.

— Bóg jest wszechmogącym — rzekł — jestże niepodobieństwem Temu, co świat stworzył z niczego, wskrzesić człowieka, choćby był umarłym?

Bolesław popatrzył nań zdumiony.

— A cóż byś uczynił? — dodała ośmielając się Emnilda, której twarz

rumieńcem pałała — co byś uczynił, panie mój, gdyby się stał cud taki? Co byś zrobił ze zmartwychwstałymi?

Królowi dziwna ta rozmowa przykrą się być zdawała, lecz w miarę, jak się przeciągała, budziło się w nim podejrzenie czy ciekawość. Ostatnie słowa królowej przyjął zadumany, wzrokiem pilnie badając żonę i opata.

— Co bym uczynił? — rzekł zwolna, rozmyślając. Mozeszże wątpić,

izbym im przebaczył jak ojciec i do łaski przywrócił, aby zapomnieli, co wycierpieli? Bogdajbym ich mógł z sobą wziąć do łaźni i sam na sam dać im naukę, aby więcej nie broili, a potem u stołu posadzić poczestnie.

Opat spojrział na królową, która oczy spuściła, nie mówiąc nic więcej.

Sieciech, który stał nie opodal, słuchał cały drżący, sądził, że Emnilda więcej powie po tak dobrym poczęciu, lecz królowa zamilkła, a król sparty na rękę ciągnął sam dalej.

— Z nimi powróciliby mi wszyscy ich powinowaci do rady i do boju,

wszyscy starzy druhowie moi, co przy mnie i, za mnie krew leli. O! Jakaż by to była uroczystość wielka i święto! Ale — przewielebny ojczu, zwrócił się do opata Arona — Bóg takich cudów nie czyni dziś.

— Dlaczego by dziś nie mógł uczynić, co wczoraj czynił? A jeśli kto

godniejszy takiego cudu nad miłościwą panią naszą. Niech ona się modli, ja w cud wierzę.

Królowi dziwnie wesoło zaświeciły oczy.

— Emnildo moja! — zawołał. — Twoim modlitwom się polecam! Módl się.

To mówiąc i nie czekając odpowiedzi król powstał od stołu widocznie

weselszy i jakby ożywiony. Zyg mu zabiegł drogę patrząc w oczy.

— Miłościwy panie — zawołał, nigdy jeszcze w takim strachu nie był

Zyg. Uchowaj Boże jaki święty wskrzesi Jaksów, to Zyga ktoś zabije na próbę, czy i on z martwych nie wstanie. Ja wolę tak sobie żyć, nie wstając z mokrej ziemi.

Za żart król zamierzył się go uderzyć, ale Zyg w porę uniknął i odskoczył.

Oda, która w milczeniu słuchała całej rozmowy, rozgorączkowana i

gniewna, bo król na nią nie rzucił już nawet okiem, odstąpiła natychmiast do siebie żal mając, iż niepotrzebnie o Jaksach tych napomknęła. Inni też z dala pochwytawszy słowa króla i Emmildy rozmaicie je tłumaczyli. Stojący nie opodal Harno starał się zapamiętać i natychmiast z doniesieniem pobiegł do księdza Petrka.

Siedział ksiądz pisarz u pulpitu i bawił się około pargaminu jakiegoś, gdy zdyszany wpadł komornik.

— Ojczy! — zawołał. — Na moje uszy słyszałem, mówiono za stołem królewskim o Jaksach. Opat utrzymywał, że Bóg cud uczynić może i wskrzesi ich za wstawieniem się jakiego świętego! Możeż to być! To wy byście też mogli mojego brata wskrzesić, a mnie by z sumienia spadł ciężar, i nieboszczyk przestałby mnie prześladować.

Ofuknął go ksiądz Petrek, iż nie do rzeczy prawił. Zaklął się Harno, iż właśnie opata słyszał wyrazy dodając, iż król samą myślą, jakoby z grobu powstać mogli, tak był rozradowany, jakby już ich żywymi widział. Szeroko o tym mówiąc, powtarzając się Harno niezbyt zrozumiałym się stał i zarobił tylko na połajanie u księdza Petrka, którego jednak rozmowa na trochę zaniepokoiła.

Skorzystał z wieczornego obchodu niewieścich komnat, aby się dostać do Ody. Był pewien, że od niej się o tym więcej dowie. Zastał ją rwącą z gniewu nici, którymi szyła i rzucającą kłębkami. Gdy się zjawił ksiądz Petrek, cisnęła ostatni i zerwała się od krosien.

— Zbiera się na dziwne sprawy! — zawołała żywo — królowa

wskrzeszać myśli tych, co nie pomarli, króla jak dziecko wodzą i bałamuca, a on się im daje oszukiwać! Jacyś święci Jaksów z grobu wyprowadzą! Zrobią cud!

Słyszeliście? Opat zaręczył, iż się takie cuda dzieją! Tylko co nie widać, jak ich tu sprowadzą.

Ruszyła ramionami.

— Królowa, której należała się kara, otrzyma za to podziękowanie i

cześć! Któż by się tego mógł spodziewać — mówiła Oda gwałtownie. Król zesłał.

— Jestże to prawda, o czym mówią, jakoby się gotowało? — Zapytał

pisarz. Możeż to być?

— Zdaje się, kiedy króla próbowali — rzekła Oda. — Ale mnie już i ten dwór, i to wszystko dojadło. Wróć do ojca, nie mam tu siedzieć czego, ani na co czekać.

Zamyślił się ksiądz Petrek.

— To rzeczy śliskie — szepnął, trzeba czekać — a z drogi nie schodzić.

Tak życzę. Zobaczymy, kto króla zna? Dziś on łagodny, a jutro może być wściekły, gdy sobie lekceważenie swych rozkazów przypomni.

Zamilkła Oda. Cichy szept jakiś zakończył rozmowę i ksiądz Petrek

posunął się dalej.

Gdy się to działo u markgrafówny, królowa się gorąco modliła oczekując na opata. Wstała ujrawszy go wchodzącego i upadła na kolana przed nim.

Promieniała twarz jej radością niezmierną. Opat Aron, choć wzruszony, twarz miał nie zmienioną, na której zawsze jeden spokój, nie zakłócony nigdy niczym, się malowała. Radość go nie rozjaśniała więcej, smutek nie gnębił widomie.

— Mów, ojcze, co teraz czynić mamy? — zapytała królowa.

— Wysyłam natychmiast, dziś jeszcze, do Tyńca — odezwał się Aron —

aby Jaksowie przybywali. Gdy tu staną, ty Miłościwa Pani sama, ty jedna możesz rzucić się z nimi razem do nóg króla, pana naszego, nie ma wątpliwości, że im przebaczy, że wieczną wdzięczność zachowa dla was. Ja pilno będę stać na straży, aby jaki wpływ obcy nie popsuł tego, co się tak szczęśliwie uczynić dało. Bogu cześć i chwała!

KONIEC TOMU DRUGIEGO

Jan Matejko – Bolesław I Chrobry

